

JACK MAC GASS



HOW WE GET ON



Wstęp

Około 65 milionów lat temu w kierunku Ziemi z olbrzymią prędkością zdążył asteroid. Prawdopodobieństwo, że trafi w planetę było bardzo małe, ale nie wykluczało możliwości zderzenia.

Na Ziemi od 140 milionów lat niepodzielnie panowały dinozaury. Opanowały wszystkie środowiska. Pływały w morzach, biegały po lądach i latały w powietrzu. Używały już stałocieplności, a niektóre z nich osiągnęły duży poziom inteligencji. Wiele gatunków żyło w stadach, starsze osobniki opiekowały się młodymi. Gdyby asteroid trafił w Ziemię zmiotłby cały świat dinozaurów. Na szczęście kosmiczna skała musnęła tylko górne warstwy atmosfery, wywołując kolorowe efekty świetlne na nieboskłonie i pomknęła dalej w kosmos. Na Ziemi po tym zdarzeniu nic się nie zmieniło, tylko stado hadrozaurów, widząc łunę na niebie, zaczęło uciekać w popłochu. Po kilku godzinach łuna zniknęła. Życie jaszczurów toczyło się dalej.

Rozpad Gondwany – superkontynentu na południowej półkuli i dryf płyt kontynentalnych spowodował zmiany klimatyczne, które przyspieszyły rozwój dinozaurów. W ciągu milionów lat z małego drapieżnego Stenonychosaurusa wykształcił się inteligentny dinozauroid. Poruszał się tak, jak jego protoplasta na dwóch tylnych kończynach, miał wyprostowaną sylwetkę i wzrost około metr pięćdziesiąt. Był żyworodny. Nie posiadał ogona, który utracił w związku z przyjęciem wyprostowanej postawy ciała. Oczy miał usytuowane z przodu głowy, obok siebie, co umożliwiała mu stereoskopowe widzenie świata. Po przodkach odziedziczył widzenie barwne. Jak inne dinozaury nie posiadał małżowin usznych, ale mógł odbierać bodźce akustyczne. Mimo że był żyworodny nie miał sutków ani zewnętrznych narządów płciowych. W kończynach górnych miał trójpalczone dłonie, a w dolnych czteropalczone stopy. Gatunek ten opanował posługiwanie się prostymi narzędziami. Z czasem nauczył się rozpalać i wykorzystywać ogień, uprawiać rośliny, oswoił zwierzęta. Z biegiem tysiącleci stada dinozauroidów przekształciły się w większe organizmy społeczne. Powstawały osady, które stawały się miastami, tworzyły się struktury państwowe. Dinozauroidy toczyły między sobą wojny, rozwijały sztukę i naukę. Rozwój nauki odbywał się wielotorowo, oprócz nauk przyrodniczych ta-

kich jak biologia, chemia, fizyka, nauki o Ziemi, nie zaniedbywano spraw duchowych. Nauka i religia stanowiły jedność. Dinozauroidy wiedziały, że nie składają się tylko z ciała fizycznego, które można badać bezpośrednio zmysłami fizycznymi, lecz również z ciała energetycznego, posiadającego sobie właściwe zmysły. Potrafiły oddzielić ciało energetyczne od ciała fizycznego, odbywać wędrówkę w odległe rejony kosmosu, a następnie powracać do ciała fizycznego. Znały również wpływ myśli na materię. Wiedziały, że niektóre z nich mogą siłą woli dokonywać spektakularnych wyczynów w materialnym świecie. Przez długie tysiąclecia znano te fakty, lecz brakowało sensownej teorii mogącej to wyjaśnić i środków technicznych, by przeprowadzić wiarygodne eksperymenty. Medycyna rozwijała się korzystając ze wszystkich, nawet najbardziej dziwnych, metod leczenia, jeśli okazywały się one skuteczne. W tej dziedzinie dinozauroidy nie miały żadnych zahamowań ideologicznych lub filozoficznych. Nauki humanistyczne, a raczej dinozaurystyczne bynajmniej nie były traktowane po macoszemu i bujnie się krzewiły.

Postęp w naukach przyrodniczych i konflikty zbrojne wpływały na rozwój techniki. Odkrywano różne źródła energii i sposoby jej wykorzystania. Po tysiącach lat rozwoju technicznego i po wielu przemianach politycznych państewka dinozauroidów przekształciły się w jedno wielkie państwo obejmujące całą planetę. Po tym wydarzeniu rozpoczęła się kolonizacja Układu Słonecznego. Najpierw powstały stałe bazy na Marsie, które na początku pozyskiwały surowce i produkowały półfabrykaty na potrzeby Ziemi. Po pewnym czasie w wyniku celowego uwalniania do atmosfery marsjańskiej gazów cieplarnianych i olbrzymich ilości tlenu i azotu, powstających przy przeróbce skał marsjańskich, Czerwona Planeta przeistoczyła się w glob, stwarzający wspaniałe warunki do życia organizmom ziemskim. Również Wenus nie oparła się zakusom kolonizatorskim dinozauroidów. Obniżyły temperaturę planety, zasłaniając ją od Słońca obłokiem pyłu i kamieni. W tym celu przyholowane zostały małe planetoidy z pasa planetoid Układu Słonecznego i rozkruszone w okolicach Wenus za pomocą ładunków termojądrowych. Zmodyfikowane dzięki inżynierii genetycznej bakterie przystosowały atmosferę Wenus dla ziemskich organizmów, rozkładając lub wiążąc szkodliwe substancje, a wydzielając do atmosfery tlen i azot. Na pozostałych planetach dinozauroidy założyły stacje badawcze i zakłady przemysłowe przerabiające lokalne surowce. Podjęły również próby lotów do innych niezbyt odległych układów planetarnych.

Rozdział I

Kapłan boga Nanny

Nadchodził wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi. Orzeźwiający chłód zastępował upał dnia. Sumeryjski arcykapłan boga Nanny zbliżał się powoli do świątyni E-kisz-nu-gal. Szedł porozmawiać z bogami. Król chciał wyprawić się na miasto Uruk i rad byłby dowiedzieć się, co bogowie mają w tej sprawie do powiedzenia. Kapłan nie był zadowolony z królewskich planów wojennych. Był przeciwnikiem zbędnego rozlewu krwi. Sumeryjski zwyczaj mordowania jeńców napawał go obrzydzeniem. Króla znał od niemowlęctwa. Miał wielki wpływ na decyzje władcy, zawsze liczącego się z jego radami. Arcykapłan był już w podeszłym wieku, lecz mimo to nadal lubił szybkie przejażdżki rydwaniem po bezdrożach, rzucał oszczepem i strzelał z łuku.

Wszedł do świątyni, minął strażę i wkroczył do sanktuarium, w którym tylko on mógł przebywać. Zaczął przygotowywać się na spotkanie z bogami. Włożył drwa do świętego ognia.

– Noce są chłodne – pomyślał, pogładził się po wygolonej głowie i dorzucił jeszcze kilka szczap.

Wyciągnął ze skrzyni wróżebną, szmaragdową kulę, woreczek z ziołami i kadzielnicę, w której palił magiczne zioła. Przeniósł wszystko w pobliże świętego ognia. Na kamiennej posadzce postawił stół, na którym położył kulę. Obok ustawił kadzielnicę, wsypał do niej zioła i podpalił je. Rozciągnął wielbłądzie skóry i usiadł na nich naprzeciw kuli, skrzyżował nogi, ręce ułożył na kolanach i zapatrzył się w nią. Dym kadzidła rozchodził się po całej świątyni. Arcykapłan siedział wyprostowany i wdychał dym. Z każdym oddechem czuł narastające odurzenie. W kuli, zrazu mgliście, potem coraz wyraźniej, zaczęła się jawić wyprawa na Uruk. Zobaczył jak wojownicy Ur ponoszą straszliwą klęskę, jak giną najlepsi żołnierze. Ci gorsi również ginęli, lecz nie tak licznie, bo kierując się zdrowym rozsądkiem w porę brali nogi za pas. Widział jak władca Uruk obcina głowę

królowi Ur, nabija ją na swoją włócznię i triumfalnie unosi w górę. Ur ponosi całkowitą klęskę. Wielu dostaje się do niewoli, a następnie, zgodnie z sumeryjskim zwyczajem, ginie pod toporami i mieczami żołnierzy Uruk. Wizja zaczęła znikać. Kryształ zmatowiał, a potem rozjarzył się zielonym blaskiem. Po tej wizji arcykapłan padł wyczerpany.

*

W tym samym czasie pisarz króla Ur rozmawiał ze szpiegami z Uruk. Uruk było gotowe do wojny i chciało wciągnąć armię Ur w zasadzkę.

– Prawie wszystko gotowe – powiedział pisarz. – Król chce zaatakować Uruk w najbliższym czasie. Jediną przeszkodą jest arcykapłan Rael, przeciwnik nieprzemyślanych zbrojnych posunięć. Uważa, że lepszy zły pokój niż dobra wojna. Z pewnością sprzeciwi się wyprawie, a znając jego wpływ na króla, jest to równoznaczne z jej odwołaniem. W dodatku arcykapłan ma bardzo wielką wadę, jest nieprzekupny.

– W takim razie istnieje tylko jedno rozwiązanie – stwierdził mężczyzna, który starał się ukryć twarz w cieniu. – Jeśli Rael odradzi królowi wyprawę, a z tego co mówisz wnioskuję, że tak właśnie będzie, zostanie zlikwidowany. Nie będzie Raela, nie będzie problemu. Z tego co wiem, pozostali są zwolennikami ataku.

*

Rael leżał przez jakiś czas całkowicie rozluźniony, aż w pewnym momencie poczuł wibracje ciała. Z początku słabe, lecz z każdą chwilą przybierające na sile. Nie zaniepokoiło go to znajome uczucie. Wiedział, że w tym momencie jego ciało astralne odzieli się od fizycznego. Nie przeciwdziałał temu. Chciał przenieść się na dwór w Uruk i zobaczyć co się tam dzieje. Już niejednokrotnie stosował tę metodę. Szpiegował nie tylko w krajach ościennych, ale i na dworze swojego króla. Nie była to jedynie zwykła ciekawość, ale również środek prewencyjny. Lubił wiedzieć co się wokół niego dzieje i co kto knuje. Arcykapłan czuł, że unosi się w górę, chociaż jego ciało leżało bezwładnie. Przez chwilę wisiał nad nim, potem ruszył w kierunku ściany. Zbliżył się do niej i prze-

niknął na zewnątrz. Uniósł się wyżej i pomknął w kierunku Uruk. Gdy przelatował nad Świętym Źródłem ze zdumieniem dostrzegł otwór w wodzie. Zatrzymał się.

– Trzeba to sprawdzić – pomyślał – Uruk nie wielbłąd i nigdzie nie pójdzie.

Zbliżył się do otworu i zobaczył tunel, wydawać by się mogło bez końca. Nie przypominało to niczego, co znał i przez to napawało go lękiem. Jednak ciekawość zwyciężyła.

– Jestem duchem i nic mi nie grozi – pocieszał się.

Wniknął do tunelu i szybko znalazł się przy otworze na drugim końcu. To, co tam zobaczył wprawiło go w wielkie zdziwienie. Nigdy czegoś podobnego nie widział, nawet w snach i wizjach.

Była noc. Otaczała go dziwna roślinność, niezwykle budowle i obiekty, których nie umiał nazwać. Usłyszał niepokojące dźwięki. Przestraszył się i jego podświadomość momentalnie przeniosła go do ciała fizycznego. Obudził się, przez chwilę myślał o tym, co zobaczył. Był zły na siebie, że się zląkł i tak szybko wycofał. Postanowił jeszcze raz odwiedzić inny świat. Zaczął odczuwać chłód. Znów dorzucił drewno do ognia i okrył się kocami. Ułożył się na wznak, rozluźnił wszystkie mięśnie i ponownie opuścił ciało fizyczne. Pomknął w kierunku tunelu, przeleciał przez niego jak błyskawica. Po drugiej stronie czekała go niemiła niespodzianka. Gdy tylko pojawił się, wokół rozbłysło światło. Nie mógł dostrzec jego źródła, było jasno jak w dzień. Otaczały go cztery postacie trzymające w rękach dziwne przedmioty. Chciał się wycofać, ale poczuł, że owe przedmioty uniemożliwiają mu odwrót. Przyjrzał się lepiej stworom i teraz dopiero zauważył, że nie mają twarzy. To, co uznał za rękę i przedmiot w niej trzymany, wyglądało jak całość, zamiast nóg miały po cztery koła z każdej strony połączone dziwną taśmą. Z pobliskich zabudowań wybiegło pięć innych postaci. Te wyglądały bardziej po ludzku. Miały na sobie różnokolorowe ubrania. Z daleka przypominały ludzi, a ściślej mówiąc dziesięcioletnie dzieci, lecz z bliska dało się zauważyć znaczne różnice.

– Co za mordy? – pomyślał arcykapłan dla rozluźnienia. – Gdyby nie to, że to takie kurduple, to pewnie bym umarł na atak serca ze strachu. Co oni kombinują?

Istoty miały wielkie oczy, małe, płaskie nosy, małe cofnięte dolne szczęki i zieloną skórę wyglądającą bardziej na skórę krokodyla niż człowieka. Rael zwrócił uwagę na ich dłonie o trzech palcach.

– Dlaczego tylko trzy? – zapytał sam siebie w myślach.

Zaczął się bać, jakaś siła nie pozwalała mu wrócić do ciała fizycznego. Nie mógł wykonać nawet najmniejszego ruchu.

– Jestem uwięziony – szepnął do siebie arcykapłan z niedowierzaniem. – Zawsze myślałem, że ducha nie da się zatrzymać, a tu jakieś poczwary mnie uwięziły.

Istoty podeszły do arcykapłana i zaczęły go oglądać. Nie rozumiał ich języka. Próbował telepatycznie odczytać ich myśli. Nic z tego nie wyszło, choć w swoim świecie był w tych sprawach ekspertem. Wiedział, że coś się kotłuje w głowach tych istot, ale nie mógł pojąć co. Próbował tej samej sztuki z istotami na kołach, ale jeszcze gorzej mu poszło. Nie odebrał od nich żadnego sygnału, tak jakby były martwe, choć zachowywały się jak żywe stworzenia. Bardzo go to zdumiało, lecz nie miał czasu na przemyślenia. Jedna z trójpalczastych istot wydała polecenia stworom na kołach i trzy z nich odjechały, a czwarty zaczął ciągnąć arcykapłana w stronę budowli za pomocą dziwnej siły, której nie mógł się oprzeć. Za nimi podążyła piątka owych stworzeń.

Został wprowadzony do pomieszczenia, gdzie było bardzo wiele przedmiotów, których przeznaczenia nie domyślał się. Światło w pomieszczeniu sączyło się z sufitu i ze ścian. Nie było to dla niego specjalnie istotne, gdyż jako istota duchowa nie miał fizycznych zmysłów i w każdych warunkach dobrze widział. Został ustawiony na środku sali. Stwór na kółkach szybko oddalił się od niego, a mimo to nadal nie mógł się poruszyć. Starał się ponownie nawiązać kontakt z piątką istot, które kręciły się po pomieszczeniu. Tym razem jego próby wypadły jeszcze gorzej. Widocznie teraz istoty zabezpieczyły się przed próbą penetracji ich umysłów ze strony arcykapłana.

– Ale cwaniaki – pomyślał arcykapłan – Na wszystko są przygotowani.

Jedna z istot usiadła przy stole w pobliżu ściany i zaczęła coś na nim przyciskać. Pozostałe stanęły przodem do jednej ze ścian i rozmawiały ze sobą. Z podłogi uniosła się niewielka kula, poszybowała nad głowę arcykapłana i zatrzymała się nad nią. Na ścianie, przed którą stały postacie, ukazały się obrazy. Wyglądało to tak, jakby ściana zniknęła, a za nią pojawiła się duża przestrzeń będąca sceną oglądanych zdarzeń.

– Niesamowite, wszystko jak prawdziwe. To jest zdecydowanie lepsze niż w rzeczywistości – zachwycił się arcykapłan. – Na Nannę! Ja to chyba skądś znam. No jasne to są moje wspomnienia.

Widział teraz dokładnie to, co jego oczy kiedykolwiek ujrzały, słyszał to co zdarzyło mu się w życiu słyszeć, zobaczył także swoje marzenia, których nigdy nie udało mu się zrealizować. Widział to, o czym już dawno zdążył zapomnieć i to, o czym wolałby nie pamiętać. Nie było chronologii, bo w głowie miał zawsze zamęt. Wszystko było niezwykle wyraziste. Pomyślał, że już nie żyje. Uczono go, że po śmierci człowiek widzi całe swoje życie. Nikt mu jednak nie powiedział, że odbywa się to w tak zdumiewającej formie.

– Nie tak wyobrażałem sobie życie po śmierci – zadumał się. – Ci wszyscy moi nauczyciele to wstrętne kłamczuchy.

Przegląd życia arcykapłana trwał długi czas. Istoty z wielkim zaciekawieniem śledziły projekcję. Od czasu do czasu coś komentowały. Po zakończonym przeglądzie wyszły z pomieszczenia, na ekranie nadal ukazywały się obrazy. Arcykapłan pomyślał o domu. Wyobraził sobie, że leży wygodnie w swoim łóżku, a wokół niego krzątają się najładniejsze niewolnice. Ze zdumieniem stwierdził, że na ścianie ukazał się obraz jego domu i niewolnic dokładnie taki, jak to sobie przed chwilą wyobrażał. Obraz zniknął w momencie, gdy arcykapłan zwrócił uwagę na ścianę i przestał marzyć. Na ścianie był tylko obraz ściany i części pomieszczenia, które widział. Gdy tylko zorientował się o co chodzi, zaczął wyobrazać sobie różne rzeczy i oglądać je na ekranie. Po niedługim czasie do sali weszła jedna ze znajomych istot i coś powiedziała. Po jej słowach ściana stała się zwykłą ścianą, a niewidoczne więzy krępujące arcykapłana zniknęły. W mgnieniu oka przeniknął przez budynek i pognął do tunelu. Z niepokojem zauważył, że przy otworze tunelu czekają na niego dwie inne znajome istoty, tak jak on w ciałach astralnych. Minął je i wleciał do tunelu. Istoty podążyły za nim. Błyskawicznie wrócił do ciała fizycznego, otworzył oczy i ujrzął nad sobą pochylających się kolegów kapłanów i strażników świątyni.

– Rael, co się z tobą dzieje? – zapytał kapłan Lef. – Żyjesz? Chyba przeholowałaś z paleniem ziółek.

– Jeśli to miał być żart, to był mało zabawny. Ze mną wszystko w porządku – odparł słabym głosem arcykapłan.

– Na pewno? Spójrz do lustra. Wyglądasz jak zjawa – powiedział drugi kapłan Saet.

– Od rana usiłujemy cię obudzić – mówił dalej Lef. – Byłeś całkiem zimny. Myśleliśmy, że już nie żyjesz, lecz Kaalan zapewniał nas, że z pewnością odbywasz wędrówki astralne w związku z poleceniem króla.

– Dzięki koledzy – powiedział z przekąsem arcykapłan Rael. – Gdyby nie Kaalan, to pewnie już byście mi do tej pory wyprawili pogrzeb.

– A wiesz, były już takie propozycje – odparł złośliwie Saet.

– My tu gadu, gadu, a przecież masz królowi zrelacjonować, co bogowie sądzą o planowanej wyprawie wojennej – uciął dyskusję Lef.

– Wolałbym mu tego nie mówić, miałem koszmarną wizję – to mówiąc Rael usiłował się podnieść. – Pomóżcie mi, nie mogę wstać.

Kapłani chwycili Raela pod ramiona, postawili na nogi i powoli poprowadzili do drzwi świątyni. Nagle arcykapłan stanął jak wryty.

– Na Lillu i Lilitu, oni tu są – wykrztusił z siebie, wskazując palcem otwarte drzwi, gdzie stały dwie znajome istoty w ciałach astralnych.

– Kto taki? Arcykapłanie, czy ty naprawdę dobrze się czujesz – spytał troskliwie Kaalan, dowódca wojsk Ur – Ja nikogo tu nie widzę.

– Wytężcie swoje zmysły astralne – polecił Rael. – To są duchy.

– Czy to są szpiedzy Uruk? – spytał Kaalan.

– Nie, to istoty, które mnie więziły – odparł arcykapłan. – Istoty z innego świata.

– Pewnie przybyły razem z tobą – zwrócił się do Raela Saet. – Chyba cię bardzo polubiły.

– Od kiedy zostałeś moim zastępcą, coś bardzo wyostrzył ci się dowcip – odgryzł się Rael.

– Ja tu nikogo nie widzę – powiedział Kaalan – ale jestem tylko prostym żołnierzem.

– Na starość stałeś się bardzo nerwowy – powiedział Lef. – Te duchy nie wyglądają na demony z czwartego astralu, które mogą nam zaszkodzić. Telepatycznie czuję, że są niegroźne. Zostawmy je. Teraz mamy nasze ziemskie sprawy. Chodźmy już do króla.

Ruszyli w kierunku drzwi. Rael wziął parasol chroniący go przed słońcem i wyszli przed świątynię. Na dziedzińcu czekał już na Raela wóz, którym miał się udać do króla. Jednak arcykapłan wybrał swój rydwan. Wsiadł, rozłożył parasol i umocował go przy burcie

rydwanu. Gwizdnął na Majusza, ulubionego psa, poświęconego bogini Guli. Pies pojawił się błyskawicznie, jak zwykle szczęśliwy ze spotkania z panem, merdając ogonem wskoczył do rydwanu i ułożył się u stóp arcykapłana. Ruszyli w drogę do pałacu. Rael cały czas widział śledzące go istoty. Pies patrzył w ich stronę, powarkując i szczerząc kły.

– Spokojnie – wyszeptał Rael i pogłaskał psa po głowie. – Chyba nie są tacy źli.

Zbliżali się do celu. Pałac królewski tajemniczo połyskiwał okładziną z palonej cegły, inkrustacjami z kawałków lapis lazuli i muszli.

Po przybyciu Rael kazał czekać Majuszowi, który popatrzył na niego wiernymi oczami i pobiegł do ogrodu, zająć się sobie tylko wiadomymi sprawami.

Goście zostali zaprowadzeni przed oblicze króla. Nisko uklonili się władcy, który skinieniem ręki powitał przybyłych i wskazał miejsca przy stole na środku komnaty. Klasnął w dłonie, pojawiła się służba z misami pełnymi potraw i dzbanami wina. W powietrzu rozszedł się aromatyczny zapach pieczonego mięsa, ryb, wina daktylowego i piwa jęczmiennego. Rael z widoczną przyjemnością odetchnął głęboko kilka razy. Dobre jedzenie i trunki były jego pasją. Nigdy nie obżerał się ani nie upijał – był smakoszem.

– Mój drogi Raelu – zwrócił się król do arcykapłana – napij się ze mną wina daktylowego z piwem jęczmiennym?

– Oczywiście – odparł Rael – jak zwykle zmieszane i nie wstrząśnięte.

Rozpoczęła się uczta. Tancerki poruszały się z wdziękiem. Wszyscy jedli, pili i rozmawiali. W pewnej chwili król nachylił się do Raela i zapytał:

– Czy dowiedziałeś się, jak bogowie zapatrują się na naszą wyprawę wojenną na Uruk?

Rael szepnął:

– Miałem wizję wyprawy. Widziałem straszliwy pogrom naszych wojsk. Ty również nie ujdiesz z życiem.

– Ciekawe, – odparł król – astrolog mówił to samo tylko dokładnie na odwrót. To znaczy, że Uruk zostanie rozgromiony, a ich król nie przeżyje tej batalii.

– Proponuję zaufać mojej skromnej osobie – powiedział Rael. – Nie chcę nic sugerować, ale astrolog to stary lizus i powie ci panie wszystko, co chcesz usłyszeć.

– A wiesz, że astrolog w podobnym tonie wypowiadał się o tobie. Co prawda nie mówił, że jesteś lizusem, broń cię Nanno, ale zasugerował, że możesz być szpiegiem Uruk i

będziesz chciał mi odradzić tę wyprawę, bo Uruk jest w głębokim kryzysie i z łatwością osiągnę zwycięstwo.

– Królu mój – podjął po chwili zastanowienia Rael – tyle lat się znamy, nie sądzisz chyba, że cię zdradzę. Poza tym moje przepowiednie się sprawdzały.

– Nie zawsze – przerwał król – ale masz faktycznie bardzo dużą ilość trafnych przepowiedni.

Rael kontynuował:

– Twoje informacje na temat miasta Uruk są nieścisłe. Kryzys skończył się jakiś czas temu.

– Szpieczy w Uruk mówią coś innego – wtrącił się król.

– Musimy przyjrzeć się im bliżej. Może są zdemoralizowani i skorumpowani przez urzędników z Uruk – ciągnął dalej arcykapłan. – Czy wiesz, czym się tam zajmują?

– ?

- Dowiedziałem się ostatnio, że mają wysokie stanowiska w administracji, biorą ogromne wynagrodzenia i nie mają żadnych obowiązków. Czy to nie dziwne?

– ?

– Prawdopodobnie jedynym ich zadaniem jest dezinformowanie ciebie i twoich doradców. Chcą sprowokować atak na Uruk, by rozgromić twoje wojska. Na swoim terenie od pewnego czasu mają już przygotowane niespodzianki dla twoich oddziałów, dlatego gorąco odradzam wyprawę.

– Tak mi chodzi po głowie, czy astrolog nie jest kolaborantem Uruk – powiedział z namysłem król. – Takie wnioski można wyciągnąć z tego, co mówisz.

– Astrolog nie ma nic wspólnego z Uruk – zapewnił Rael, skrobiąc się po głowie. – Jest po prostu głupi i boi się o swą posadę.

– Jakie to szczęście, że oprócz astrologa mam ciebie Raelu – z lekkim uśmiechem zakończył rozmowę król – Wstrzymuję przygotowania do wojny.

*

Pisarz ukradkiem podsłuchiwał rozmowę króla z Raelem. Postanowił natychmiast zawiadomić swoich mocodawców z Uruk, że wyprawa została odwołana. Już wychodził z sali, gdy zagadnął go Kaalan:

– Dokąd się tak spieszysz? Nie napijesz się ze mną wina?

– Przepraszam cię czcigodny Kaalanie, – powiedział – ale muszę udać się do toalety. Brzuch mnie boli.

Po tych słowach pisarz oddalił się.

Uczta trwała dalej. Arcykapłan jak zwykle nie zapomniał o swoim psie. Wybrał smakowite kąski i wyniósł je dla niego. Kiedy wychodził zauważył, że pisarz szybkim krokiem opuścił salę biesiadną i znikł w głębi korytarza. Była już noc. Arcykapłan powoli karmił psa, lubił patrzeć jak zwierzę je z apetytem. Nagle zobaczył w jednym z pałacowych okien błyski światła powtarzające się w regularnych odstępach. Wrócił na ucztę, podszedł do Kaalana:

– Sądzę, że ktoś przekazuje informacje błyskami światła ze wschodniego skrzydła.

Dowódca natychmiast rozkazał żołnierzom przeszukanie tej części pałacu. Biesiada trwała, nikt z niewtajemniczonych nie zorientował się, że coś się stało. Po pewnym czasie jeden z żołnierzy zameldował Kaalanowi, że nie znaleziono nikogo podejrzanego.

– Czy spotkaliście kogoś na korytarzu? – zapytał Rael.

– Tylko służbę i pisarza, który wracał do swojej komnaty – odparł zapytany.

Rael zamyślił się, wypił jeszcze trochę ulubionego piwa z winem. Uczta zaczęła go nużyć.

– Pójdę już sobie – pomyślał.

Pożegnał się z królem i rozochocionymi biesiadnikami. Wychodząc spojrzał na inkrustowaną ławę z drzewa bukszpanu i dostrzegł siedzące tam dwie znajome istoty. Patrzyły na niego. Pies pojawił się, gdy tylko arcykapłan przekroczył próg pałacu. Majusz zaczął, aż pan wsiądzie do rydwanu, wskoczył za nim i usadowił się tak, żeby nie przeszkadzać.

Kiedy opuścił teren pałacu w ślad za nim ruszyły dwa rydwany.

– Widzę, że nie tylko ja jestem już zmęczony jedzeniem – pomyślał.

Postanowił przed powrotem do domu przejechać się nad morze. Po uczcie, gwarze rozmów i nagromadzeniu ciężkich zapachów perfum i kadzideł czuł się ociężały i zmę-

czony, a spacer po plaży zawsze przynosił mu ukojenie. Przejeżdżając przez gaj palmowy odczuł silny niepokój i ból głowy. Znał te objawy.

– Nadciąga burza piaskowa – pomyślał – szkoda, trzeba wracać.

Zwolnił, żeby zawrócić i popatrzył do tyłu. Spostrzegł, że rydwany szybko zbliżają się w jego kierunku. Pies zawarczał. Powietrze przeszył świst strzały, która wbiła się w rydwan obok nogi Raela. Arcykapłan zaciął konie. Ruszyły galopem.

– Są za blisko, nie ucieknę im – myślał gorączkowo.

Skierował zaprzęg w stronę kanałów irygacyjnych. Napastnicy zbliżali się nieubłaganie, pociski świstały mu koło uszu, jedna ze strzał ugodziła go w ramię. Pędził wprost na rów wypełniony wodą. Tuż przed nim spał konie, które przeskoczyły z trudem przeszkodę, rydwan z hukiem wylądował na drugim brzegu,

– Solidny! – przemknęło mu przez głowę.

Arcykapłan gnał dalej, odwrócił głowę i zobaczył jak jeden ze ścigających rydwanów tak jak i on pokonuje przeszkodę, a drugi wpada do rowu. Rozpoczęła się burza piaskowa. Piasek smagał go po twarzy. Nie mógł złapać tchu. Wjechał na plażę, rydwan zarył się w piasku i przewrócił. Rael wypadł z niego. Poczł dojmujący ból w zranionym ramieniu. Zerwał się szybko na nogi. Ścigający zaprzęg także przewrócił się, a dwaj jadący nim mężczyźni upadli w pobliżu Raela. Pies skoczył ku nim, rzucił się na jednego z leżących i zacisnął mu zęby na szyi. Drugi podniósł się błyskawicznie, chwycił włócznię i zamachnął się by pchnąć zwierzę. Z braku lepszej broni arcykapłan złapał parasol i rzucił nim w kierunku mężczyzny. Jego szpic wbił się w oko napastnika, który krzycząc przeraźliwie padł na kolana. Krew tryskała mu z twarzy czerwieniąc piasek. Rael podbiegł do niego, podniósł upuszczoną włócznię i przebił go na wylot. Mężczyzna osunął się martwy. Na plaży leżały dwa nieruchome, zakrwawione ciała. Arcykapłan wyprzągł konie, które pogalopowały w kierunku drzew, a sam schował się za przewróconym pojazdem. Pies podszedł do Raela i usiadł, arcykapłan oddychał chwilę głęboko, pogłaskał psa.

– No to koniec spaceru – powiedział – gdy wiatr ustanie wracamy.

Burza cichła. Ruszyli pieszo do domu. Po powrocie Rael wysłał do króla umyślnego z wiadomością o zajściu.

*

W następnych dniach Kaalan prowadził śledztwo w sprawie zamachu na Raela. Od czasu uczty arcykapłan nie widział obcych, nie próbował wyprawiać się do ich świata.

*

Mijał czas. Rael właśnie siedział w jednej z komnat w swoim domu i oglądał nową figurkę Nanny, gdy przez ścianę wniknęły dwie znajome istoty.

– Witaj kolego. Jak się masz? – odezwała się jedna z nich.

Arcykapłan spojrział na nią zmieszany i lekko wstrząśnięty.

– Czyżbyś się zdziwił, że nas znowu widzisz? – zawtórowała druga.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał. Zdawało mu się, że w myśli wypowiedział te słowa. Jednak mylił się. Słyszając głos swojego pana do komnaty wbiegła niewolnica.

– Panie wzywałeś mnie?

– Czy coś tam widzisz? – Rael wskazał ręką na dwie astralne postacie.

– Tak, ławę – odparła.

– I nic więcej?

– No, ścianę za ławą.

– Aha.

– Czy coś powinnam widzieć?

– Dziękuję, możesz już odejść.

Niewolnica, gdy tylko wyszła z komnaty, od razu zaczęła rozpowiadać innym niewolnikom, że ich pan ma nie wszystko po kolei w głowie, co ma prawdopodobnie związek z silnymi przeżyciami sprzed kilku tygodni.

Arcykapłan spojrział na istoty.

– Widzisz, – powiedziała jedna z nich – twoja służąca już zaczęła robić z ciebie wariata.

– Nic dziwnego – odparł udając spokój Rael. – Oni potrzebują jakiejś sensacji, aby urozmaicić sobie życie. Czego tu szukacie?

- A ty czego u nas szukałeś? – usłyszał w odpowiedzi.
- Ja tam byłem przez przypadek i przez ciekawość – odpowiedział arcykapłan.
- My tu jesteśmy z drugiego powodu, bo na takie przypadki nie chcemy się narażać. Życie w ciałach fizycznych nam jeszcze nie obrzydło – usłyszał. – Pokazałeś nam bezpieczną drogę, teraz częściej będziemy cię odwiedzać. Pozwól, że się przedstawimy. Ja jestem Zal, a to jest moja przyjaciółka i współpracownica Ler.
- Skąd znacie mój język? – zapytał dalej zmieszany, ale już nie wstrząśnięty arcykapłan.
- Przecież jeszcze niedawno nie rozumieliście mnie. Między sobą rozmawialiście dziwnymi dźwiękami, a dzisiaj swobodnie mówicie po sumeryjsku.
- To tobie się wydaje, że to są dziwne dźwięki. My uważamy inaczej. Twój język znamy, bo rozszyfrowaliśmy twoje myśli – rzekł Zal. – Nie wyjaśnię ci w jaki sposób to zrobiliśmy, nie dla tego, że to jest wielka tajemnica, ale w twoim świecie nie ma odpowiednich przedmiotów i odpowiednich słów na ich określenie. Tak sądzę po informacjach zawartych w twojej pamięci.
- Skąd przybyliście? – zadał pytanie Rael.
- Skąd, to chyba wiesz – powiedziała Ler. – Sam nas przyprowadziłeś. W naszym świecie zajmujemy się badaniem takich miejsc mocy jak to, w którym spotkaliśmy się. Obserwujemy wiele tuneli. Ten badaliśmy od dwóch miesięcy.
- Ciekawe, skoro wiedzieliście od dawna o tunelu – zapytał Rael – dlaczego sami wcześniej nie przeszliście przez niego tylko czekaliście na mnie?
- Z prostego powodu – odparła Ler. – Tunel powstał niedawno, więc musieliśmy sprawdzić czy jest stabilny, te tunele często się otwierają i dość szybko zamykają. Kilku naszych badaczy z tego powodu nie wróciło do naszego świata. Rzadko zdarzają się tunele, które są otwarte dłużej niż kilka godzin. Ten, którego my używamy jest wyjątkowo trwały. Jeszcze nie wiemy dlaczego. Poza tym nie wiedzieliśmy, co jest po drugiej stronie i nie chcieliśmy ryzykować, twoje przybycie wiele nam wyjaśniło.
- Baliście się, że z drugiej strony czekają istoty podobne wam, które was schwytają – wtrącił się Rael.
- No właśnie, ale nie tylko – kontynuowała Ler.

- Co jeszcze może się stać duchowi? – spytał arcykapłan – Schwytnie ducha bardzo mnie dziwi. W moim świecie nikt takich rzeczy nie potrafi zrobić.
- Można całkowicie unicestwić ducha – odpowiedziała na pytanie Ler.
- To chyba niemożliwe. Nie wierzę w to – powiedział Rael.
- Człowieku małej wiary – ciągnęła dalej Ler – My to robimy od paru milionów lat.
- ...?
- To tylko kwestia rozwoju wiedzy – mówiła. – Wy ludzie też to wcześniej czy później osiągniecie, gdy dojdziecie do określonego stopnia rozwoju technicznego.
- Czy stosowaliście to wobec waszych pobratymców? – spytał arcykapłan.
- Dawniej tak, ale bardzo rzadko, teraz już nie – odpowiedziała.
- W jakich przypadkach? – drążył temat Rael.
- Kiedyś tak likwidowaliśmy notorycznych przestępców – powiedział Zal. – Jak wiesz, my tak jak i wy, odradzamy się co jakiś czas w ciałach fizycznych. Jeśli morderca w każdym z kolejnych wcieleń mordował i to na dużą skalę i nie rokował nadziei na poprawę likwidowaliśmy go całkowicie. Ciało i duszę.
- A teraz? – spytał Rael.
- Teraz mamy inne metody – kontynuował Zal. – Zmieniamy całkowicie osobowość takiego delikwenta. To jest w zasadzie równoważne karze śmierci, ale społeczeństwo patrzy na to życzliwszym okiem, a taki osobnik staje się użyteczny społecznie przez wiele wcieleń.
- Tylko w takich przypadkach to stosowaliście? – pytał dalej Rael.
- Nie tylko – kontynuował Zal. – Nasz wszechświat składa się ze światów materialnych i duchowych, zamieszkiwanych nie tylko przez łagodne istoty. Od czasu do czasu jakiegoś demonowi uda się przeniknąć do naszego świata, zaczyna rozrabiać i siał spustoszenie. Opętuje naszych współbraci. Wtedy go zabijamy. Jeśli już decyduje się na wtargnięcie do innego świata z takimi zamiarami i co gorsza realizuje je, to powinien się liczyć z tym, że ktoś w pewnym momencie go unicestwi.
- A powracając do tuneli – zmienił temat Rael. – Co by się stało, gdyby w czasie mojego pobytu u was tunel się zamknął?

– Fizycznie nie żyłbyś – wtrąciła się Ler. – Poszedłbyś do naszego świata astralnego, a po pewnym czasie odrodziłbyś się jako jeden z nas. No, chyba że jesteś tak doskonały, że poszedłbyś do wyższego świata duchów doskonałych, ale sądząc po zapisie twoich wspomnień na pewno odrodziłbyś się jako jeden z nas.

– Jak to – zaniepokoił się arcykapłan, – nie byłbym człowiekiem?

– Widzisz – tym razem wyjaśniał Zal. – My jesteśmy innym wariantem twojego świata. Istoty inteligentne tam zamieszkujące, czyli my, są w rozwoju duchowym na poziomie ludzi i tak samo jak wy odradzają się co jakiś czas, aż poprzez swoje życie osiągną taki poziom doskonałości, który pozwala na przejście o szczebel wyżej, do świata duchów, gdzie dalej się doskonali. Nasi mędracy twierdzą, choć nie jest to jeszcze dokładnie zbadane, że na pewnym poziomie rozwoju duchowego istoty z różnych światów alternatywnych przebywają razem, znikają między nimi różnice, a potem wszystkie łączą się z jednym wszechogarniającym duchem wszystkich wszechświatów.

– To znaczy, że wasi badacze, którzy zaginęli w innych wariantach naszych światów odrodzili się jako istoty zamieszkujące tamte światy? – zgłębiał problem Rael.

– Najprawdopodobniej – odparł Zal. – Chyba, że zostali zlikwidowani przez tamtejszych mieszkańców, co nie jest wcale wykluczone. Nie mamy z nimi kontaktu.

Do komnaty weszła służąca z wiadomością o przybyciu żołnierzy.

– Wprowadź ich – polecił Rael.

Przybyli zameldowali o schwytaniu szpiega Uruk, który najprawdopodobniej miał coś wspólnego z zamachem na życie arcykapłana.

Zal i Ler cały czas uważnie przysłuchiwali się rozmowie. Po wyjściu żołnierzy Zal zapytał:

– Czy zabijacie szpiegów? Przyszedł mi do głowy pomysł. Chciałbym wcielić się w niego i zobaczyć jak wygląda życie ludzi.

– Myślę, że da się to zrobić – powiedział Rael.

– W takim razie – poprosił Zal, – jeśli to możliwe, zabijcie go tak, aby nie uszkodzić ciała.

Rael wysłał służącego do króla z prośbą o wstrzymanie tortur szpiega, aż do jego przybycia. Sam zaczął ustalać szczegóły operacji z przybyszami. Zal i Ler nauczyli go, jak robić sztuczne oddychanie i masaż serca. Potem udał się do króla, aby wyjaśnić swoją

dziwną prośbę. Zaintrygowany król wyraził zgodę. Rael z gośćmi, żołnierzami i katem udali się do miejsca, gdzie więziono szpiega. Mężczyzna wisiał przykuty do ściany. Rael stanął naprzeciw niego i przeszywającym wzrokiem patrzył mu w oczy. Zaczął równomiernie oddychać i koncentrować się na umyśle więźnia. Powoli poznawał jego myśli i charakter. To samo zrobili Zal i Ler. W ten sposób dowiedzieli się, że zdrajcą był pisarz. Jeńca odkuto i uduszono. Zal wszedł w jego ciało, Rael rozpoczął masaż serca, a jeden z żołnierzy sztuczne oddychanie. Ciało poruszyło się i zaczęło samodzielnie oddychać. Po chwili wykonało kilka nieskoordynowanych ruchów.

– Zanieście go do komnaty – rozkazał Rael.

Po kilku godzinach Zal nauczył się mówić i poruszać ciałem. Wstał i zrobił kilka kroków, co bardzo ucieszyło czuwającego przy nim Raela.

– Wreszcie możemy pogadać jak ludzie – powiedział Zal.

Wkrótce potem został schwytany i uwięziony pisarz, Ler zdecydowała się wcielić w jego ciało.

*

Uruk dalej dążyło do wojny. Przygotowania były ukończone, wojsko czekało na rozkaz ataku. Zal został wysłany na dwór w Uruk. Nikt tam nie domyślił się, że w znanym ciele jest inna osoba. Dalej darzono go pełnym zaufaniem, nawet nawiązał bliską znajomość z dowódcą wojsk.

Dzięki Ler, będącej w ciele pisarza, udało się ująć wszystkich związanych z nim szpiegów.

*

Była noc. Rael obmyślał właśnie plan ostatecznego rozwiązania konfliktu. Zjawił się Zal w ciele astralnym

– Witaj, – powiedział – Król Uruk planuje zaatakowanie Ur za dwa tygodnie.

– Nie mamy dużo czasu. Musimy temu przeszkodzić – oświadczył z mocą Rael.

– Ale jak? – zapytał Zal.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – kontynuował Rael – Zabijemy dowódcę wojska i Ler wcieli się w niego. Potem usuniemy króla, w którego ciało ja wstąpię i odwołam wyprawę.
- Pomysł dobry, bo krótki – powiedział Zal – Jak chcesz zrealizować plan?

*

Na dworze w Uruk Zal czekał na dogodną okazję by zgładzić dowódcę wojska, którego Ler, będąca w ciele astralnym, nie odstępowała ani na krok. W pewnym momencie pojawiła się u boku Zala i oznajmiła, że dowódca jest zupełnie sam w ubikacji. Zal skierował się tam szybkim krokiem, wszedł i ciosem w podbródek pozbawił go przytomności. Następnie zabił uciskając tętnice szyjne. Ler wniknęła w martwe ciało, a Zal rozpoczął masaż serca i sztuczne oddychanie. Po kilku minutach Ler, jako dowódca, zaczęła oddychać. Znała już zasady funkcjonowania ludzkiego organizmu, z łatwością podniosła się i wyszła z Zalem.

Po kilku godzinach Zal i Ler zauważyli, że po ogrodzie przechadza się samotnie faworyta króla. Dowódca znał ją od dawna, a ona okazywała mu wyraźne względy. Ler podeszła do niej, faworyta, widząc znajomego, ucieszyła się i zaczęła rozmowę. Powoli prowadziła go w ustronne miejsce parku nad sadzawkę. Na to czekała Ler. Gdy były wystarczająco daleko uderzyła kobietę pięścią prosto w serce zabijając ją na miejscu. Zal błyskawicznie znalazł się w jej ciele. Po krótkiej reanimacji podniósł się popatrzył na swoje poprzednie ciało i zepchnął je nogą do wody. W chwilę potem kroczył już z Ler po alejce szczebiocząc radośnie.

*

Nastala noc. Król wezwał faworytę do sypialni i rozkazał, aby nikt nie zakłócał im spokoju, aż do rana.

*

Rael poszedł do swojej komnaty, a strażnikom kazał jej pilnie strzec, zakazał wpuszczać kogokolwiek, a im samym wchodzić do niej. Położył się na łóżku, rytmiczne

oddychając rozluźnił ciało. Poczuł jak najpierw nogi, później ręce, tułów, a na końcu głowa unoszą się w górę. Oderwał się od swojego ciała fizycznego, które pozostało w Ur i przeniósł się do Uruk.

*

Zal wszedł do komnaty króla, który powitał go czule, wziął za rękę i poprowadził do stołu pełnego owoców i różnych gatunków wina.

– Na co masz ochotę moja droga? – spytał obejmując Zala ramieniem.

W tej samej chwili Zal zadał mu silny cios łokciem w splot słoneczny. Król stracił oddech i martwy osunął się na ziemię. Na to czekał Rael. Błyskawicznie wniknął w leżące ciało, a Zal przywrócił je do życia.

Na drugi dzień odbyła się narada wojenna, w której brał udział król, kapłani i wojskowi. Rael odwołał wyprawę przeciw Ur, co wprawiło wszystkich w wielkie zdziwienie. Sposób zachowania króla wzbudził podejrzenia arcykapłana Hrapa. Po skończeniu narady zapytał:

– Czy polecić służącym by podano ci coś do picia, panie?

– Wino z piwem, lekko zmieszane, niewstrząśnięte – bez zastanowienia odparł Rael.

To zdanie wzmogło podejrzenia Hrapa. Był pewien, że zna osobę, która pije tak dziwnie połączone napoje, ale nie mógł sobie przypomnieć, kto to jest.

Wieczorem zamknął się w komnacie, wyciągnął magiczne rekwizyty, zapalił zioła w kadzielnicy i zaczął przywoływać demona, który mu służył. W dymie kadzidła z początku mgliście potem coraz wyraźniej pojawiła się postać demona.

– Dlaczego mnie wzywasz? – zapytał.

– Powiedz, co się stało z naszym królem, dziwnie się zachowuje – powiedział arcykapłan.

– To nie nasz król, to twój kolega Rael. Zabił twój władcę i wszedł w jego ciało.

Twarz Hrapa poszarzała.

– O ten podstępny Urwysyn. Chce zawładnąć Uruk. – pomyślał, a zwracając się do demona zapytał – Co można zrobić? Nie mogę tak po prostu oskarżyć króla o to, że nie jest królem.

–Trzeba zabić ciało Raela – odpowiedział demon. – Kiedy ono umrze, umrze i ciało króla.

– Kto może to zrobić? – zapytał arcykapłan.

– Ja, przecież jestem profesjonalistą.

– To świetnie – ucieszył się Hrap – zabij go.

Demon w jednej chwili znalazł się w Ur. Odszukał miejsce, gdzie leżało ciało Raela. Przed komnatą stał strażnik. Opętał go i podporządkował sobie jego ciało. Strażnik wszedł do komnaty, wyciągnął miecz i zbliżył się do łoża, na którym spoczywało nieruchome ciało Raela.

W tym samym czasie pies Majusz buszujący w ogrodzie zatrzymał się, podniósł łeb i zaczął węszyć. Odwrócił się i ruszył w kierunku pałacu. Coś kazało mu biec co sił do komnaty pana. Wskoczył przez okno i zobaczył żołnierza z mieczem. Nie zastanawiając się, jak tygrys rzucił się do gardła napastnika, zacisnął szczęki na jego szyi i powalił na ziemię. Żołnierz charczał i miotał się po podłodze usiłując się uwolnić. Po chwili skonał. Demon opuścił ciało. Do komnaty wbiegło kilka osób zwabionych hałasem.

*

Rael poczuł niepokój. Wszedł do komnaty królewskiej, polecił by nikt mu nie przeszkadzał. Położył się, rozluźnił mięśnie, opuścił ciało króla i wrócił do Ur. W komnacie ujrzał kilka osób pochylonych nad ciałem martwego żołnierza i wymykającego się przez ścianę demona. Błyskawicznie wrócił do swojego ciała.

*

Arcykapłan ocknął się i otworzył oczy.

– Raelu, gdyby nie twój pies – krzyknął roztrzęsiony Saet – już byś nie żył. Nie wiem co wstąpiło w tego człowieka.

– Ja wiem – odparł Rael – zapobiegnę takim przypadkom w przyszłości.

*

Demon powrócił do swojego pana.

– Nie udało się – zaczął – Rael ma silną ochronę. Nie mogłem jej sforsować. Zobaczył mnie, gdy wracał do swojego ciała. Teraz będzie czujniejszy.

– Ty partaczu! – krzyknął z wściekłością Hrap. – Zdemaskowałeś mnie. Wyślę cię w najgłębszą otchłań piekieł.

Hrap skoncentrował się i zaczął szeptać zaklęcia. Za demonem otworzył się mroczny tunel i jakaś siła zaczęła go doń wciągać.

– Litości arcykapłanie! – krzyknął ostatkiem sił i pogрузzył się w otchłań.

– Nie ma litości dla partaczy! – zawołał za nieszczęsnym mściwy arcykapłan.

Tunel zniknął. Hrap spojrzał przed siebie.

– Kto robotę partaczy, świata żywych nie zobaczy – wymamrotał arcykapłan i uśmiechnął się do siebie. – Niezły dwuwiersz wymyśliłem. Powinienem pisać poezję.

Znowu powróciła bezsilna wściekłość. Hrap odruchowo zaczął dłubać w nosie i mówić do siebie:

– W dzisiejszych czasach każdy pieprzy swoją robotę, nawet demon. Wszystkim trzeba patrzeć na ręce, inaczej spartaczą to, co mają zrobić.

Pospacerował chwilę po komnacie i myślami wrócił do swojej nieciekawej sytuacji.

– Dobra, demona załatwiłem, ale co ze mną? – nerwowo zatarł spocone ręce. Poczut jak drga mu powieka. Nie cierpiał tego.

– Tylko bez paniki – wyszeptał, – ja jestem profesjonalistą. Rael ma ogromną moc, ale mam nadzieję, że po zniknięciu demona nie wyśledzi mnie. Pójdę na współpracę z nim.

W następnych dniach Hrap rozpoczął delikatne starania o zjednanie przychylności Raela, zarówno jako arcykapłana Ur, jak i króla Uruk. Po wielu miesiącach udało mu się zaskarbić względy nie tylko Raela, ale i jego psa Majusza.

*

Po dwóch tygodniach Rael miał coraz większe trudności z regeneracją ciała króla, które psuło się, gdy powracał do własnego. Aby nie tracić olbrzymich ilości energii życiowej na jego regenerację, coraz rzadziej je opuszczał. W Ur polecił zbudowanie miedzianej skrzyni. Wprowadził zaufanych ludzi na dwór w Uruk, którzy pod jego sypialnią wykopali piwnicę, przez którą puszczono lodowatą wodę ze źródła artezyjskiego. W strumieniu umieszczono miedzianą skrzynię. Tam Rael pozostawiał ciało króla, dzięki czemu nie rozkładało się tak szybko. Zaufani w tym czasie pilnowali drzwi do komnaty.

Rael jako król Uruk rządził jeszcze kilka lat. Doprowadził do sojuszu obu miast-państw.

Przez wiele lat Rael spotykał się z przybyszami z alternatywnego świata. Goście przekazali mu ogromną wiedzę z zakresu techniki, astronomii, matematyki i innych nauk, którą musiałoby zdobywać wiele pokoleń ludzi. Zyskał dzięki temu sławę najmądrzejszego człowieka w kraju i przyczynił się do ogromnego skoku naukowo-technicznego swojego państwa. Niestety po jego śmierci lwią część tej wiedzy uległa zapomnieniu.

Rozdział II

Kongres badawczy

Przez tysiąclecia tunele łączące światy otwierały się i zamykały. Dinozauroidy przenikały do świata ludzi w różnych rejonach planety. Były w Egipcie, Grecji, Rzymie, w obu Amerykach i Azji.

W świecie dinozauroidów w jednym z miast właśnie odbywa się kongres naukowy, dotyczący światów równoległych i sposobów kontaktowania się z nimi.

– A teraz zabierze głos pan profesor Cert – zapowiedział prelegenta przewodniczący kongresu.

Profesor Cert wyszedł na mównicę.

– Szanowni słuchacze – zaczął swój wykład. – Chciałbym omówić w skrócie aktualny stan badań i przedstawić pewne hipotezy. Jak wszyscy wiemy, od paru tysięcy lat kontaktujemy się z równoległymi światami dzięki naszym ciałom astralnym. Udało nam się odkryć czternaście czasoprzestrzeni.

Za plecami profesora Certa ściana zamieniła się w holograficzny ekran.

– W dwóch odkrytych czasoprzestrzeniach odpowiednik naszego układu planetarnego w ogóle nie istnieje – kontynuował dalej, a za jego plecami rozciągał się obraz gwiazdowego nieba, – co nie znaczy, że nie należy ich badać. Być może w innych układach planetarnych rozwija się życie. W jednej z czasoprzestrzeni nie odkryliśmy śladów jakiegokolwiek materii. W trzech innych istnieje taki jak nasz układ słoneczny, ale Ziemia i inne planety są martwymi pustyniami.

I znów za plecami profesora ukazały się trójwymiarowe obrazy, pokazujące Ziemię i jej sąsiadów widzianą oczami badaczy.

– W pozostałych czasoprzestrzeniach istnieje życie organiczne. W jednej z nich z grupy ssaków, które u nas są małymi zwierzętami, głównie nocnymi, wyewoluowały istoty inteligentne.

Na ekranie pojawili się ludzie.

– Jak dotąd nie udało nam się celowo przerzucić jakichkolwiek przedmiotów materialnych do tamtych czasoprzestrzeni. Zdarzyło się siedem nieszczęśliwych wypadków, kiedy to nasi uczeni z niewiadomych przyczyn, w ciałach fizycznych zostali przeniesieni do innych czasoprzestrzeni. Wszyscy już nie żyją.

Na ekranie słuchacze zobaczyli drastyczne obrazy śmierci naukowców, obserwowanych przez swoich kolegów, będących w ciałach astralnych. Niektóre z ofiar, po śmierci ciała fizycznego, przed udaniem się do świata astralnego, powróciły jeszcze do laboratoriów i przekazały swoje wspomnienia.

– Pierwszy z nich – relacjonował dalej Cert – został przeniesiony do wszechświata, w którym w ogóle nie ma podobnego do naszego układu planetarnego, w próżni jego ciśnienie wewnętrzne momentalnie rozerwało go na strzępy. Drugi zginął na Ziemi, gdzie królowały bakterie beztlenowe. Udusił się z braku tlenu. Aż czterech przeniknęło, nie wiedzieć czemu, na Ziemię planetę ludzi. Jeden z nich utopił się, bo akurat wylądował w jakimś morzu, kolejny został zabity przez ludzi, a dwóch zmarło na nieznane choroby.

Na moment przerwał, aby słuchacze mogli trochę ochłonać po tym, co zobaczyli, następnie kontynuował dalej:

– Po tym trochę zbyt długim wstępie chciałbym przejść do spraw natury technicznej. Kanały, łączące światy równoległe, powstają i znikają z niewiadomych przyczyn i na dodatek niespodziewanie, chociaż niektóre z nich sygnalizują wcześniej zamknięcie się lub otworzenie. Są to prawdopodobnie fluktuacje energetyczne czasoprzestrzeni, dla których nie udało nam się jeszcze wypracować wiarygodnej teorii. Analogiczne kanały, łączące poszczególne części naszej czasoprzestrzeni, już dawno odkryto na Ziemi i w kosmosie. Cały nasz wszechświat przenikają takie kanały. Wiadomo, że ciała astralne poruszające się w naszym wszechświecie są w stanie wytworzyć sobie tego typu kanały, które znikają zaraz po odbyciu podróży astralnej. Niektóre z nich zostają, tworząc jakby ślad po podróży. Kanały są różnej średnicy i różnych przekrojów. Przeważają przekroje kołowe, ale są i elipsy, owale, kwadraty i prostokąty. Nie stwierdziliśmy trójkątów i wielokątów innych niż wcześniej wymienione. Przy eksperymentach z materializacją istot astralnych i aportami astralnym czyli przy dematerializacji przedmiotu w jednym miejscu, a materializacji w innym, w oparciu o umiejętności posiadane przez niektórych naszych współpracowników, zauważono obniżanie się temperatury otoczenia, osłabienie energii witalnej mediów, a także w niektórych przypadkach pobór mocy ze źródeł energii elektrycznej. Wniosek: do materializacji potrzebna jest energia. Jeśli weźmiemy pod uwagę wzór $E = mc^2$, czyli energia jest równa masie pomnożonej przez pewną stałą, którą jest kwadrat prędkości światła i przekształcimy go w prosty sposób, to otrzymamy wzór $m = E/c^2$, a więc możliwe jest przekształcenie masy w energię i odwrotnie. Biorąc pod uwagę, że badane przez nas kanały są falowodami możliwe jest przekształcenie materii na jednym końcu kanału w energię fal, przesłanie kanałem tejże energii w postaci fal i na końcu kanału zmaterializowanie na powrót obiektu przesyłanego. Podjęto już próby z tworzeniem

sztucznych kanałów, które dla niewielkich odległości wypadły pomyślnie. Zbudowano pierwsze prototypy urządzeń mogących dematerializować materię w jednym miejscu – na początku sztucznie wytworzonego kanału, a materializować w innym – przy końcu takiego kanału.

Za plecami profesora Certa pojawiły się sceny z prób prototypów.

– Niestety próby z przesyłaniem obiektów jak na razie wypadają dość mizernie. Jednak odnotowujemy już pewne sukcesy. Udało się zdematerializować monokryształy żelaza i zmaterializować je w podobnej postaci, co widać na projekcji za mną. Próby z monokryształami związków chemicznych, nie mówiąc o bardziej złożonych przedmiotach, wypadły negatywnie. To, co uzyskiwaliśmy u wylotu kanału przesyłowego w niczym nie przypominało obiektu sprzed dematerializacji. Na tym chcę zakończyć mój referat. Dziękuję państwu za cierpliwość i uwagę.

Po wystąpieniu profesora zabrał głos przewodniczący konferencji.

– A teraz proszę o pytania do prelegenta.

Rozpoczęła się burzliwa dyskusja. Zasypywano profesora Certa gradem pytań, wygłaszano własne poglądy, lecz nic konkretnego nie ustalono.

Rozdział III

Cert wśród ludzi

Była letnia noc. W lesie, na polanie sataniści odprawiali obrzęd ku czci Lucyfera. Wszyscy pragnęli przywołać go na ten świat. Z pewnej odległości obserwowali ich rycerze księcia. Mieli rozkaz aresztować wszystkich, włącznie z Lucyferem, jeśli przez przypadek się pojawi. Książę za namową biskupa przysłał swych ludzi w celu likwidacji siedliska zła, które według informatorów biskupa pleni się w tej okolicy. Obrzęd trwał. Koncentracja energii psychicznej uczestników osiągnęła apogeum.

*

Tej samej nocy w świecie dinozauroidów urządzenia sygnalizowały dziwne zwiększenie aktywności tunelu. Zaalarmowani naukowcy, na czele z profesorem Cer-tem, pobiegli w jego kierunku. Profesor Cert nieopatrznie stanął na otworze tunelu i na oczach zdumionych współpracowników zaczął rozpylać się w powietrzu.

*

Nagle powiało chłodem. Uczestnicy obrzędu gwałtownie zaczęli tracić siły. W środku kręgu utworzonego przez satanistów zaczęła się materializować jakaś poczwara.

– Co za ohyda – szepnął jeden z rycerzy schowany pod krzakiem. – Dobrze, że to taki kurdupel.

– Cicho – syknął przez zęby dowódca.

Wygląd zjawy nie przestraszył satanistów. W wizjach narkotycznych widzieli o wiele pa-skudniejsze stwory. Byli przekonani, że to sam Lucyfer wysłuchał ich wezwań i przybył do swoich wiernych sług.

Profesor Cert, bo to on właśnie zmaterializował się na polanie, był zdumiony i przestraszony. Co prawda od dawna marzył, aby w ciele fizycznym móc znaleźć się pośród ludzi, by prowadzić badania, lecz gdy to się spełniło, boleśnie zdał sobie sprawę, że czym innym są marzenia, a czym innym rzeczywistość.

– Witaj Lucyferze, nasz Panie – usłyszał.

Znał ten język. Jego koledzy już dawno go rozszyfrowali.

– I coście zrobili – powiedział spokojnie. – Jak ja teraz wrócę do domu?

To powiedziawszy zaklął tak siarczyście, że utwierdził wyznawców zła w przekonaniu, że mają do czynienia z osobnikiem z piekła rodem. W tym momencie z ukrycia wyskoczyli żołnierze księcia. Łapali satanistów, zarzucając na nich sieci i wiążąc ich. Akcja przebiegała bardzo sprawnie. Wiadomo, co rutyna to rutyna. Profesor Cert, nim cokolwiek zdążył pomyśleć, leżał przygnieciony ciałami trzech żołnierzy, którzy z wielką wprawą krępowali mu ręce i nogi. Zupełnie przestał mu się podobać pobyt wśród ludzi. Został wrzucony na wóz. Satanistom związano ręce na plecach, założono pętle na szyje

i przywiązano do wspólnego sznura, który przytroczono do konia jednego z rycerzy. Tak utworzony konwój ruszył w kierunku zamku.

Powiadomiony o pełnym sukcesie akcji książę Roland natychmiast chciał zobaczyć monstrum, które schwytali żołnierze. Zerwał się z łóżka, zarzucił coś na siebie i zbiegł do sali tronowej. Czekali już na niego: biskup, nadworny medyk i astrolog w jednej osobie i kilku rycerzy.

– Wprowadźcie szatana – rozkazał książę, sadowiąc się wygodnie na tronie.

Polecenie zostało błyskawicznie wykonane. Związane go wiesiono do sali i rzucono na podłogę.

– Moglibyście mi chociaż rozwiązać nogi, abym mógł stać – zaproponował Cert. – Reumatyzmu się nabawię, leżąc tak na zimnej posadzce.

Wszyscy popatrzyli na księcia Rolanda.

– Rozwiążcie mu nogi – zdecydował.

– Ależ panie, to może być diabelski podstęp – zaproponował biskup.

– Ryzyko przyjmuję na siebie – zaprzeczował książę – wykonać rozkaz.

Żołnierze rozwiązyli nogi Certowi i podnieśli go.

– Trochę mi niewygodnie z rękami zawiązanymi na plecach i przywiązanymi do szyi – drażył dalej problem Cert.

– Zwiążcie mu ręce z przodu – zakomenderował książę. – Taki konus nie powinien być niebezpieczny.

– Byłbym ostrożny – wtrącił się biskup, – nie wiadomo, co ten czart potrafi.

– Wykonać rozkaz – powiedział książę.

Żołnierze sprawnie zmienili wiązanie, krępując Certowi ręce z przodu na nadgarstkach.

– Skąd jesteś? – spytał Cert książę.

– Trudno mi to wyjaśnić – zaczął profesor. – Pochodzę z innego świata.

– Z piekła – wrzasnął biskup.

– Można to i tak nazwać – zgodził się Cert, – lecz sądzę, że określenie „piekło” bardziej pasuje do tego miejsca. Ludzie narwani, zamek wygląda jak więzienie. Brud i smród. Nigdy tu chyba nie sprzątaacie, a sami się nie myjecie.

– Panie, on nas obraża – krzyknął rycerz Herald dowodzący oddziałem, który schwytał satanistów. – Czy mam go wyplazować mym mieczem, by nabrał ogłady?

– To jest dobry pomysł – podchwycił ksiązę, – ale wstrzymaj się z tym na razie Heraldzie.

A zwracając się do Certa powiedział:

– Słuchamy.

Cert przedstawił się i używając w miarę zrozumiałych dla obecnych słów, opowiedział o świecie dinozauroidów. Gdy skończył wtrącił się Herald:

– Łże jak pies! To Lucyfer. Sam widziałem, jak po wezwaniach satanistów pojawił się na polanie. To szatan i trzeba go zabić.

I Herald miał szczerą chęć spełnić te słowa. Obrót, jaki przyjęły sprawy, zupełnie nie podobał się Certowi.

– Zgadzam się z tym. Spalmy go na stosie – zawtórował Heraldowi biskup. A wyciągnąwszy rękę z krucyfiksem w kierunku Certa krzyknął – Apage Satanes.

Tymi słowami zaskoczył Certa, który nie znał łaciny.

– I co ja mam teraz zrobić? – spytał. – Mam się przestraszyć tej figurki z cyrkowcem i zniknąć czy co?

– On sobie kpi z Chrystusa! – zagrział wzburzony biskup.

– I z nas wszystkich! – ryknął Herald i podbiegł do Certa chcąc wymierzyć mu cios w głowę.

Cert uchylił się i prawa ręka Heraldą przeleciała nad nim. Błyskawicznie dwoma związanymi rękoma chwycił prawe ramię Heraldą i gwałtownie pociągnął. Herald usiłował utrzymać równowagę, zrobił krok prawą nogą do przodu, lecz Cert zablokował mu ją swoją lewą nogą. Herald odbył efektowny lot i spadł plecami na kamienną posadzkę uderzając w nią głową. Odgłos uderzenia rozległ się echem po całym zamku.

– Zdumiewające – pomyślał ksiązę. – Niby taki kurdupel, a Herald pofrunął jak ptaszek. Ciekaw jestem, co on jeszcze potrafi.

– O Jezus Chryste! – krzyknął Herald trzymając się za głowę. – To diabelska sztuczka. Trzeba zabić tego szatana.

– Zabijmy go – poparli Heraldą biskup i medyk.

– W porządku – zgodził się książę. – Ale dajmy mu szansę. I dajmy szansę Heraldowi na satysfakcję. Heraldzie wyzwij Certa na pojedynek.

– Z przyjemnością – odrzekł Herald.

Zdjął swoją rękawicę i rzucił pod nogi Certa.

– W porządku – powiedział Roland. – Pojedynek jutro w południe na dziedzińcu zamkowym. Cercie wybierz rodzaj broni.

Cert był przerażony tym, co usłyszał. Jutro w południe ma zginąć z ręki tego dryblasza. Nie mógł darować sobie, że w ogóle zaczął prowadzić badania światów równoległych. Aż zaniemówił z wrażenia.

– No Cercie, co z tobą? – ponaglał książę Roland.

– Nie umiem jeździć konno – wystękał Cert.

– W porządku, pojedynek odbędzie się pieszo – zawyrokował Roland.

W końcu Cert opanował się i zapytał:

– Miotaczy plazmy tu pewnie nie macie?

– ... ???

– Żartowałem. Wasza broń jest za ciężka dla mnie.

– Ale się wymiguje – wtrącił się Herald.

– No dobrze, dajcie mi drewnianą pałkę tej długości – Cert związanymi rękami pokazał odpowiednią wysokość nad ziemią – okutą na jednym końcu żelazem. On niech walczy czym chce.

– W porządku, niech kowal przygotuje pałkę – zdecydował Roland. – A teraz idziemy spać. Zamknijcie Certa w wieży w oddzielnej celi.

Jak rozkazał, tak uczyniono. Cert położył się na wiązce stęchłej słomy, ze zdenerwowania, smrodu i niewygody nie mógł zasnąć. Nagle w celi ukazali się jego współpracownicy.

– Witaj szefie! – zawołała Werna. – Nie mogliśmy cię znaleźć.

– Widzę, że jesteś w nienajlepszym położeniu – dodał Zoran.

– Nienajlepsze położenie to mało powiedziane – jęknął Cert. – Jestem w tragicznym położeniu. Jutro w południe, a raczej już dzisiaj, mam walczyć na śmierć i życie z jakimś osiłkiem. Ja przecież nigdy nie walczyłem. Nie byłem nawet w żadnej paramilitarnej or-

ganizacji. Z policją miałem kontakt, gdy mi wypisali mandat za złe parkowanie magnetolotu. Ten dryblas jak nic mnie dzisiaj rozwali.

Wiadomość o pojedynku zmroziła Wernę i Zorana.

– Profesorze na pewno wygrasz – pocieszała go Werna. – Przecież wszyscy ćwiczymy samoobronę. A poza tym powinieneś pozytywnie myśleć. W trudnych sytuacjach zawsze nam mówiłeś, że najważniejsze jest pozytywne myślenie.

– Widzę, że poczucia humoru przybywa ci z każdą minutą – powiedział Cert. – Trudno się dziwić, przecież to ja mam walczyć, a nie ty. A co do moich rad to co innego komuś radzić, a co innego samemu się do tych rad stosować.

– Szefie na pewno wygrasz – zdecydowanie powiedział Zoran. – Spróbuj się teraz przespać i wypocząć. Na razie znikamy. Jutro znów przyjdziemy.

Towarzysze zniknęli, a profesor po pewnym czasie zasnął.

*

Następnego dnia przed południem dwóch żołnierzy przyniosło wodę i jakieś jedzenie. Cert wypił wodę, następnie oglądnięt i powąchał jedzenie. Pomyślał, że chyba się tym nie otruje, bo to co jedzą mięsożerne ssaki nie powinno mu zaszkodzić. Zaczął powoli jeść, żując starannie. Przelykał właśnie kolejny kęs, gdy w ciałach astralnych pojawili się jego przyjaciele.

– Cześć szefie – powiedział jeden z nich. – Nie rozglądaj się tak, bo pomyślą, że zwariowałeś. Jesteśmy z tobą.

Po posiłku żołnierze wyprowadzili Certa na dziedziniec zamku. To, co ujrzał zdumiało go niezwykle. Oprócz około setki ludzi siedzących na krużgankach i częściowo na dziedzińcu, wokół było pełno duchów dinozauroidów. Może około dwustu. Siedziały wszędzie: na dachach, na dziedzińcu, na krużgankach między ludźmi, inne unosiły się w powietrzu. Przybyli jego przyjaciele, rodzina, znajomi i dziennikarze.

– Igrzyska sobie urządzili – pomyślał z przekąsem Cert.

Jedna z kobiet siedzących na krużgankach z przerażeniem w oczach poderwała się na równe nogi i krzyknęła:

– Chryste Panie! Tu jest pełno diabłów. Są wszędzie!

Po tych słowach zemdląca. Kilku ludzi zaczęło ją cucić. Inni rozglądali się wokół, lecz nic szczególnego, oprócz Certa, nie widzieli.

Przyniesiono Certowi kilka zbroi, lecz wszystkie były dla niego zdecydowanie za duże i ich konstrukcja nie odpowiadała jego budowie ciała. Dinozauroidy podlatywały do niego, aby go pocieszyć i dodać odwagi lub udzielić taktycznych rad. Słuchał tego, lecz zewnętrznie nie dawał po sobie poznać, że kogokolwiek widzi i słyszy poza ludźmi. Wziął do ręki pałkę, którą mu przyniesiono i pomachał nią trochę. Była w sam raz dla niego. Wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, by się rozgrzać przed walką i wyszedł na środek dziedzińca. Naprzeciw niego w lekkiej zbroi, z mieczem i tarczą w rękach wyszedł rycerz Herald. Stanęli na wprost siebie i przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Cert czuł telepatycznie, że ze strony Heralda nie ma co liczyć na litość. Herald chce go zabić. Widząc proporcje obu zawodników część publiczności nie szczędziła złośliwych uwag pod adresem Heralda, co go jeszcze bardziej rozsierdzało. Wtem zagrały trąby. Książę Roland i jego małżonka Szczęsnodara, księżniczka słowiańska, przeszli krążgankami i zajęli honorowe miejsca. Herald w krótkich słowach przedstawił powód pojedynku, jego uczestników oraz regulamin walki. Gdy skończył, książę dał znak do rozpoczęcia walki. Herald ruszył na Certa. Cert, który do tej pory odczuwał paniczny lęk, w tej sekundzie przestał się bać. Strach ustąpił miejsca spokojowi i silnej koncentracji. Tłum dinozauroidów zamarł w napięciu. Herald zadał pierwszy cios mieczem. Cert wykonał zręczny unik i miecz ciął powietrze nad jego głową. Herald ponawiał ataki, lecz Cert zręcznymi manewrami unikał ciosów. Uciekał przed Heraldem, a ten goniąc go zawzięcie ciął powietrze. Dinozauroidy w wielkim napięciu oglądały walkę, a ludzie śmiali się i kpili z Heralda. Herald zapomniał o ostrożności. Gonił zawzięcie Certa, wywijając na lewo i prawo mieczem. Gdy zaatakował, robiąc równocześnie krok do przodu prawą nogą, Cert uniknął ciosu, przysiadając na lewej nodze i wykonał na niej obrót, prawą nogą podciął nogę Heralda. Rycerz upadł na ziemię jak długi, wypuszczając miecz z ręki. Na widowni zapanowała cisza. Herald od razu zaczął się podnosić. Gdy był na czworaka otrzymał silny cios pałką w głowę, który zerwał mu hełm. Ogłuszyło go to trochę, lecz nie stracił przytomności. Sięgnął po miecz i podnosił się dalej. Gdy był w półprzysiadzie, Cert uderzył go pałką w twarz, miażdżąc nos i wybijając oko. Krew trysnęła naokoło. Przez

oczodół zaczął wypływać mózg. Mężczyzna drgał przez chwilę w konwulsjach. Cert stał z pałką w rękach gotową do zadania ciosu. Jeszcze nie uwierzył w swój sukces. Wśród ludzi panowała głucha cisza, za to dinozauroidy opanował szal radości. Podlatywały do Certa i składały mu gratulacje. Cert oczywiście nie dawał po sobie poznać, że je widzi. Cały czas zachowywał olimpijski spokój.

– Zabić bestię – krzyknął biskup z trybuny.

– Zabić – zawtórował tłum.

– Cisza! – krzyknął książę. – Sam zdecyduję co z nim zrobić.

A zwracając się do strażników rozkazał:

– Zaprowadźcie Certa do wieży, a ciało Heralda usuńcie.

Strażnicy pochwycili dinozauroida i zaprowadzili do celi. Ludzie powoli opuszczali dziedziniec i krużganki.

– Dobrze się stało – pomyślał książę, który nie znosił Heralda, a nie miał sposobu by się go pozbyć. – Cert nawet nie wie, jaką zrobił mi przysługę.

Książę nie cierpiał tego zarozumiałego rycerza, który miał bardzo wysokie ambicje. Wiedział, że marzył o tronie książęcym, a może i mierzył wyżej. Knuł przeciw niemu spiski, włącznie z próbą otrucia. Książę doskonale o tym wiedział, lecz nie miał na to bezspornych dowodów, a bez nich nawet on nie mógł nic zrobić rycerzowi o takiej pozycji, jaką miał Herald. Cert wykonał za niego brudną robotę.

W celi Certa kotłował się tłum dinozauroidów. Gratulowali mu zwycięstwa, mówili o próbach przerzucania obiektów materialnych pomiędzy czasoprzestrzeniami. Zapewniali, że to kwestia niedługiego czasu, gdy podróże w ciele fizycznym będą możliwe między czasoprzestrzeniami i że będzie mógł powrócić do domu. Oczywiście Cert, jako stary praktyk, nie wierzył w te zapewnienia. Na rozmowach ze znajomymi spędził czas do wieczora, kiedy to przyszli po niego strażnicy.

– Chodź z nami – rozkazał jeden z nich. – Książę chce cię zobaczyć.

Wyprowadzili go z wieży i poszli do komnaty księcia, który z kilkoma rycerzami siedział przy suto zastawionym stole i o czymś z nimi zaciekle dyskutował.

– Witaj – zwrócił się do więźnia. – Usiądź z nami przy stole i poczęstuj się.

– Dziękuję – powiedział Cert i przysiadł się do biesiadników.

Wziął do ręki kawał mięsa. Długo go wachał i oglądał. Rycerze zaczęli się cicho podśmiechiwać.

– Boisz się, że cię otruję? – uśmiechnął się książę. – Popatrz ja to też jem.

– Nie w tym rzecz – odparł Cert. – Pochodzę z innego świata i to co jest dobre dla ciebie może okazać się śmiertelną trucizną dla mnie. Już próbowałem waszego jedzenia i jak na razie jeszcze żyję, ale to wygląda zdecydowanie inaczej od tego co jadłem w wieży.

– Jasne – zaśmiał się Roland. – Więźniowie dostają bez porównania gorsze jedzenie niż ja. Myślę, że jak tamto przeżyłeś, to ci również nie zaszkodzi.

Cert skosztował mięso.

– Hm, bardzo dobre – pochwalił.

– Wiesz Cert – zaczął Roland. – Bardzo mnie zaciekawił twój sposób walki. Czy mógłbyś mi pokazać jeszcze parę innych sztuczek?

– Oczywiście – potwierdził profesor. – Powiedz kiedy.

– Po kolacji – zdecydował książę.

– Nie ma sprawy – powiedział Cert. – Każ przynieść kilka sienników, żebyśmy się nie nabawili kontuzji.

Roland wydał polecenie i w niedługi czas później podłoga była zasłana materacami.

– Z pełnym brzuchem nienajlepiej mi się ćwiczy – powiedział Cert, – ale spróbuję. Na kim mam pokazywać techniki obrony?

– Na Ralfie – książę wskazał jednego ze strażników.

Ralf trochę pobladł, ale wykonał rozkaz księcia. Podeszedł do sienników i zaczął się pokazywać. Strażnik wymierzył cios sierpowy prawą ręką w twarz Certa. Cert z kocią zwinnością krokiem w przód zbliżył się do Ralfa, lewą ręką chwycił za pas na plecach równocześnie podbijając strażnika biodrami. Będąc w powietrzu żołnierza, chwycił za lewą rękę i mocno skręcił swój tułów. Strażnik spadł plecami na siennik. Cert podciągnął lewą rękę Ralfa, przewracając go na bok, następnie przekroczył go lewą nogą, prawym kolaniem klęknął mu na głowie i założył dźwignię na staw łokciowy lewej ręki.

– Zdumiewające – zakrzyknął książę.

Profesor pokazał jeszcze kilka innych rzutów, dźwigni, duszeń, kopnięć i ciosów rękami. Zademonstrował też walkę kijami o różnej długości i paskiem. Po tym pokazie Roland był oszołomiony.

- Niesamowite – powiedział. – Czy mógłbyś tego nauczyć mnie i moich żołnierzy?
- Oczywiście – zgodził się Cert, – pod warunkiem, że poniechasz zamiaru zabicia mnie.
- Ależ co ty mówisz – zasumitował się książę. – Nigdy nie miałem zamiaru cię zabić. Co najwyżej chciałem cię mieć jako maskotkę na dworze. A teraz widzę, że mi się przydasz. Mianuję cię moim doradcą do spraw wojskowych.
- No dobrze – powoli zaczął Cert, – a gdyby dzisiaj ten osiłek Herald zabił mnie?
- To miałbym martwą maskotkę na dworze – odpowiedział z przebiegłym uśmiechem Roland. – Mam dobrych kuźnierzy. Zdarliby z twoich zwłok skórę, zakonserwowali, przygotowali odpowiednio twój szkielet, naciągnęli na niego ponownie skórę, wypchali i stałbyś sobie w którejś z komnat. A tak poważnie, to byłem pewien, że wygrasz. Zwracając się do strażników zakomenderował:
- Przygotujcie mu komnatę i pilnujcie, by nie stało mu się nic złego. Za jego życie i zdrowie odpowiadacie głową.

*

Cert dobrze wywiązywał się ze swojego zadania. W jednej z komnat zorganizował salę treningową, gdzie codziennie przeprowadzał zajęcia z samoobrony. Dbał o przygotowanie kondycyjne i siłowe żołnierzy. Instruktor fechtunku, bojąc się konkurencji, zaczął przykładać się do pracy. Rycerze wyżsi rangą z początku niechętnie patrzyli na Certa i nie chcieli brać udziału w zajęciach. Jednak z rozkazu Rolanda musieli to robić. Wpływy Certa na zamku rosły. Damy dworu chętnie z nim przebywały, gdyż mimo że nie był przystojny, a wręcz wygląd miał odrażający, snuł zajmujące opowieści, sypał dowcipami jak z rękawa, wiele żartował. Książę cenił jego rady i dzięki nim podniósł poziom higieny w księstwie, wydajność pól, zreformował administrację i zmodernizował zamek. Cert zażegnał wiele epidemii, pustoszących sąsiednie księstwa, każąc gotować wodę i wprowadzając pewną formę szczepień ochronnych. Roland za jego namową uwolnił satanistów, którzy od wielu miesięcy siedzieli w lochach. Nie wiadomo było co z nimi dalej robić, a trzeba ich było karmić. Cert prowadził też swoje badania. Będąc pupilkiem książęcej pary, miał dostęp do wszelkich materiałów, które można było uzyskać w całym księstwie. Rzemieślnicy wytwarzali przedmioty, których sobie zażyczył. Dzięki

temu zbudował lunetę i mikroskop, przy pomocy których prowadził obserwacje. Usiłował dowiedzieć się czegoś o leczeniu i budowie ludzkiego organizmu od medyka, ale ten czuł wyraźną niechęć do przybysza i niczego nie chciał powiedzieć. To samo dotyczyło biskupa. Bardziej rozmowne były lokalne czarownice, które udzielały cennych informacji, dotyczących roślin i ich wpływu na ludzi i zwierzęta. Certa interesowały wszystkie przejawy życia na Ziemi. Nie mógł się niestety kontaktować z szerszym kręgiem ludzi, gdyż ktoś mógłby się przestraszyć i go zabić. Wszystkie swoje obserwacje zapisywał lub przenikał w ciele astralnym do świata dinozauroidów i bezpośrednio przekazywał informacje do komputera poprzez elektroniczny system obserwacji i zapisu wspomnień. Codziennie odwiedzali go współpracownicy i rodzina.

Sukcesy Certa były nie w smak biskupowi i medykowi-astrologowi, gdyż na jego rzecz tracili swoje wpływy na dworze. Chcieli się go pozbyć. Gdy pewnego dnia Cert zaczął się źle czuć ich serca napełniła nadzieja, że jest to śmiertelna choroba. Następnego dnia, ku radości biskupa i medyka, czuł się jeszcze gorzej i miał wysoką gorączkę.

Księżę wszedł do komnaty Certa i spytał:

– Co ci Cergie? Zaraz każę medykowi cię leczyć.

– Tylko nie ten rzeźnik! – krzyknął Cert. – On mnie wykończy. Nie lubi mnie, a poza tym jego metody dobre dla ludzi mogą mnie zabić. Nawet lokalne czarownice nic tu nie wskórają, mimo że mnie lubią. Jeśli mój organizm sam się nie obroni to po mnie. Mam nadzieję, że wysoka gorączka, którą teraz mam, zniszczy przyczynę choroby.

Chwilę jeszcze rozmawiali. Po wyjściu księcia Cert polecił strażnikom, by nikt mu nie przeszkadzał. Wystąpił z ciała i przeniknął do świata dinozauroidów. Tam poddano jego ciało astralne, będące kopią fizycznego, dokładnym badaniom.

– To nieznaną u nas szczep bakterii chorobotwórczych spowodował tą chorobę – zawyrokował doktor Hraze. – Póki co mogę cię trochę podładować bioenergią z naszego generatora bioenergii. Wzmocni to siły obronne organizmu.

Doktor Hraze włączył generator. Cert poczuł jak odzyskuje siły. Terapia bioenergią trwała kilka minut. Na pożegnanie Hraze powiedział:

– Przyleć tu jutro na kolejny seans leczniczy.

– A czy bioenergia ludzi jest korzystna dla nas? – spytał Cert

– Myślę, że tak – odpowiedział doktor, – a dlaczego pytasz?

- Zdaje się, że nie będę musiał się tu jutro zjawiać – odparł Cert.
- Czy masz zamiar pobierać bioenergię z ludzi? – zapytał zdumiony Hraze.
- Mam upatrzonego jednego grubasa – powiedział Cert. – Podpadł mi, a jest zdrowy jak stegozaur. Nie zaszkodzi mu, gdy wyssam z niego trochę energii życiowej.
- Bądź ostrożny z takimi eksperymentami – ostrzegł doktor.
- Przecież masz metody, żeby w razie czego usunąć ze mnie szkodliwą energię – powiedział Cert.
- Metody co prawda mam – odpowiedział doktor, – ale po co ryzykować?
- Dla dobra nauki – odparł z ironią Cert. – To ja wracam do ludzi.
- Do widzenia.
- Do widzenia.

Cert wrócił do swojego ciała. Pożywił się trochę i zdrzemnął. Gdy zapadła głęboka noc i wszyscy na zamku, za wyjątkiem straży, spali opuścił, swe ciało fizyczne. Przeniknął przez parę komnat i korytarzy i wleciał do komnaty biskupa. Zobaczył wielbego smacznie śpiącego pod grubą warstwą skór. Zbliżył się i zaczął wysysać z niego energię witalną. Biskup poruszył się raz, potem drugi, wreszcie zaczął się miotać i krzyżeć przez sen. Przebudził się i usiadł na łóżku. Cert przerwał swoją czynność. W tym momencie do komnaty biskupa wpadli strażnicy z pochodniami.

- Co się stało przewielebny?
 - Nic – odparł biskup. – Śniło mi się tylko, że ta bestia z piekła rodem, Cert wypija ze mnie krew. Zawsze mówiłem, że trzeba usmażyć na stosie tego gada.
 - Skąd on wie, że jestem gadem? – pomyślał, unoszący się pod powałą Cert. – Prorok jakiś czy co. Chyba nie doceniałem jego wiedzy. Rano muszę go przeprosić.
- Strażnicy zaczęli przeszukiwać komnatę biskupa, a jeden z nich pobiegł do komnaty Certa. Po chwili powrócił i dowódca straży zameldował:
- Wszystko w porządku przewielebny. Tu nikogo oprócz nas nie ma, a Cert śpi smacznie w swojej komnacie. Dobranoc.
 - Z Bogiem – odpowiedział biskup.

Strażnicy wyszli. Cert zaczekał, aż biskup zaśnie i znów zaczął wysysać z niego bioenergię. Biskup ponownie obudził się z krzykiem, na co wbiegli strażnicy.

Sytuacja taka powtarzała się jeszcze kilka razy tej nocy. Na drugi dzień Cert obudził się wypoczęty i wyraźnie zdrowszy. Za to biskup czuł się fatalnie i wszystko wskazywało na to, że teraz on cierpi na chorobę, na którą jeszcze dzień wcześniej chorował Cert. Leczeniem biskupa zajął się nadworny medyk. Spuszczał mu krew, podawał różne mikstury. Po tych zabiegach biskup czuł się zdecydowanie gorzej, lecz mając silny organizm, po dwóch tygodniach wyzdrowiał.

Wojna

Po kilku latach księstwo Rolanda wyraźnie się wzbogaciło. Astrolog i biskup zawiązali spisek przeciwko Certowi, w który usiłowali wciągnąć księżną Szczęsnodarę. Księżna sprawiała wrażenie pierwszej naiwnej i dlatego wydawało im się, że z łatwością przeciągną ją na swoją stronę. Pomylili się w jej ocenie. Żona księcia początkowo udawała, że przeszła na stronę spiskowców. Gdy poznała szczegółowo ich plany, o wszystkim poinformowała męża. Roland uwięził zdrajców, medykwowi i biskupowi udało się zbiec. Bogactwo kłuło w oczy sąsiadów. Do króla dochodziły słuchy, że książę Roland podpisał pakt z diabłem, że pozwala satanistom i czarownicom odprawiać swe obrzędy, że trzyma diabła na zamku i zamierza przejąć władzę w całym królestwie. W rozsiewaniu tych plotek celowali biskup z medykiem. Po pewnym czasie, za namową książąt, król postanowił zorganizować wyprawę karną przeciw Rolandowi. Na nic się zdało ślanie przez Rolanda posłów do króla. Książęta chcieli złupić jego bogate ziemie, a i król był zainteresowany podreperowaniu kasy. Tych pierwszych irytowało głównie to, że chłopci uciekali na ziemie księcia Rolanda, bo tam mieli lepsze warunki życia. Dla książąt była to sprawa i honoru i przeżycia. Kontynuacja tego procesu doprowadziłaby do braku rąk do pracy.

Książę zwrócił się do Certa:

- Wymyśl coś Cercie, bo zostaniemy wybici do nogi.
- Poczyniłem już w tej sprawie pewne kroki – powiedział Cert. – Przeanalizowałem wojny i bitwy toczone w twoim i moim świecie. Zapoznałem się z użytą bronią i strategią walki.

Wyciągając z szafy jakieś zwoje pergaminu, Cert kontynuował:

- Tutaj są plany pewnych rodzajów broni.
- Widzę, że opisałeś je po łacinie – zauważył Roland, ledwo znający ten język. – Jeśli dobrze pamiętam to jeszcze niedawno kompletnie jej nie znałeś.
- Nauczyłem się jej, bo zdaje się, że na całym kontynencie używa się tego języka do pisanania i toczenia filozoficznych dysput.
- Masz rację – potwierdził Roland. – A tak w ogóle mało kto umie czytać i pisać. Wydaje mi się, że sam będziesz musiał nadzorować budowę tych broni. Wątpię, żeby na przykład nasz kowal cokolwiek z tego zrozumiał.
- Chyba masz rację. Po zakończeniu wojny będziemy musieli zadbać o edukację twoich poddanych.

Cert zabrał się do dzieła. Kazał zgromadzić duże ilości saletry potasowej, węgla drzewnego i siarki, a także żywicy z drzew iglastych i smoły. Z materiałów tych produkowano czarny proch i substancje zapalające. Żywica służyła do nadania im plastyczności. Cert sam izolował fosfor z kości zwierząt rzeźnych, a także usiłował wytworzyć inne materiały wybuchowe. Kowalom kazał robić dziwne rury z lotkami i bez. Nie mieli wprawy w wykonywaniu takich rzeczy, więc produkcja początkowo szła opornie. Oprócz tego Cert eksperymentował z balonami na ogrzane powietrze i pewnym typem spadochronów. W całym księstwie szykowano się do wojny. Za radą Certa produkowano nowy typ katapulty z procą i ruchomą przeciwwagą, mogący miotać olbrzymie głazy. Co prawda w Chinach i Bizancjum konstruowano już podobne urządzenia, ale nie z takim rozmachem. Kazał budować balisty, używane już przez starożytnych Rzymian, ale i tu wprowadził pewne innowacje. Nakazał przygotować bardzo dobrze wypolerowane blachy wielkości człowieka. W pewnej odległości od zamku polecił postawić kilka murów, przy których eksperymentował z olbrzymimi trąbami zasilanymi powietrzem z miechów kowalskich.

*

Zaczęło się lato. Wojska z sąsiednich księstw, a także część wojsk królewskich wkroczyły na ziemie księcia Rolanda. Najeźdźcy rabowali co się dało,

mordowali pobitych przeciwników i ludność cywilną, co jest nieodłącznym folklorem bitew wszystkich czasów.

*

Cert z kilkoma zaufanymi ludźmi przebywał właśnie w polach daleko od zamku, gdzie testował nowe pociski, gdy nadjechał książę ze świtą.

– Co tam nowego szykujesz Cercie? – przywitał go książę.

– Spójrz – powiedział Cert i podszedł do szyny na wózku, na której umieszczony był pocisk, który Roland widział pierwszy raz w życiu.

Była to rura z przodu zakończona stożkiem, a z tyłu metalowymi skrzydełkami. Z końca rury wystawał sznur.

– W co mam trafić? – spytał Cert i podał Rolandowi lornetkę własnej konstrukcji.

– Myślisz, że to tak daleko polecą, że aż potrzebna mi lornetka? – zapytał książę.

– Czyżbyś mnie nie doceniał? – odpowiedział Cert. – Nie tylko myślę, ale jestem pewien.

Roland przyłożył lornetkę do oczu i zaczął oglądać okolicę.

– Czy widzisz tę samotną białą skałę nad rzeką? – spytał Roland wskazując ręką. – Rozbij ją.

Skała była na granicy widoczności. Cert ustawił swoje urządzenie.

– Odsunąć się wszyscy – rozkazał zapalając lont.

W chwilę potem z końca rury buchnął ogień i pocisk pomknął w stronę skały. Po sekundzie obecni ujrzeni oślepiający błysk, a następnie usłyszeli straszliwy huk. Dym przez moment przesłaniał widok. Gdy się rozwiął skały już nie było. Roland, który całe to wydarzenie oglądał przez lornetkę, powiedział:

– No, co prawda pocisk niezupełnie trafił w skałę, ale zamierzony skutek został osiągnięty. Skała jest rozbita.

Książę spojrział na inne urządzenia i spytał:

– A do czego służy ta rura?

Cert podszedł do broni i objaśnił:

– To jest broń bliskiego zasięgu. Można nią zdobywać zamki, ostrzeliwać kogoś zza góry, muru i innych przeszkód terenowych. Zaraz zademonstruję działanie.

Podniósł z ziemi pocisk, który miał dużą główkę, tylną część stanowiła krótka rura ze statecznikami. Wrzucił go do rury lotkami na dół. Z dołu rury buchnął ogień i pocisk z dużą prędkością wyleciał i eksplodował w znacznej odległości.

– W dolnej części pocisku jest materiał wybuchowy eksplodujący przy uderzeniu w bolec znajdujący się w tej dużej rurze – kontynuował prezentację Cert.

– Wspaniałe urządzenia – pochwalił Roland. – Naucz moich ludzi jak je stosować.

– Oczywiście – zgodził się Cert.

– Właściwie przyjechałem tutaj, żeby ci powiedzieć, że musimy wyruszać natychmiast do Claire, do którego od północy zdążają zjednoczone wojska króla i książąt Joachima i Filipa. Na południu książę Leon zajął zamek Champolion. Urządził tam rzeź moich ludzi.

– Słyszałem o tym – odparł Cert i kontynuował – Mam inny pomysł. Ja pojedę z twoimi ludźmi do Claire, a ty zostaniesz tutaj. Gdybyś ty zginął lub dostał się do niewoli, to by była klęska, jeśli zostaniesz, będziesz mógł cały czas kierować obroną księstwa.

– Nie mogę, nie pozwala mi na to honor – powiedział Roland.

– Daj spokój, honor i dumę schowaj do kieszeni – odparł Cert. – W tej chwili ważą się losy księstwa. Jeśli będziesz martwy, to nic nie zrobisz dla niego. Wyślij oddział do Claire pod dowództwem Rajmunda, a ja będę mu towarzyszył służąc radą i pomocą. A teraz może wrócimy do zamku?

*

Przez całą noc Szczęsnodara przekonywała męża o słuszności rad Certa. Płakała, mdlała, obrażała się i kilkakrotnie chciała rzucić się z okna. Następnego dnia książę dla świętego spokoju podjął decyzję zgodną z wolą żony. Został w zamku. Wysłał do Claire oddział pięćdziesięciu rycerzy pod dowództwem Rajmunda i stu pięćdziesięciu chłopów do pomocy. Cert wyruszył razem z nimi. Wzięli dużą ilość sprzętu bojowego, wymyślonego przez profesora. Po dwóch dniach marszu dotarli do Claire. Panował tam

strach przed najeźdźcami. Ze wszystkich stron zdążali okoliczni mieszkańcy, aby schronić się w zamku. Przekupieni przez króla i książąt ludzie siali ferment i namawiali do poddania się. Pojawienie się oddziału Rajmunda wzbudziło otuchę w sercach obrońców. Przybyłych przywitał Jean dotychczasowy dowódca zamku.

– Z rozkazu księcia Rolanda przejmuję dowodzenie nad zamkiem – na „dzień dobry” zakomunikował Rajmund, a zwracając się do Jeana zapytał – Jaka jest sytuacja?

– Nienajlepsza – odpowiedział Jean. – Wrogie wojska są o dzień drogi od nas. Schwyta-
liśmy dowódcę zwiadu. Ludzie szemrają po kątach. Nie wierzą w skuteczność obrony.

– Ech, ludzie małej wiary – rzekł Rajmund. – Wszystkich niezadowolonych i siejących panikę wsadzić do lochów. Zaraz rozbudzę tu ducha walki.

Jean zaprosił przybyłych na suty posiłek. W tej sytuacji, z przyczyn oczywistych, Cert zdjął hełm. Wszyscy wokół zamarli ze zdumienia, tylko Rajmund spokojnie powiedział:

– I co się tak gapicie? To jest właśnie najlepszy doradca księcia, Cert. Jego matka miała wypadek, gdy była z nim w ciąży i dlatego tak wygląda. Za to rozumu ma, co setka mę-
drców.

– To jednak prawda, że księżę podpisał pakt z diabłem – powiedział jeden z rycerzy Je-
ana.

– To propaganda naszych wrogów – nie dał się zbić z tropu Rajmund. – Cert jest po-
 prostu „normalny inaczej”. A kto będzie uważał go za diabła czy innego sługę sił nieczy-
 stych ten wyląduje w lochu, a i kat może mieć przy okazji robotę. Czy jasno się wyrazi-
 łem?

– Tak jasno, że lepiej nie można – zgodził się szybko Jean. – On jest takim samym czło-
 wiekiem jak my, tylko że innym.

– Dokładnie tak – potwierdził Rajmund.

Jego słowa były niezwykle przekonujące. Wszyscy się z nimi zgodzili. Perspektywa
 kontaktu z katem rozwiała wszystkie wątpliwości żołnierzy Jeana.

– Masz niezwykły dar przekonywania – zauważył ironicznie Cert.

– Już się z nim urodziłem, ale też i trochę nad nim popracowałem – odparł w tym
 samym tonie Rajmund.

– Mówiłeś panie coś o jakimś szpiegu – zwrócił się Cert do Jeana.

– Tak – potwierdził Jean. – Zaatakowaliśmy wczoraj oddział zwiadowców Filipa. Kilku zabiliśmy, część uciekła, ale w naszych rękach jest ich dowódca.

– Powiedział coś interesującego? – zaciekał się Rajmund.

– Na razie nic. Potwierdził tylko oczywistą rzecz, że jutro podciągną ich wojska. Kat się nim zajmuje, ale nic z niego nie może wydusić. Przeżywa z tego powodu duże frustracje, bo ma dwóch praktykantów i chciał przed nimi pokazać swój kunszt i nauczyć czegoś chłopaków, a tu trafił mu się taki twardziel.

– Po posiłku chciałbym zobaczyć tego bohatera – powiedział Cert.

– Ależ oczywiście – zgodził się Jean. – Izolujemy go od innych i trzymamy w więzy.

Po zakończonej biesiadzie Jean, Cert i Rajmund udali się do więźnia. Gdy byli już przy drzwiach do celi, Cert zaglądnął do niej przez mały otwór w drzwiach i ujrzał więźnia bijącego głową o ścianę i powtarzającego:

– Jak sobie nie przypomnę planów ataku i nazwisk szpiegów na zamku, to oni mnie tu zatłuką.

Cert odwrócił się do obecnych i powiedział:

– Nic tu po nas, on niczego nie powie. Zabijmy go od razu, albo dajmy mu w ogóle spokój. Co za matołów trzyma u siebie Filip. Jeśli ma więcej takich dowódców, to nie będziemy mieli problemów ze zwycięstwem.

– Może usłyszał, że idziemy i specjalnie tak mówi, żeby nas zmylić – zasugerował Rajmund

– Nie wydaje mi się – figlarnie uśmiechał się Cert. – Szczerłość bije mu z twarzy.

*

Następnego dnia w pobliże zamku podciągnęły wojska Filipa i Joachima. W pewnej odległości od murów zaczęły rozbijać obóz. Tego dnia było upalnie, na niebie ani jednej chmurki. Obrońcy weszli na wały i oglądali poczynania najeźdźców. Cert w błyszczącej zbroi, pozasłaniany tak, by ludzie nie poznali, że nie jest człowiekiem, wszedł z Rajmundem na mur obronny.

– Wiesz co Rajmundzie – zaczął Cert. – Może podsmażymy trochę Filipa i jego ludzi?

– W jaki sposób? – spytał Rajmund.

– Bardzo prosto – odpowiedział Cert. – Każ rozdać ludziom na wałach specjalne blachy, które ze sobą przywieźliśmy i niech wszyscy świecą blachami w ten sam punkt. Ty kieruj nimi i wybieraj punkt swoją blachą.

Rajmund wydał polecenia i niedługo potem wszystkie blachy były rozdane.

– Widzę Joachima przed namiotem – powiedział Cert, patrząc przez lornetkę. – Chyba się, skubany, opala.

To mówiąc, podał lornetkę Rajmundowi.

– Jaki się rumiany zrobił – kontynuował Cert. – Gdy był na zamku u Rolanda, to dość blado wyglądał. Widocznie wojna mu służy.

Rajmund spojrział przez lornetkę i skierował odbłysek światła na Joachima. Pozostali ludzie zrobili to samo. W mgnieniu oka Joachim poderwał się na równe nogi, przebiegł parę metrów i padł nieprzytomny na ziemię. Natychmiast podbiegli do niego żołnierze i zanieśli go do namiotu.

– Chyba jednak wojna nie za bardzo mu służy – powiedział sarkastycznie Rajmund. – Po opalaniu coś się słabo poczuł. Chyba dostał udaru słonecznego.

Rajmund skierował światło na namiot Joachima, który w niedługi czas po tym zaczął się dymić, a następnie płonąć. Żołnierze Joachima momentalnie wyciągnęli wodza z płomieni. Filip wydał rozkaz do przegrupowania i żołnierze zaczęli zwijać obóz. W tym czasie obrońcom Claire udało się, ku uciesze gawiedzi zgromadzonej na wałach, spalić jeszcze kilka namiotów wroga. Wojska Filipa i Joachima wycofały się na sporą odległość od zamku i rozłożyły obóz w lesie, tak by nie być narażonym na podpalenie.

– To istotnie diabelska sztuczka – powiedział Rajmund do Certa. – Zaczynam myśleć, że faktycznie jesteś z piekła rodem.

– Nie chcę cię rozczarowywać Rajmundzie – odpowiedział na to Cert, – ale to nie ja wymyśliłem ten numer. Pewnie nie wiesz, że jakieś tysiąc lat temu niejaki Archimedes tak samo podpalił statki rzymskie. Jemu to jednak lepiej szło, bo Syrakuzy są położone bardziej na południu i Słońce tam ostrzej świeci. Jeśli będzie jeszcze jakiś czas taki upał jak dzisiaj, to dopieczemy do żywego Filipowi i Joachimowi, lecz jeśli się zachmurzy, to nasze blachy będą bezużyteczne. Co prawda można taką blachą zdzielić kogoś w

głowę lub zasłonić się nią przed strzałą lub kamieniem nawet w dzień pochmurny, ale do tego celu mamy inne narzędzia.

Tę wypowiedź Certa słyszało jeszcze kilku rycerzy Rajmunda.

Po tym incydencie obie strony zaczęły przygotowywać się do walki. Ludzie Joachima i Filipa ścinali drzewa, z których robili katapulty, balisty, tarany, wieże oblężnicze, drabiny i wiele innego niezbędnego w takich sytuacjach sprzętu. Zbierali kamienie różnej wielkości, które miały posłużyć jako pociski do katapult, balist i proc. Robili strzały, włącznie i ostrzyli miecze i topory.

Z drugiej strony barykady Cert nadzorował produkcję środków wybuchowych z materiałów zgromadzonych jeszcze przed oblężeniem. Substancje wybuchowe i zapalające montowano na strzałach do łuków i w pociskach do balist i katapult. Przygotowywano do użycia rakiety i inny sprzęt bojowy przywieziony z zamku Rolanda.

Okoliczna ludność, która nie schroniła się do zamku, ale ukrywała się w lasach, już się cieszyła na wieść o bitwie, bo była to doskonała okazja do podreperowania rodzinnej kasy, kradnąc co się da martwym lub ciężko rannym rycerzom.

*

Rycerz Adalbert, zaufany Rajmunda, w wolnych chwilach rysował widoki zamku i okolic. Bardzo dbał o szczegóły. Certa zastanowiło, dlaczego Adalbert maluje właśnie te miejsca, które z wojskowego punktu widzenia są najważniejsze. Zwrócił na to uwagę Rajmunda. Jednak Rajmund w pełni ufał swojemu podwładnemu, o jego zainteresowaniach wiedział od lat. Wiele z dzieł Adalberta zdobiło komnaty jego zamku.

*

Wieczorem Cert postanowił pospieszować trochę w obozie przeciwnika. Zamknął się w swojej komnacie, położył na łóżku i wystąpił z ciała. Poleciał do obozu wroga. Żołnierze kręcili się między namiotami, rozmawiali, część z nich siedziała przy ogniskach. Cert przyjrzał się jak ustawione są stráže, a następnie podleciał do namiotu Joachima i

wniknął do niego. Na prowizorycznym łóżku leżał nieprzytomny Joachim. Na jego ciele widać było silne poparzenia. W namiocie były jeszcze trzy inne osoby, lecz nic nie mówiły. Cert wyfrunął z tego namiotu i przeniknął do następnego. Tam odbywała się narada dowódców wojsk, której przewodniczył Filip.

– To jakaś diabelska sztuczka z tymi podpaleniami – mówił Filip.

– Książę Joachim wygląda tak, jakby ktoś go żywym ogniem przypalał – powiedział jeden z rycerzy.

– Może to prawda z tym diabłem – wtrącił się drugi.

– Radźmy w jaki sposób zdobyć zamek – zdecydował trzeci.

– Zaraz tu powinien przyjść jeden z naszych szpiegów, który od lat należy do najbardziej zaufanych ludzi Rajmunda – powiedział Filip – On zda nam relację z sytuacji naszych wrogów.

– Ciekawe – pomyślał Cert. – Poczekam na niego i zobaczę, kto to jest.

Rycerze jeszcze przez dość długi czas rozmawiali ze sobą, gdy do namiotu strażnicy wprowadzili jakiegoś człowieka ubranego na czarno.

– Ależ to rycerz Adalbert – zdumiał się Cert. – Przecież to prawa ręka Rajmunda.

Adalbert zdał relację z tego, co się dzieje na zamku i ze stopnia przygotowań do obrony. Powiedział również, że „broń słoneczna”, jak ją nazwał, będzie bezużyteczna w dni pochmurne. Omówił urządzenia bojowe, które przygotował Cert, przekazał namalowane przez siebie obrazy. Na szczęście dla obrońców zamku, zgromadzeni tam rycerze nie w pełni pojęli zagrożenie, jakie niesie ze sobą nowa broń. Omówił jeszcze kilka innych ważnych strategicznie szczegółów, zainkasował złoto i ruszył w drogę powrotną do zamku. Cert również wrócił po drodze, sprawdzając którądy wydostał się Adalbert. Obudzili Rajmunda i razem z nim i trzema strażnikami udał się na miejsce spodziewanego powrotu zdrajcy. Zaczaili się w ciemnościach i czekali. W niedługi czas potem zobaczyli, że po linie, która była zrzucona z muru wspina się jakiś człowiek. Gdy był już górze wyszli z ukrycia.

– Dobry wieczór Adalbercie – ironicznie przywitał go Rajmund. – Czyżbyś cierpiało na bezsenność i zamkowy medyk zalecił ci spacerować po lesie przed snem?

– Ależ Rajmundzie – wybełkotał pobladły Adalbert. – Byłem na przeszpiegach. Chciałem się rozejrzeć w pobliżu obozu wroga i zasięgnąć języka.

– Wydaje mi się, że udało ci się to aż za dobrze – skwitował to Cert. – Rozmawiałeś z naczelnym dowództwem naszych wrogów.

– ???

– Nie wmówisz mi – kontynuował Cert, – że sakiewkę ze złotem znalazłeś zbierając jagody.

– Prawdziwy diabeł – pomyślał zdumiony do granic możliwości Adalbert.

– Przeszukać go! – rozkazał Rajmund strażnikom.

Adalbert chciał jeszcze coś tłumaczyć, ale strażnicy sprawnie go przeszukali i znaleźli sakiewkę ze złotem.

– Zabrać go do lochu i obudzić kata – rozkazał Rajmund. – Zdaje się, że Adalbert chce nam wiele powiedzieć, ale jest nieśmiały i wstydzi się mówić.

– Tylko nie to Rajmundzie – krzyknął Adalbert. – Wszystko wam powiem.

Zaprowadzono Adalberta do sali tortur. W chwilę potem zjawił się tam kat z dwoma pomocnikami-praktykantami. Praktykanci pod okiem szefa zaczęli przygotowywać sprzęt. Na ten widok Adalbert stał się blady jak płótno i momentalnie zaczął wyznawać wszystko jak na spowiedzi. Chętnie i wyczerpująco odpowiadał na pytania Rajmunda i Certa. Po szczegółowym opisie przebiegu rozmowy z Filipem i jego towarzyszami Cert nie miał wątpliwości, co do prawdopodobności szpiega. Kat mógł ponownie udać się na spoczynek. Był bardzo rozczarowany takim obrotem sprawy. Pierwszy więzień to głupek, a drugi – mięczak. Wprawiło go to w stan głębokiej frustracji. Kochał swoją pracę, lecz rzadko miał okazję pokazywać swój kunszt. Dodatkowym powodem było to, że miał dwóch uczniów, którym chciał wreszcie w praktyce pokazać to, co im tyle czasu wykładał teoretycznie. Jako dobry dydaktyk wiedział, że słowa nie zastąpią demonstracji, a poza tym chciał, by chłopcy coś poćwiczyli. Zdawał sobie sprawę z tego, że trening czyni mistrza. Niestety, Adalbert nie dał mu szansy. Pewna możliwość treningu istniała przy pierwszym więźniu, ale nim zdążył przeprowadzić cały wstęp do przesłuchania, przyjechali Rajmund z Certem i zbyt szybko zorientowali się w sytuacji. Rajmund widząc smutek kata podszedł, objął go ramieniem i chcąc pocieszyć powiedział:

– Widzisz druhu, sam dźwięk twojego imienia sprawia, że najtwardsi miękną, więźniowie wyznają wszystko, nawet bez zadawania pytań.

Te słowa pocieszyły trochę kata, znów poczuł się potrzebny, lecz na krótko. Jak każdy profesjonalista był delikatny jak cieplarniana roślina. Niepowodzenia zostawiły trwałe ślady w jego psychice.

– Zdaje się, że póki będzie pogoda to będziemy mieli wolne – skwitował przesłuchanie Rajmund. – Oni chyba naprawdę boją się naszych luster.

Na tym skończyło się przesłuchanie. Adalberta odprowadzono do celi w wieży, a pozostali wrócili do swych komnat i położyli się spać. Kat długo nie mógł zasnąć, bo rozmyślał o swoich porażkach.

W celi Adalbert nie położył się na pryczy. Nerwowo krążył, o czymś rozmyślał. O świcie podjął ostateczną decyzję. Ściągnął koszulę, skrzył ją na kształt liny, zrobił pętlę na jednym końcu, a drugi przywiązał do kraty w oknie. Stał na pryczy, wsadził głowę w pętlę, zacisnął ją na szyi i skoczył. Rano strażnik znalazł go martwego.

– Inwencja ludzka nie zna granic. Cóż za niezwykle zastosowanie koszuli – cynicznie skwitował wiadomość o śmierci więźnia Rajmund.

Ta wiadomość wpędziła kata w głęboką depresję. Znów ominęła go okazja wykonywania zawodu.

*

Przez dwa tygodnie panowały silne upały. Cert rzadko wychodził na mury. Upał mu nie przeszkadzał, jego organizm był przecież do tego przystosowany, ale bardzo nie lubił chodzić w zbroi, do czego był zmuszony, by nie straszyć niewtajemniczonych. Po upałach nadeszły ulewy. Potem deszcze ustąpiły, ale gęste chmury nadal zasnuwały niebo. Gdy grunt wysechł wystarczająco, najeźdźcy wytoczyli z lasu wieże oblężnicze, tarany, katapulty i balisty, które podciągnęli w pobliże zamku. W ślad za machinami wojennymi wylewał się tłum atakujących żołnierzy z drabinami i linami. Obrońcy już wcześniej wyciągnęli z magazynów ładunki wybuchowe, rakiety, moździerze i inny sprzęt bojowy. Katapulty i balisty z tradycyjną amunicją cały czas stały na wałach. Z rozkazu Certa naprzeciwko zbliżających się wież oblężniczych ustawiono wyrzutnie rakiet. Cert wycelował pierwszą raketę i odpalił. Pocisk poleciał w kierunku wieży, minął ją i eksplodował daleko w lesie.

– Pudło szefie – skomentował jeden z żołnierzy.

– Dziękuję za informację. Sam bym tego nie zauważył – powiedział ironicznie Cert. – Daj drugą raketę. Zaraz się poprawię.

Żołnierz wykonał polecenie. Cert wymierzył drugą raketę i zapalił lont. Tym razem strzał był celny. Wieża została rozerwana na strzępy. Żołnierze znajdujący się na jej szczycie wylecieli w górę i wykonali w powietrzu szereg efektownych ewolucji. Okrzyk triumfu przetoczył się po wałach. To zdarzenie zasiało ziarno niepokoju w sercach atakujących.

– Znakomicie szefie! – wykrzyknął z zachwytem stojący obok Certa żołnierz.

Mimo ciągłego ostrzału z katapult i balist, które na zmianę miotały ładunki wybuchowe i kamienie, pierwsi napastnicy z drabinami zbliżali się do murów. Do głosu doszły moździerze. Pociski eksplodując siały straszliwe spustoszenie wśród atakujących. W powietrzu wlatywały bezpańskie ręce, nogi, głowy i inne większe lub mniejsze części ciała. Krew tryskała na około tworząc na ziemi strumyczki i kałuże. Cert odpalił jeszcze kilka rakiet, które doszczętnie zniszczyły wszystkie wieże oblężnicze. Mimo to napastnicy atakowali dalej, choć już bez takiej werwy jak na początku. Udało im się podciągnąć w pobliże murów kilka taranów, balist i katapult, lecz nim zostały użyte, obrońcy zniszczyli je pociskami zapalającymi i rozrywającymi. Oblegani zaczęli miotać pociski, które powoli paląc się wydzielały gryzący dym. Natarcie załamało się, lecz kilku atakującym udało wdrzeć się na mury. Szybko jednak zostali pokonani przez żołnierzy Rajmunda. Wojska Joachima i Filipa były w pełnym odwrocie. Żołnierze szybko uciekali do obozu.

– Wypadaloby już skończyć zabawę w oblężenie – odezwał się Cert do Rajmunda. – Każ przynieść na podzamcze trzy spośród naszych największych rakiet, a dla mnie każ przygotować balon.

Rajmund wydał polecenia swoim ludziom i na podzamczu pojawiły się wyrzutnie, a na zamkowym dziedzińcu rozpalono duże ognisko, nad którym napełniano balon ciepłym powietrzem. Gdy balon był gotowy do startu Cert wsiadł do kosza. Zwolniono cumy i balon z Certem uniósł się na taką wysokość, na jaką pozwalała długość liny, do której był przymocowany. Cert przez lornetkę oglądał obóz nieprzyjaciela, a potem krzyżąc przez tubę udzielał wskazówek, jak ustawić rakiety. Balon kilkakrotnie opadał na dziedziniec, gdyż ciepłe powietrze w nim zgromadzone dość szybko się ochładzało i nie pozwalało na długotrwały lot, był podgrzewany i znów startował. Gdy wszystko było go-

towe, Cert dał rozkaz do odpalenia rakiet. Rakiety jak grom z jasnego nieba spadły na obóz przeciwników, kładąc trupem większą część żołnierzy. Wszystkie namioty zostały zdmuchnięte i spalone. Nieliczna grupa żołnierzy na tyle zdrowych, by móc uciekać, skorzystała z tej szansy.

Z grodu wyszła na rekonesans grupa ludzi uzbrojonych w strzały z wybuchającymi gro-tami, mogącymi przebijać każdy pancerz. Po powrocie zdali relację, z której wynikało, że oblężenie zostało przełamane. Rajmund wysłał posła z dobrymi wieściami do księcia Rolanda.

Na pobojuwisko wyszedł tłum ludzi by uprzątnąć teren, pozbierać zabitych i rannych i rozgrabić, co się da. Uciekających przez las żołnierzy zabijali i okradali ludzie, którzy schowali się tam przed najeźdźcami.

*

Wieczorem Cert siedział w swojej komnacie. Tego dnia postanowili odwiedzić go jego przyjaciele dinozauroidy, którzy mieli wiadomości o zakończonej bitwie.

– Cześć Cert. Widzieliśmy twoje dzisiejsze wyczyny. Mógłbyś pracować w rzeźni – zaczął ironicznie Klug. – Masz talent do tego. Szkoda, że nie ma u nas rzeźni od paru tysięcy lat, a tylko klonujemy odpowiednie tkanki przeznaczone do jedzenia. Na pewno znalazłbyś tam zatrudnienie i mógłbyś się realizować, a tak to tylko marnujesz się w nauce.

– Wiedziałem, że moja kariera naukowa to jakieś kolosalne nieporozumienie – odparował sarkastycznie Cert. – Wreszcie w czymś okazałem się dobry i robię to, co lubię. A w nauce to już się, póki co, nie marnuję, bo akurat jestem wśród ludzi i mogę w pełni realizować moje ambicje.

– Czyżbyś szykował się do podboju świata? – żartobliwie zapytała Linna.

– Jeszcze o tym nie myślałem – odpowiedział Cert, – ale jak tu dłużej pobędę to z nudów chyba to zrobię.

– A tak poważnie – zwrócił się do Certa Klug – to bardzo możesz poszerzyć naszą wiedzę o anatomii ludzi, robiąc sekcje zwłok i obserwując rannych. Masz teraz bardzo dużo

materiału badawczego, a jak można sądzić z rozwoju wypadków, będziesz go miał jeszcze więcej.

– Zmieniając temat, to ci ludzie mnie śmieszają – powiedział Cert. – Obie strony konfliktu wierzą w tego samego Boga, który nakazuje miłość do wszystkich, nawet nieprzyjaciół. Stawiają go w bardzo trudnej sytuacji w czasie bitwy, bo obie strony modlą się do niego o zwycięstwo, a kapłani obu stron zagrzewają do walki żołnierzy twierdząc, że Bóg jest właśnie po ich stronie. Dziś pewnie przez całą bitwę biedak głowił się komu pomóc i czy w ogóle pomóc. Na szczęście moje urządzenia rozstrzygnęły jego dylematy.

– A propos miłości – wtrącił się Klug. – Bóg nakazuje im kochać nawet nieprzyjaciół. Poeci i pisarze w swych utworach mówią, że miłość rani, a nawet zabija i tu mieliśmy niezbity dowód tych twierdzeń.

Rozmawiali ze sobą jeszcze jakiś czas, potem się pożegnali i Cert znów został sam.

*

Starszy z synów króla, Luis od dzieciństwa marzył o chwale rycerskiej. Marzyły mu się wielkie bitwy, w których z łatwością pokonywał wrogów, dowodził wojskami, zawsze zwycięskimi. Wyobraźnię podsycaly opowieści starych wojów, którzy nie mogąc już walczyć, pletli, co im ślina na język przyniosła o starych dobrych czasach, gdy to będąc młodymi gromili wrogów. Jak to szlachetnymi metodami pokonywali wielokrotnie silniejszych, podstępnych przeciwników. Przedstawiali siebie jako rycerzy bez skazy, którzy znosili wszelkie trudy i narzekali na to, jak dzisiejsza młodzież jest zdemoralizowana, liczy na łatwe życie, jest wyzuta z wszelkich ideałów i nie chce ponosić ofiar na rzecz suwerena. Tego typu historyjki są znane młodzieży wszystkich czasów i na całym świecie. Młodzi ludzie niespecjalnie się nimi przejmują, lecz Luis był inny. Serio traktował te opowieści, myślał, że starzy rycerze faktycznie są wzorami wszelakich cnót i nie zastanowiło go nawet dlaczego, mimo tak doskonałej kadry wojskowej, jego państwo wiele lat temu ponosiło dotkliwe klęski. Rycerze widząc, że mają wreszcie wdzięcznego słuchacza, prześcigali się w wymyślaniu coraz to nowych, niesamowitych opowieści. Luis, chcąc im dorównać, wiele czasu codziennie poświęcał na ćwiczenia fechtunku i wszel-

kich innych technik walki. Pasjonowały go polowania, gdyż były dla niego namiastką wojny. Mógł się wykazać w sztuce jazdy konnej i strzelaniu z łuku.

Pewnego dnia marzenia się ziściły. Jego ojciec wraz z wasalami postanowił nauczyć rozumu zbuntowanego, jego zdaniem, księcia Rolanda i powierzył synowi dowództwo jednego z oddziałów. Luis był szczęśliwy z tego powodu. Nie mógł się doczekać walki. Oczami wyobraźni widział jak gromi wojsko Rolanda, a jego samego ciągnie na sznurze przytroczonym do kulbaki i wprowadza na zamek.

Po zwycięskiej obronie Claire Roland zebrał główne siły i wyruszył na spotkanie z Rajmundem. Na pożegnanie Szczęsnodara udzieliła mu kilku rad:

– Słuchaj Certa, ubieraj się ciepło i dobrze odżywiaj, nie przemęczaj się, bo wiesz, że ci to szkodzi. Po tych słowach wręczyła mu wór z ciepłą odzieżą na zmianę i dzban z ulubionymi pierożkami Rolanda – z serem. Wszyscy rycerze, niby przypadkowo, zamknęli przyłbice, ale i tak dał się słyszeć stłumiony chichot.

*

O świcie wojsko Rajmunda wyruszyło z Claire. Po dwóch dniach marszu nastąpiło spotkanie z oddziałami Rolanda i wspólnie ruszono przeciw sprzymierzonym. Po dniu szpice natknęły się na obóz króla i jego wasali. Widząc to, okoliczni mieszkańcy szykowali się do oglądania bitwy. Coś takiego nie zdarzało się tu codziennie. Będą mieli o czym wnukom opowiadać. Co prawda wojsko królewskie zdążyło splądrować już ich domy, ale cieszyli się, że po bitwie odkują się, okradając zabitych i rannych. Przygotowywali sobie już prowiant na następny dzień.

*

Od świtu obie armie gotowały się do walki. Mieszkańcy okolic również byli na posterunku. Oblegli wzgórze, żeby móc dobrze widzieć bitwę. Rozłożyli kosze z jedzeniem i piciem i wygodnie się rozsiedli. Co bardziej „światowi” dyskutowali na temat przebiegu i wyniku walki. Ci, dla których świat kończył się na granicy wsi, a była ich miążdżąca większość, nabożnie słuchali „światowców”, chłonąc każde słowo.

Cert z grupą zwerbowanych chłopów, chcąc zająć dogodną pozycję na jednym ze wzgórz, musiał przegonić z niego wielce niezadowolonych widzów.

– Powinniśmy zbierać opłaty za przedstawienie – powiedział Cert do jednego ze swoich podkomendnych.

Grupa Certa ustawiła siedem moździerzy, przygotowała łuki i strzały z wybuchającymi grotami i przeczyściła wypolerowane blachy. Cert przez lornetkę oglądał poczynania drugiej strony. Gdy słońce stało wysoko i robiło się coraz cieplej, król w ciężkiej zbroi wyjechał przed armię sprzymierzonych i robił przegląd wojska. Cert podniósł jedną blachę i powiedział:

– Weźcie chłopcy te blachy i skierujcie odbicie tam gdzie padnie moje.

Cert skierował odbłysek na króla i wszyscy zrobili to samo. Po chwili król spadł z konia. Żołnierze szybko zabrali go z pola. Cert ze swoimi ludźmi po kolei zaczął przypiekać rycerzy.

*

Luis widząc jak rycerze padają z koni pod wpływem błysków światła, wydał rozkaz swoim ludziom do ataku na „świejące wzgórze”. Ruszyli galopem do przodu. W chwilę potem główne siły króla skierowały się na armię Rolanda. Luis pędził coraz szybciej. Raz po raz któryś z jego podkomendnych spadał z konia porażony światłem. W pewnym momencie ze stalowych rur zaczęły wylatywać pociski, które wybuchając siały spustoszenie w jego oddziale. Luis gnał dalej. Już był blisko i zobaczył, że jego wrogowie zaczynają uciekać.

*

– Zostawić blachy i wziąć łuki – rozkazał Cert.

– Zabiją nas wszystkich! Uciekajmy! – wrzasnął jeden z chłopów i zaczął uciekać.

Pozostali zrobili to samo.

– Stać! – wrzasnął Cert, lecz nikt go nie słuchał.

Cert chwycił łuk i wypuścił strzałę w plecy prowodyra. Strzała wbiła mu się między łopatki i eksplodowała. Z przodu wyleciał grot rozrywając klatkę piersiową i wrywając

część płuc. Krew bryzgnęła na około. Chłop padł martwy na twarz. Ludzie zatrzymali się i spojrzeli na Certa. Cert zerwał hełm z głowy i krzyknął:

– Patrzcie! Jestem diabłem. Kto ucieknie, jeszcze dziś będzie ze mną w piekle.

Te słowa i przekonywujący wygląd wlały ducha walki w serca obecnych. Pochwycili łuki i zaczęli strzelać. Grad strzał zasypał napastników. Strzały z łatwością przebijały pancerze żołnierzy, lecz mimo to kilku z nich zbliżyło się na niewielką odległość. Jeden z nich był już o parę kroków od Certa. Już podniósł miecz by zadać śmiertelny cios. Cert, nie tracąc zimnej krwi, wypuścił strzałę z łuku, która ugodziła rycerza w pierś. Grot przebił zbroję, mostek i ugodził w aortę. Strumień krwi siknął na sporą odległość, oblewając przy tym Certa.

– Chłopak miał dobre serce – ironiczna myśl przemknęła Certowi przez głowę.

Rycerz spadł martwy z konia. Pozostała część oddziału zawróciła i uciekła.

*

Luis już był o kilka łokci od monstrem. Wziął zamach by rozplatać je na pół swoim mieczem, gdy strzała ugodziła go w pierś. Poczuł straszliwy ból i usłyszał huk. Przez moment nie wiedział co się dzieje, lecz już po chwili stał obok jakiegoś zmasakrowanego ciała. Poczwała było o kilka kroków i w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Chciał pochwycić miecz leżący obok trupa, lecz dłonie przenikały przez stal. Zdziwiło go to trochę, ale nie miał czasu na dłuższe przemyślenia.

– Zabiję kurdupła gołymi rękami – pomyślał i skoczył na potwora.

*

Cert wzdrygnął się. Poczuł, że jakiś duch przeniknął przez niego.

*

Luis przeleciał przez przeciwnika i wylądował z drugiej strony. Za plecami usłyszał śmiech. Obrócił się i zobaczył jeszcze dwie takie same poczwary jak ta, którą atakował.

– Co ty chłopie robisz? – ze śmiechem zwróciła się do niego jedna z nich. – Przecież ty już nie żyjesz.

– Jak to? – zdziwił się Luis. – Przecież się ruszam, rozmawiam z wami. Kim wy jesteście?

– My też jesteśmy duchami, przyjaciółmi tego, którego tak zaciekle atakowałeś – odparła druga z postaci i wskazując ręką ciągnęła dalej – Spróbuj pogadać z tamtymi ludźmi. Na pewno ci nie odpowiedzą. A tak w ogóle to przyjrzyj się temu trupowi, którego miecz chciałeś „pożyczyć”. Przecież to ty.

Luis przyglądnął się uważnie zmasakrowanemu ciału i strach go obleciał.

– Macie rację – wyjąkał. – To ja. Ale to nie tak miało być. Tyle lat się przygotowywałem i zginąłem w pierwszych chwilach bitwy. Nie zdążyłem zadać ani jednego ciosu. Jak to możliwe? Miałem być bohaterem. Jak to robili starzy rycerze, że odważnie szarżując przeżywali?

– Oni szarżowali tylko w wyobraźni, a w rzeczywistości unikali bitew, albo podstępnie zabijali wrogów – wyjaśniła pierwsza z postaci, – a tobie stek bzdur naopowiadali. Ci co szarżowali z reguły kończyli jak ty. Im dłuższy czas mijał od bitwy, tym twoi znajomi byli w niej dzielniejsi. Niezadługo usłyszałybyś od nich, że w pojedynkę rozgramiali całe armie.

– Popatrz, nie tylko ty nie możesz uwierzyć, że już nie żyjesz – powiedziała druga istota i pokazała ręką grupy postaci, które jeszcze walczyły ze sobą, mimo że ich ciała fizyczne leżały od pewnego czasu na ziemi. – Oni nie mogą pogodzić się ze śmiercią.

W tym momencie przed Luisem otworzył się tunel, z którego błysnęło jasne, przyjemne światło. Poczuł, że jakaś siła wciąga go do tego tunelu.

– Idź tam Luisie – powiedziała jedna z postaci. – Twój Bóg cię wzywa.

Luis wpłynął do tunelu i zniknął z pola bitwy.

*

Główne siły w tym czasie atakowały armię Rolanda. Sam książę nie brał udziału w walce. Obserwując pole bitwy, dowodził ze wzgórza. Gdy wrogie wojsko zbliżało się do konnicy Rolanda, moździerze ustawione za nią dziesiątkowały nieprzyjacielskich żołnierzy. Krzyk ludzi mieszał się z rżeniem koni. Wylatujące w górę części ciał ludzkich i końskich mieszały się ze sobą w powietrzu. W pewnym momencie moździerze zamilkły i do boju ruszyli jeźdźcy Rolanda. Dwie armie starły się ze sobą z wielkim hukiem, pokrywając pole dywanem trupów. Po chwili do walki przyłączyła się piechota Rolanda. Było już późne popołudnie, gdy szala zwycięstwa przechyliła się na jego korzyść. Rozgromione wojska sprzymierzonych uciekały w popłochu, zostawiając na polu bitwy swych zabitych i rannych. Roland nie zamierzał ich gonić, bo stan jego armii nie przedstawiał się wcale lepiej. Zginęło wielu rycerzy. Gdyby Roland nie posłuchał Certa to prawdopodobnie podzieliłby ich los. Armia Rolanda rozpoczęła odwrót z pola bitwy do obozu, zostawiając grupę ludzi do pochowania zabitych i opatrzenia rannych.

*

Powoli ze wzgórz zaczęli schodzić ludzie z zamiarem rabunku. Leżało tu przecież wielu bogatych rycerzy.

Rajmund właśnie odzyskiwał przytomność. Z jego brzucha wypływała krew i wnętrzności. Ból był nie do zniesienia. Zobaczył, że jacyś ludzie kręcą się wśród trupów. Ledwo słyszalnym głosem zaczął wzywać pomocy. Podeszli i zaczęli zdzierać z niego co cenniejsze rzeczy, głośno chwając jego bogactwo i śmiejąc się.

– O wy, hieny – pomyślał Rajmund.

Ostatkiem sił wyciągnął zza pasa sztylet i wbił go w nogę najbliższego złodzieja. Ten wrzasnął głośno i upadł na ziemię. Drugi poderwał z ziemi topór leżący obok jakiegoś nieboszczyka i rozplątał nim głowę Rajmundowi.

Taki był oto koniec życia Rajmunda, najwierniejszego rycerza i przyjaciela Rolanda.

*

Roland długo przeżywał śmierć przyjaciela. Po powrocie do zamku całymi dniami samotnie przesiadywał w kaplicy. Książę był w głębokiej depresji, więc Cert musiał myśleć o sprawach księstwa. Wysyłał posłów do różnych wasali, szukając sojuszników w dalszej wojnie. Kolejnym celem Certa było odzyskanie zamku Champolion. Powoli wokół miasta, gdzie znajdował się zamek Rolanda, wyrastał las namiotów rycerzy i ich wojsk, którzy ściągali z całego księstwa na pomoc swemu panu. Większość z nich uczestniczyła w decydującej bitwie z królem, lecz po niej wróciła do domów.

Cert nie zaniedbywał eksperymentów. Znow testował wielkie trąby zasilane powietrzem z miechów kowalskich, a także pewien typ spadochronów, na których ludzie długo mogli latać. Po pewnym czasie próby uwieńczone zostały sukcesem i Cert zdemontował Rolandowi ów nowy typ sprzętu bojowego.

– Spójrz Rolandzie – powiedział Cert. – To niezwykle urządzenia. Będzie można nimi zamki burzyć.

– Właśnie – odparł książę, – od dawna się nimi interesowałem. Jak one mogą burzyć zamki, jeśli niczym nie strzelają.

– Znasz pewnie „Stary Testament”, „Księgę Jozuego” ? – zapytał Cert.

– ?

– Tam w rozdziale szóstym – kontynuował – jest fragment opisujący zdobycie Jerycha. Napisano w nim : „A gdy będą przeciągle trąbić na baranich rogach i wy usłyszycie głos trąb, niech cały lud wzniesie głośny okrzyk bojowy. Wtedy mur miasta rozpadnie się w miejscu, a lud wkroczy do niego, każdy prosto przed siebie.” Tyle Pismo Święte.

– Szczerze mówiąc to wcale nie przypomina mi rogów baranich – powiedział Roland.

– Ja też nie jestem pewien czy Jerycho nie runęło od zwykłego trzęsienia ziemi – odparł Cert, – ale mniejsza z tym. Chodzi mi o pewną ideę broni.

Skinął na pomocników, którzy szybko ustawili długą rurę naprzeciwko fragmentu muru i zaczęli dmuchać miechami.

– I co? – spytał zdziwiony książę. – Nic nie słyszę, nic się nie dzieje. Chyba coś nie tak zrobiłeś.

– Spokojnie jak na wojnie – żartobliwie powiedział Cert. – Nic szczególnego nie słyszysz, bo tych dźwięków człowiek nie słyszy. Spójrz na mur.

Ściana zaczęła lekko wibrować. Z czasem drgania stawały się coraz wyraźniejsze. Ich amplituda rosła, aż w pewnym momencie mur rozsypał się na drobne kawałki.

– No i co? – triumfująco zapytał Cert.

– Zdumiewające – odrzekł Roland. – Tym możemy wykurzyć ludzi Leona z Champolion.

– My chyba chcemy odzyskać zamek, a nie rozwalić go – zaproponował Cert. – Mam lepszy pomysł na tę okazję.

Wydał polecenia pomocnikom. Jeden z nich przypiął spadochron i linę, a czterej pozostali chwycili za drugi koniec liny i cała piątka zaczęła biec. Spadochron wzbił się nad głową pomocnika i zaczął unosić go w górę. Pozostali biegli dalej. Gdy lotnik był już na znacznej wysokości odpiął linę i swobodnie poszybował. Dwie linki umożliwiały mu sterowanie.

– Rewelacja – zakrzyknął książę.

– Nauczymy pięćdziesięciu najlepszych ludzi latać na tym – wyłuszczał swoją ideę ataku Cert, – a oni nocą przelecą nad murami Champolion i otworzą nam bramy.

– Genialna myśl – podchwycił Roland.

*

Jak pomyśleli, tak zrobili. Cert z pomocnikami przez kilka dni uczył pięćdziesięciu żołnierzy latać na spadochronach. Zaczęto również czynić inne przygotowania do ataku na Champolion. Cert prowadził wykłady i ćwiczenia praktyczne dla rycerzy na temat budowy i posługiwania się nowymi rodzajami broni, a także nowej taktyki ataku i obrony.

Rycerz Hugo lekcewał te zajęcia. Nie uczestniczył w nich, bo był zwolennikiem dotychczasowych metod walki i uważał, że uczestnictwo w zajęciach to strata czasu. Zajmował się doskonaleniem fechtunku mieczem i władania włócznią, a przede wszystkim rozrywkami w miejskich gospodach.

Po tygodniach przygotowań armia Rolanda ruszyła na Champolion i po pięciu dniach marszu stanęła w pobliżu zamku. Załoga zamku wysłała błyskawicznie umyślnego do księcia Leona z informacją o zagrożeniu. Leon od razu zaczął czynić przygotowania do odsieczy Champolion.

W czasie gdy ludzie Rolanda rozbijali obóz, rycerz Hugo z kilkusobowym oddziałem postanowił zrobić rozpoznanie terenu w okolicach zamku. Gdy był już w pobliżu murów, nieoczekiwanie wyłonił się wielokrotnie silniejszy oddział żołnierzy księcia Leona. Po krótkiej walce grupa Hugona została rozbita, a on sam trafił w ręce wroga. Jedynie giermkowi udało się ujsć z życiem. Dotarł do obozu Rolanda i zdał relację z zajścia.

– No cóż – skwitował to książę, – najwcześniej jutro możemy zaatakować Champolion i odbić Hugo. Mam nadzieję, że do tego czasu nic im nie powie.

*

Hugo został zabrany do zamku i od razu zaprowadzony do sali tortur. Dowódca zamku zapytał:

– Kiedy ma nastąpić atak? Jaka jest wasza taktyka? Jakie nowe urządzenia macie, jaka jest ich zasada działania i skutki użycia?

– Czy mogę na te pytania odpowiedzieć łącznie? – zapytał Hugo.

– Oczywiście – odpowiedział dowódca zamku.

– Nie wiem – powiedział Hugo.

– Co prawda odpowiedziałeś na pytania – rzekł na to dowódca, – ale ta odpowiedź nie wyczerpuje zagadnienia. Będę zmuszony wspomóc twoją pamięć. Kacie czyni swoją powinność.

Kat z entuzjazmem zabrał się do pracy. Stosował różne rodzaje tortur, ale efekt tego był mizerny. Następnego dnia dowódca zamku zaczął mu robić wyrzuty za małą efektywność pracy, na co kat zaripostował:

– Proszę zobaczyć, jakim sprzętem ja pracuję. Jest już przestarzały i zużyty. O proszę, narzędzie do przypalania ciała jest już zupełnie przepalone, szczypcy do wrywania paznokci są całkiem luźne. Tym żadnego paznokcia wyrwać nie mogę. Bat jest wystrzępiony. Jak ja mam uzyskiwać dobre wyniki na takich przyrządach? Poza tym nie mam dostępu do fachowej katowskiej literatury. Nie mam kontaktu z innymi specjalistami z mojej branży. A słyszałem, że w Bizancjum organizują specjalne kongresy z mojej dyscypliny i są biblioteki z fachowymi manuskryptami, nie mówiąc już o sprzęcie.

– Skończ już narzekać kacie – powiedział zdenerwowany dowódca zamku. – Jak się chce to i w takich warunkach można uzyskać dobre efekty. Chcesz mi pewnie powiedzieć, że za mało zarabiasz.

*

Była już północ. Pięćdziesięciu wybranych żołnierzy ubranych w lekkie zbroje, z lekkimi mieczami i tarczami, uzbrojonych w łuki i strzały z wybuchającymi grotami, przypięło spadochrony. Obsługa naziemna zaczęła holować ich w powietrze. Na ustalonej przez Certa wysokości żołnierze odpinali liny holujące i cicho lecieli w kierunku zamku. W międzyczasie główne siły podchodziły pod mury Champolion.

*

– Popatrzcie, coś tu leci – strażnik włócznią pokazał kolegom jakieś obiekty nad lasem.

– To ptaki.

– To smoki!

– Nie, to żołnierze księcia Rolanda! Alarm!

Jeden ze strażników zadał w róg. Z pomieszczeń zaczęli wybiegać na wpół ubrani żołnierze z mieczami w rękach.

– Co się dzieje? – pytali jeden przez drugiego.

– Alarm! Atak! – krzyčeli strażnicy.

Pierwsi spadochroniarze zaczęli lądować na dachach, na murach, na dziedzińcu i podzamczu. Odpinali szybko spadochrony i biegli w kierunku bram, aby je otworzyć. Rozpoczęła się walka. Dzięki zaskoczeniu i lepszemu uzbrojeniu napastnicy szybko osiągnęli przewagę i otworzyli bramy podzamcza i zamku głównego. Strzały z wybuchającymi grotami siały strach i śmierć wśród obrońców. Do zamku zaczęły się wlewać rzesze żołnierzy Rolanda. Do świtu Champolion zostało opanowane.

Akcja tak dobrze się udała, bo Hugo niczego nie wyznał na torturach. Nad ranem zaczęto szukać dzielnego rycerza. Grupa żołnierzy, wśród których był jego giermek

znalazła go zmaltretowanego w głównym lochu zamku. Gdy tam weszli i giermek zbliżył się do swego bohaterskiego pana, ten słabym głosem powiedział:

– Ucz się mój giermku, ucz. Ja się nie uczyłem, lekceważyłem wykłady Certa i przez to o mało co tu mnie nie zabito.

*

Po dwóch dniach do zamku w pobliżu Champolion, lecz leżącego już w sąsiednim księstwie, dotarł Leon ze swoją armią. Roland chciał szybko rozprawić się z przeciwnikiem. W pobliżu zamku wroga ustawiono trąby konstrukcji Certa, a za nimi moździerze i wyrzutnie rakiet. Rozpoczął się atak. Trąby wprawily w drgania skałę wraz ze stojący na niej zamkiem. Po pewnym czasie mury zamku i skała zaczęły pękać. Potem wszystko zawaliło się. Moździerze i rakiety były już zbędne. Wydawało się, że nikt nie przeżył. Dopiero po dłuższym czasie spod rumowiska zaczęli wygrzebywać się ludzie, którzy od razy poddawali się żołnierzom księcia Rolanda. Roland polecił przeszukać gruzowisko i wydobyć rannych spod zwałów kamieni. Między innymi odkopano księcia Leona, będącego w bardzo ciężkim stanie.

Po kilku dniach Leon, który zaczął przychodzić do siebie, zawarł pokój z Rolandem. Po tym wojska rozpoczęły odwrót.

W drodze powrotnej do zamku Roland zagadnął Certa:

– Wiesz co, z taką armią i z takim uzbrojeniem mogę zdobyć tron naszego państwa. Jak myślisz, do twarzy byłoby mi z koroną na głowie?

Cert przypomniał sobie rozmowę z Linną i Klugiem o podboju świata. Pomyślał, że Roland ani chybi będzie chciał, z jego pomocą, zrealizować ten pomysł, a on nie miał ochoty uczestniczyć w tym przedsięwzięciu i odpowiedział księciu:

– Może i byłoby ci do twarzy w koronie. Teoretycznie zdobycie jej leży w granicach naszych możliwości, lecz chciałbym zwrócić ci uwagę na parę drobiazgów. Po pierwsze: stan liczebny naszej armii jest o połowę mniejszy niż był przed wojną, co prawda królewskiej też, ale nie ryzykowałbym ataku. Po drugie: zapasy amunicji są na wyczerpaniu i trzeba je odnowić. Po trzecie: chłopci zamiast orać, siać i zbierać plony zostali zmobilizowani do wojska, a wsie splądrowano. Nasze zapasy żywności nie są największe. Podejrzewam, że jeśli w przyszłym roku tak powalczymy to twojej krainie grozi głód. Po

czwarte: zostaniesz królem i co z tego? Nie będziesz wiele bogatszy, niż teraz jesteś, kraj będzie wyniszczony wojną domową, będą się szerzyć epidemie i głód. Jeśli chodzi o władzę, ty i tak nie będziesz władcą absolutnym, bo nie ma władców absolutnych. Wszyscy zależą od grup nacisku. Jeśli wprowadzisz ostre prawa i terror, sam możesz paść ich ofiarą. Będziesz musiał się liczyć z armią, klerem, książętami, a inni będą tylko czekać, aby zająć twoje miejsce. Jeśli chodzi o zdobycie korony to jest duża konkurencja w tej dziedzinie. Wielu chce być królami. Nie wiem, czy gra jest warta świeczki. Zdobycie korony będzie się wiązało z wojną, a ja jestem zdania, że lepszy zły pokój niż dobra wojna.

– Ale król nie zawarł ze mną pokoju – zauważył ksiązę.

– Wydaje mi się, że nie miał czasu – odparł Cert. – Przecież został ciężko poparzony.

Gdy wrócili do zamku czekał tam już poseł od króla.

– Witam cię ksiązę – ukłonił się nisko poseł. – Przybywam z propozycją pokoju.

– Miło mi – odpowiedział Roland. – A na jakich warunkach ma być ten pokój?

– Młody król pragnie puścić w niepamięć ten incydent – przedstawiał ofertę króla poseł.

– Chce by wszystko było jak przedtem. Ofiarowuje ci swoją przyjaźń.

– Ładny mi incydent – mruknął Roland.

Zaraz ożywił się i zapytał:

– Jak to młody król?

– Ojciec króla zmarł jeszcze w czasie bitwy w wyniku udaru cieplnego – odparł poseł, – a jego starszego brata zabił osobiście twój doradca.

– Cert jest zdumiewająco skuteczny – pomyślał Roland, a na głos powiedział: – Zgadzam się, widzę że masz mi coś jeszcze do przekazania.

– Z północnego wschodu nadciągają Słowianie. Prą na zachód jak burza. Roznieśli już w pył wiele księstw germańskich i zbliżają się do naszego kraju. Król prosi cię panie byś okazał swą dobrą wolę i wysłał wojsko na pomoc.

– No tak – westchnął Roland, – bezinteresownie to by tu nikogo nie przysłał.

– Ależ panie – rzekł poseł, – to nadzwyczajna sytuacja. Król i tak chciał zawrzeć z tobą pokój.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Roland. – Muszę zasięgnąć rady.

Książę poszedł do komnaty Certa.

– Słuchaj – rzekł od progu, – przybył poseł od króla prosić mnie o wsparcie wojskowe przeciw Słowianom. Czy nie myślisz, że to jakiś podstęp, że chcą podzielić naszą armię by łatwiej zdobyć księstwo?

– Mógłbym tak pomyśleć, gdyby nie to, że Słowianie faktycznie już wdarli się w granice tego kraju – wyjaśnił Cert – i jeśli trochę zaczekamy to go zajmą wraz z twoim księstwem. Oni stanowią olbrzymią siłę.

– Więc co radzisz? – spytał Roland.

– Wyślij część wojska na pomoc królowi jako dowód dobrej woli – poradził Cert. – Jak wynika z mojego rozpoznania, twojemu księstwu nic nie grozi i możesz pozwolić sobie na taki gest.

Książę wrócił do posła i powiedział:

– Zgoda, wyślę żołnierzy.

A w duchu pomyślał:

– Jak ja to wytłumaczę Szczęsnodarze? Mam nadzieję, że to nie Wiślanie atakują nasze królestwo.

*

Słowianie zostali wyparci z królestwa.

Cert wśród Słowian

Mijały lata. Od czasu pamiętnej wojny żaden z sąsiadów nie próbował wchodzić w konflikt z Rolandem. Życie w księstwie toczyło się spokojnie i dostatnio. Tylko od czasu do czasu Roland wspomagał króla w jego wojnach. Najmłodszy syn Rolanda, Hubert od dziecka nie odstępował Certa na krok. Interesowało go wszystko co ten robił. Brał udział w eksperymentach Certa i chętnie chodził na treningi sprawności fizycznej, organizowane przez idola. Dzięki temu uzyskiwał olbrzymią wiedzę i był bardzo sprawny

fizycznie. Cert nauczył go również niezwykłego sposobu podróżowania w ciele astralnym.

Po latach, stary już książę Roland zaczął gwałtownie zapadać na zdrowiu i wszyscy w zamku zdawali sobie sprawę, że śmierć księcia to tylko kwestia tygodni. Trzej starsi synowie Rolanda już rozpoczęli ukrytą walkę między sobą o sukcesję po ojcu. Tylko Huberta nie obchodziło zdobycie tronu i zaszczytów. Interesowało go głównie zdobywanie wiedzy. W tym czasie kończył osiemnaście lat.

Gdy książę lepiej się poczuł, wezwał Certę na rozmowę.

– Znam cię już trzydzieści lat. Czy ty się nie starzejesz? Wciąż wyglądasz tak samo.

– Nasza nauka opanowała ten problem – odpowiedział Cert. – U nas umiera się tylko wtedy, kiedy się tego chce, no i w tragicznych wypadkach. Starość u nas nie istnieje. Myślę, że u ludzi, w co pewnie nie uwierzysz, też można zlikwidować problem starości i to wcale nie poprzez zabijanie wszystkich powyżej pewnego wieku. Organizmy żywe nie powinny się starzeć. W naszych ciałach, a w waszych na pewno jest podobnie, wykryliśmy pewne substancje produkowane w określonych narządach i wydzielane do krwi, które przyspieszają starzenie się organizmu i inne, które go odmładzają. Produkcja tych substancji uwarunkowana jest poprzez materiał genetyczny, znajdujący się w komórkach organizmu. Zawiera wszelkie informacje dotyczące rozwoju z pojedynczych komórek, który obserwowałeś wielokrotnie pod mikroskopem. Nauczyliśmy się manipulować tym materiałem i produkcją tych substancji tak, że teraz nie tylko nasze organizmy się nie starzeją, ale i możemy odtwarzać uszkodzone organy. Prawdopodobnie, gdy nauczymy się przenosić do twojego świata wraz z aparaturą opanujemy te techniki u ludzi. A może wcześniej ludzie sami to odkryją?

– Czy mógłbyś się zająć tą sprawą? – z iskierką nadziei zapytał Roland.

– Niestety nie – odparł Cert. – Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, a poza tym nie mam odpowiedniego zaplecza technicznego.

*

Cert, przeczuwając zamęt, jaki powstanie po śmierci Rolanda, zaczął niszczyć swoje urządzenia, a zapiski chował w okolicznych grotach.

Roland umarł. Zaraz po pogrzebie wybuchły ostre spory pomiędzy jego synami o tron. Hubert nie angażował się w konflikt. Szczęsnodara pogrążyła się w żałobie, rzadko opuszczała komnatę. Nie mogła się pogodzić ze śmiercią męża i walką synów o władzę, postanowiła wstąpić do klasztoru.

Najstarszy z synów z Rolanda, który osiągnął pewną przewagę nad pozostałymi dwoma, zamknął Certa w jednej z komnat i trzymał pod strażą. W ten prosty sposób chciał sobie zapewnić wyłączność na jego usługi i rady. Jeśli Cert nie wyraziłby ochoty na współpracę, miał również prostą receptę na to. Kat już czekał na odpowiednie rozkazy. Hubert, który uchodził za nieszkodliwego przygłupa, mógł odwiedzać Certa bez przeszkód. Cert namówił Huberta do wspólnej ucieczki. Pewnej nocy zniknęli z zamku. Gdy byli już w bezpiecznej odległości Hubert zapytał:

– Co teraz planujesz robić?

– Jeszcze sam nie wiem – odpowiedział Cert. – Chyba zamieszkać gdzieś na odludziu i będę dalej prowadził badania. Ludzi muszę unikać, bo wszyscy się mnie boją, myślą, że jestem diabłem i ktoś może mnie ze strachu zabić.

– Chcę iść z tobą – zaoferował się Hubert.

– Daj spokój – usiłował go zniechęcić do tego zamiaru Cert. – Jesteś człowiekiem i powinieneś żyć z innymi ludźmi. Ja prawdopodobnie za jakiś czas przeniosę się do swojego świata. Próby nad możliwością podróży między naszymi światami są bardzo zaawansowane. Oczywiście mógłbym cię zabrać ze sobą, ale będziesz się tam czuł bardzo obco. Jeśli będziesz żył długie lata ze mną na odludziu, to nabierzesz pewnych nawyków i gdy zechcesz wrócić do społeczeństwa, ludzie uznają cię za wariata. Twoja starość będzie delikatnie mówiąc smutna. Najlepiej gdybyś teraz poszedł szukać pracy na dworze królewskim. Ze swoimi umiejętnościami szybko uzyskasz wysoką pozycję i pieniądze.

– Mam lepszy pomysł – powiedział Hubert. – Chodźmy razem do Słowian. Pamiętasz, jak moja matka opowiadała o nich? Oni tam nic nie słyszeli o chrześcijaństwie, o diabłach i aniołach, a mają dobrze rozwinięte państwa. Tam poszukajmy szczęścia.

Cert jeszcze długo usiłował przekonać Huberta, by poszedł na służbę do króla, ale nic nie wskórał. Pomysł ze Słowianami w gruncie rzeczy mu się podobał. Musieli się tylko

nauczyć ich języka, który był całkowicie odmienny od używanego tutaj. Za cel swojej podróży wybrali państwo Wiślan, z którego pochodziła matka Huberta.

*

Szli już wiele dni na wschód. Minęli kilka miast. Cert zostawał w lesie, a Hubert oglądał je i robił zakupy. W jednym z nich ostrzeżono go by nie szedł dalej na wschód, gdzie panuje zaraza. Cert wraz Hubertem zrobili rozpoznanie w ciałach astralnych.

– Znam tę chorobę – powiedział Cert po powrocie. – Wiem też jak ją leczyć.

– To cudownie – zachwycił się Hubert. – Naucz mnie tego i chodźmy pomóc tym ludziom.

Cert nie dał się długo prosić i szybko spreparował coś w rodzaju szczepionki dla Huberta i innych zdrowych ludzi, a dla chorych przygotował lekarstwa.

Zaraz potem wyruszyli do umierającego miasta. Cert został w lesie przed murami, a Hubert poszedł leczyć ludzi. Kuracja okazała się rewelacyjna i już po kilku dniach liczba zgonów została ograniczona, a chorzy poczuli się o wiele lepiej. Po dwóch tygodniach zaraza została zlikwidowana.

– Dzięki ci przybyszu – zwrócił się do Huberta burmistrz miasta. – Ocaliłeś nas. Proś o co zechcesz, a spełnimy twoje życzenia. Powiedz nam, skąd wiesz jak leczyć tę chorobę. Żaden z naszych lekarzy nic nie mógł poradzić.

– Mój przyjaciel – zaczął Hubert. – Ma olbrzymią wiedzę i to on wymyślił sposób na chorobę i nauczył mnie ją leczyć.

– A gdzie on jest?

– Ukrywa się w lesie pod miastem – odpowiedział Hubert.

– Dlaczego tu nie przyszedł? – drażył temat burmistrz.

– On wygląda trochę inaczej niż my – odrzekł Hubert. – Bał się, że gdy przyjdzie do miasta podczas epidemii, ludzie go zabiją, myśląc, że to szatan.

– Aż tak z nim źle? – zdumiał się burmistrz.

– A może i gorzej – dodał Hubert.

– Zaproś go tutaj – powiedział burmistrz. – Nasz wybawca nie może żyć w lesie, jak dziki zwierz.

Hubert wprowadził Certa do miasta. Jego wygląd zdumiał mieszkańców, ale przyjęli go bardzo życzliwie. W nagrodę Hubert i Cert dostali okazały dom w mieście.

*

Minęło kilkanaście lat. W międzyczasie bracia Huberta wywołali wojnę i zrujnowali księstwo. Na taką okazję czekali sąsiedzi, którzy pomagając raz jednemu bratu to znowu innemu, łupili księstwo ile się dało. Urządzenia techniczne budowane według projektów Certa zostały zniszczone, a ludzie, którzy z nim współpracowali przy produkcji, w wyniku działań wojennych zostali rozproszeni lub zabici. Nieliczni, którzy znaleźli schronienie u bogatych mecenasów nie byli w stanie samodzielnie odtworzyć chociażby drobnej części tego, co Cert robił. Wiedza ta została zapomniana.

*

Hubertowi i Certowi żyło się w mieście bardzo dobrze. Zasłynęli jako niezrównani lekarze i konstruktorzy. Hubert w międzyczasie założył rodzinę i miał dwójkę dzieci.

Pewnego dnia, po powrocie z wizyty w świecie dinozauroidów, Cert oznajmił Hubertowi:

– Musimy się rozstać.

– ?

– Mówiłem ci o próbach z przenoszeniem ciał materialnych między naszymi światami, o przenoszeniu przedmiotów i zwierząt za pomocą tylko jednego urządzenia nadawczego. Niepotrzebny jest odbiornik, a przedmioty same się materializują w danym miejscu. Byłem teraz w swoim świecie i właśnie zdecydowano się na próbę z dinozauroidami. Moi przyjaciele będą przerwuceni do tego świata.

– Wspaniale – zachwyił się Hubert, ale zaraz posmutniał. – Dlaczego mówisz o rozstaniu?

– Nie ominie mnie wizyta w państwie Wiślan, tam gdzie pierwotnie myśleliśmy się osiedlić, pamiętasz? – wyjaśniał Cert. – Znalaziono tam silny punkt energetyczny, bardzo korzystny dla takich eksperymentów. Co prawda w tym miejscu znajduje się wzgórze z grodem, ale nasi naukowcy przewidują, że ludzie tak się przestraszą zjawisk towarzyszących eksperymentowi, że nie będą przeszkadzać.

– Chcę pojechać z tobą – oznajmił Hubert.

– Nie powiem, że jest to niemożliwe, wszak wiele ze sobą przeszliśmy – powiedział Cert, – lecz nie jest to wskazane. Masz żonę i dzieci, które na pewno nie mają ochoty na przeprowadzkę, masz tu wysoką pozycję społeczną. A myślę, że ja w tym świecie nie zabawię długo. Będę cię odwiedzał w ciele astralnym, w miarę możliwości również w fizycznym.

Tym razem Hubert zgodził się z Certem, gdyż spoważniał i już przestał bujać w obłokach. Jego propozycja była raczej kurtuazyjna.

Następnego dnia Cert pożegnał się z Hubertem i mieszkańcami miasta i wyruszył na wschód.

*

Po trzech tygodniach marszu ujrzał gród na wzgórzu nad dużą rzeką. Przez chwilę obserwował go, a następnie zaczął szukać dogodnego miejsca do zbudowania szałas. Zdecydował się na mokradła w pewnej odległości od grodu. Wiedział, że ludzie boją się zapuszczać w takie rejony, szczególnie nocą i raczej nie zaskoczą go we śnie. Poczł głód. Z łuku upolował dwie przepiórki, wypatroszył je i usmażył nad ogniskiem. Po posiłku przystąpił do budowy prowizorycznego szałas. Przez następne dni, nie niepokojony przez nikogo, zbudował sobie chatkę z prostym glinianym piecem do gotowania posiłków i ogrzewania, gdyż na tej szerokości geograficznej jest stosunkowo chłodno. Jeszcze przez jakiś czas urządzał sobie dom, a potem przystąpił do obserwacji grodu. Wypatrzył jaskinię w skale, na której wznosił się gród. Pewnej nocy wyprawił się, aby zbadać jej wnętrze. Na prowizorycznej tratwie przepłynął rzekę. Cicho zszedł na brzeg i podszedł do ciemnego otworu w skale. Po wejściu do pieczary zapalił pochodnię i rozpoczął zwiedzanie. Idąc korytarzem znaczył krzyżyki na ścianach, aby nie zabłądzić.

Jaskinia była bardzo duża. Cert pomyślał, że byłoby to doskonałe miejsce do założenia stacji badawczej. Po powrocie do chatki wystąpił z ciała fizycznego, przeniknął do świata dinozauroidów i poinformował o swoim pomysle. Propozycja Certa została przyjęta.

*

Przez wiele tygodni nic się nie działo. Cert zbierał materiały badawcze, uczył się języka tubylców, polował, zbierał runo leśne i od czasu do czasu nudził się.

Pewnego dnia, gdy siedział na polance i rozmyślał, z lasu niespodziewanie wyszło dwoje roześmianych młodych ludzi trzymających się za ręce. Uśmiech zamarł im na ustach, gdy ujrzeli Certa.

– I co się tak gapiacie? – zagadnął. – Diabła żeście nie widzieli?

– A co to jest diabeł? – po dłuższej chwili wyksztusił z siebie chłopak.

– A zapomniałem, że do was nie dotarła jeszcze ta wiara – powiedział Cert. – Odwołuję to pytanie.

– Jaka wiara? – pytał dalej chłopak.

– Nazywa się chrześcijaństwo – odpowiedział Cert. – Chrześcijanie wierzą w szatana, czyli diabła, którego wygląd utożsamiają z takimi jak ja. Ja z ich szatanem nie mam nic wspólnego. To nie moja wina, że się taki urodziłem. Akurat przy narodzinach wyglądu nie mogłem sobie wybrać. To mój pech. Żyję na pustkowiu, bo ludzie boją się mnie i usiłują na mnie zapolować.

– Gdzie mieszkają ci chrześcijanie? – indagował Certa chłopak.

– Na zachodzie i południu kontynentu – odparł Cert.

– Gdzie? – spytał chłopak.

– No, za tym wielkim lasem – wyjaśnił mu Cert, widząc, że jego rozmówca ma małe pojęcie o geografii.

– A tak – wtrąciła się po raz pierwszy dziewczyna. – Przybywają do nas kupcy z różnych stron świata i opowiadają czasami o jakimś Chrystusie. Podobno wstał z martwych.

– Tak mówią – zgodził się Cert z jej słowami, – lecz ja nie wiem. Przecież wiadomo, że po śmierci jakiegoś bohatera tworzą się o nim legendy, a im dłuższy czas upływa od jego zgonu, tym bardziej niezwykle opowieści o nim krążą.

– A my mamy swojego Swaróżyca – powiedział chłopiec – boga Słońca i ognia. Poza tym w naszym mieście czci się kruki. Kapłani odprawiają specjalne nabożeństwa ku ich czci. Za grodem na wzgórzu nasi dziadowie usypali specjalny kopiec, na którym odbywają się główne ceremonie ku czci tych ptaków. Od tego również pochodzi nazwa naszego grodu używana przez obcych – Miasto Kruków.

– Nic się nie martw – zmieniła temat dziewczyna, – zaopiekujemy się tobą. Ludzie w naszym grodzie są życzliwi. Na pewno zaakceptują twój wygląd. Myślę, że książę Krak będzie chciał cię poznać. To bardzo dobry władca.

– Nie wątpię w to, że będzie mnie chciał poznać – odparł Cert. – Miałem już kontakt z kilkoma książętami. Różnie z nimi bywało. Może Krak jest i dobry, ale wolę go nie znać. Tak mi jest dobrze. Nie chcę mieszkać w grodzie.

Jeszcze przez jakiś czas rozmawiali. Cert dowiedział się, że chłopiec terminuje u garn-carza, a dziewczyna sprzedaje pieczywo w grodzie. Cert wypytywał ich o wszystko, co dotyczyło grodu i życia w nim, a oni chętnie udzielali mu wyczerpujących wyjaśnień.

Gdy zaczął zbliżać się wieczór pożegnali się i umówili na następny dzień.

Spotykali się wielokrotnie. Nie tylko oni udzielali Certowi informacji, ale i Cert rewanżował się, ucząc ich wielu rzeczy. Oczywiście młodzi nie omieszkali pochwalić się w grodzie tą znajomością. Z początku, w obawie przed wyśmianiem, mówili niewiele i to tylko najbliższemu sobie ludziom. Z czasem wiadomość o dziwnym przybyszu rozeszła się po grodzie i dotarła do księcia Kraka, który kazał wezwać dwoje młodych do siebie.

– Mówcie wszystko co wiecie o tym przybyszu – rozkazał Krak.

Młodzi przestraszyli się i zaczęli wszystko dokładnie opowiadać. Gdy skończyli Krak powiedział:

– To może być niebezpieczny osobnik. To prawdopodobnie ten sam, o którym kupcy z zachodu opowiadają tak przerażające rzeczy. Jest nieśmiertelny i siał spustoszenie u boku jednego z zachodnich książąt, a potem gdzieś zniknął. Należy go sprowadzić na zamek i zamknąć w wieży.

– Nie panie – prosili młodzi. – Obiecaliśmy mu pomoc.

– Nie żartujcie sobie ze mnie – powiedział surowo Krak. – Jemu pomoc nie jest potrzebna. Sam doskonale sobie radzi. Jeśli to prawda, co mówili kupcy, to może w pojedynkę zgładzić wszystkich mieszkańców naszego grodu. To raczej nam będzie potrzebna pomoc, jeśli on coś knuje przeciwko nam. Rozkazuję go odszukać i przyprowadzić.

– Żywego lub martwego – dodał, a w duchu pomyślał – lepiej żywego. Może coś ciekawego się dowiem od niego. Nie bardzo wierzę w te kupieckie opowieści, ale jeśli jest w nich choć krztyna prawdy, taki przyda się na zamku.

Drużyna księcia od razu wyruszyła by schwycić Certa, lecz o zmierzchu powróciła z niczym. Poszukiwania trwały wiele dni, lecz nie dały pożądanego rezultatu. Złapano przy okazji kilku rozbójników, ale nie to było ich celem.

Cert dość szybko zorientował się, że jest poszukiwany i zaszył się w swej niedostępnej chacie na bagnach. Po dwóch tygodniach bezskutecznych poszukiwań księżę zrezygnował z dużej akcji. Codziennie wysyłał do lasu tylko mały oddział wojów. Rozkazał mieszkańcom, by informowali go, jeśli tylko zobaczą obcego.

*

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy podjęto po raz pierwszy próbę przeniesienia dinozauroidów do świata ludzi. O świcie Cert, ukryty w zaroślach, z pewnej odległości obserwował okolice groty leżącej u podnóża góry, na której stał gród. Od grodu oddzielała go rzeka. W ciałach astralnych towarzyszyło mu kilku obserwatorów ze świata dinozauroidów. Był piękny letni poranek. Mijał czas. Słońce stało już wysoko nad horyzontem. W grodzie, jak co dzień o tej porze panował już duży ruch. W pewnej chwili zrobiło się zimno. Zerwał się silny wiatr. Na niebie niespodziewanie pojawiły się chmury, które szybko gęstniały i zaczął z nich padać obfity deszcz, a potem grad. Równocześnie przed wejściem do pieczary materializował się jakiś obiekt. Ludzie w grodzie nie widzieli, co się dzieje, gdyż czym prędzej chowali się przed gradem. Tylko nieliczni na wałach, którzy akurat byli świadkami tego zjawiska, zamarli z przerażenia. U stóp góry pojawił się olbrzymi potwór.

– To nasz wielofunkcyjny robot obronny - wyjaśnił Certowi jeden z dinozauroidów znajdujący się obok. – Będzie osłaniał pojazd z załogą. Nie wiadomo, co tym ludziom do łbów strzeli.

Deszcz ustał. Wyrztało słońce. Robiło się coraz cieplej.

– Dobrze, że wyszło słońce – powiedział Cert. – Zmarzłem trochę.

– Nie ciesz się zawczasu – powiedział inny dinozauroid. – Zaraz będzie jeszcze zimniej.

Pojazd z żywą załogą pochłania zdecydowanie więcej energii z otoczenia.

Robot poruszał się po terenie u podnóża góry i dzięki kamerom umieszczonym na długim wysięgniku obserwował okolicę. Chodził na czterech nogach, gdyż powszechnie wiadomo, że pojazdy kroczące po nierównym terenie zużywają mniej energii niż inne, na przykład kołowe lub gąsienicowe. Maszyna mogła też latać.

Z wałów coraz więcej ludzi obserwowało dziwnego stwora, który niespodziewanie zjawił się u podnóża góry. Mijały chwile. Znow gwałtownie zaczęła spadać temperatura. Zrobiło się bardzo zimno. Niebo ponownie zasnuło się gęstymi chmurami. Siny wiatr wiał ze wszystkich stron w kierunku wzgórza, co zdumiało mieszkańców. Powstały trąby powietrzne porywające z ziemi małe przedmioty. Ludzie byli jeszcze bardziej zdziwieni, gdy z nieba lunął deszcz i następnie przeszedł w obfity śnieg, a rzeka zaczęła zamarzać. Obok robota pojawił się pojazd, który od razu wleciał do jaskini. Po chwili i maszyna wkroczyła do groty. Wszystkie niezwykle zjawiska w jednej chwili ustały. Słońce znow świeciło zza chmur, które szybko się rozplęwały. Śnieg tajał, lód na rzece topniał. Osłupiali ludzie na wałach dzwoniли z zimna zębami.

Cert wykonywał gwałtowne ruchy, żeby się rozgrzać.

– No, to my polecimy zobaczyć jak czują się Zyg i Moa po podróży – powiedział jeden z dinozauroidów. – Cześć Cert.

Zniknęli. Cert został sam. Myślał, jak przedostać się niepostrzeżenie do pieczary, w okolicy której zaczęli schodzić się ludzie. Z, ich zdaniem, bezpiecznej odległości obserwowali jaskinię. Cert nie mógł niezauważony przepłynąć rzeki, prawdopodobnie dość szybko zostałby złapany przez ludzi. Wtem z pieczary wyszedł robot. Ludzie uciekając w popłochu krzyczeli:

– Smok, smok, ratuj się kto może!

– A kto nie może, ten ma przechłapanie – przeleciało Certowi przez głowę.

Maszyna podeszła do rzeki, uniosła się trochę nad ziemię, przeleciała nad wodą i zbliżyła się do kryjówki Certa. Cert podeszedł do niej, wszedł na jej grzbiet, gdzie było sześć siedzeń, usadowił się wygodnie i ruszyli w kierunku jaskini. Z wałów ludzie uważnie oglądali to zdarzenie. Robot łagodnie osiadł przed jaskinią i z gracją wkroczył do niej. Gdy byli już w jamie, Zyg i Moa przywitali Certa:

– Cześć Cert – powiedział Zyg, – kopę lat się nie widzieliśmy.

– W ciałach fizycznych oczywiście – dodała Moa.

– Cześć – powiedział Cert. – Dzięki za robota. Bez jego pomocy pewnie w życiu nie dostałbym się do was. Ci gapie, którzy sterczą wokół groty, niechybnie by mnie zatłukli. Od pewnego czasu mieszkańcy grodu urządzają sobie na mnie regularne polowania.

– Naraziłeś im się czymś, czy to ich takie hobby, którym się zajmują w wolnych chwilach? – spytała Moa.

– Raczej hobby – odparł Cert. – Nudzi im się. Ja miałem kontakt tylko z dwójkiem mieszkańców. I nic im złego nie zrobiłem. To chyba przez mój wygląd. Nie wdając się w szczegóły anatomiczne, nasz gatunek jednak trochę różni się od ludzi. To im się chyba nie podoba.

– Wstrętni rasiści, a rzecz można gatunkowiści – powiedział z ironią Zyg.

– Wiecie co – wtrąciła się Moa, – ludzie nazywają naszego robota smokiem. Podoba mi się to. Nazwijmy go tak.

– Dla ciebie wszystko – powiedział Zyg. – Niech będzie Smok.

Rozpoczęli urządzenie bazy. Zyg i Moa przywieźli ze sobą urządzenie do przesyłania obiektów materialnych pomiędzy wszechświatami i minielektrownię. Dzięki temu mogli przysyłać różne rzeczy do swojego świata, bez wywoływania tak dramatycznych zjawisk, jakie miały niedawno miejsce. Po pracy zjedli posiłek. Cert pierwszy raz od dziesiątków lat zjadł pokarm ze świata dinozauroidów.

– Rewelacja – powiedział Cert po jedzeniu.

– O ile sobie przypominam – rzekła Moa – nie przepadałeś za tym jedzeniem w naszym świecie.

– Nie bądź taka drobiazgowa – zaproponował Cert. – Gust zmienia się co kilka lat, poza tym już mi obrzydło tutejsze jedzenie.

*

W tym czasie, w grodzie na zamku odbywała się narada księżęca, która usiłowała znaleźć rozwiązanie porannego fenomenu.

– To na pewno przez tego stwora, ukrywającego się w lesie – powiedział jeden z doradców.

– Bestia poszła po niego i słuchała go jak wierny pies – wtrącił się drugi.

– No dobrze, przyczynę już znamy – powiedział Krak, – ale co mamy dalej robić?

– Trudne pytanie – powiedział kolejny z doradców. – Ciężko będzie na nie dać odpowiedź.

– Jasna sprawa, że ciężko będzie dać odpowiedź – zdenerwował się książe. – Gdyby to była proste, nie wzywałbym was tutaj. Płacę wam za rozwiązywanie trudnych spraw. Z łatwymi sam sobie radzę.

– Na początek proponuję wysłać w okolice jaskini kilku uzbrojonych wojów. Niech zbadają teren – zaproponował doradca, który do tej pory się nie odzywał, – a po zdaniu przez nich relacji możemy obmyślić jakiś plan działania.

– Złota myśl – podchwycili inni doradcy.

Jak uradzono, tak i zrobiono. W godzinę później dziesięciu uzbrojonych wojów schodziło ze wzgórza.

*

W czasie, gdy Cert, Moa i Zyg beztrąsco sobie gawędzili, czujniki umieszczone u wylotu jaskini zasygnalizowały zbliżenie się ludzi. Ich fale mózgowie nie zdradzały pokojowych zamiarów.

– Chyba mamy gości – stwierdził oczywistą rzecz Zyg.

– Prawdopodobnie chcą z nami zrobić porządek – dodał Cert.

– Z analizy fal mózgowych wynika, że chcą zabić smoka – wtrąciła się Moa.

– Jeśli chcą zabić naszego Smoka, to mają pecha – stwierdził Cert. – Nie mogą go zabić, bo on nie żyje i nigdy nie żył. Co najwyżej mogą go zniszczyć lub uszkodzić.

– Chłopcy się rozczarują – zauważył żartobliwie Zyg. – A może w okolicy grasuje więcej smoków i to żywych?

– Ludzie na tym kontynencie tak wiele mówią o smokach – powiedział Cert, – że ktoś nie znający się na rzeczy pomyślałby, że całe tabuny tych bestii biegają lub latają po całej planecie.

– Wiecie co – ciągnął dalej Cert, – złapmy tych zuchów i wyślijmy do Centrum do naszego świata. To znakomity materiał badawczy.

Pozostali podchwycili pomysł Certa i zawiadomili Centrum o swoim zamiarze. Centrum zaczęło się przygotowywać do przyjęcia przesyłki.

*

Przed jaskinią ludzie zapalili pochodnie i ostrożnie zaczęli wchodzić do wnętrza. Nagle w świetle pochodni zobaczyli potwora. Smok stał nieruchomo z kamerami skierowanymi na intruzów. Wojom ze strachu stanęły włosy na głowach, a pod co wrażliwsiymi ugięły się nogi.

– Zabijmy go! – rozkazał dowódca wojów.

Wojowie napięli łuki i wypuścili strzały, które odbiły się od pancerza robota i upadły na ziemię. Smok stał dalej w bezruchu, co wprowadziło wojów w nie lada konsternację.

– To jakieś czary – szepnął jeden z wojów.

– Wycofujemy się – zarządził dowódca.

Woje błyskawicznie i z ulgą zaczęli wykonywać ten rozkaz, gdy z ciemności wynurzył się Cert i krzyknął:

– Stać!

Ludzie stanęli jak wryci, z wyjątkiem dwóch, którzy nie przejęli się okrzykiem Certa i czmychnęli z jaskini. Dowódca wojów pozostał z resztą oddziału. Tylko on zachował w miarę zimną krew, napiął łuk i wypuścił strzałę w kierunku Certa. W tym momencie robot zareagował. Bluzgnął z miotacza gorącą plazmą, która spaliła lecącą strzałę na popiół i

promieniem lasera wystrzelonego z działka umieszczonego na głowie, za kamerami, zabił dowódcę.

– Wracać z powrotem! – rozkazał Cert.

Rozkaz został wykonany bez szemrania. Woje byli tak przerażeni, że bez sprzeciwów dali się wysłać do Centrum.

*

Dwóch wojów powróciło na zamek. Zdali mrozącą krew w żyłach relację o wydarzeniach w jaskini. Książę Krak myśląc, że jego dzielni żołnierze są uwięzieni w grocie, następnego dnia wysłał o wiele liczniejszy oddział w celu odbicia więźniów. Cert i jego kompania byli uzbrojeni w paralizatory, które wcześniej przysłano z Centrum. Z łatwością poradzili sobie z nową grupą napastników i wysłali ich do swojego świata.

*

Cert nie chciał na razie wracać do domu. Postanowił zostać z Zygiem i Moą i pomóc im w poznawaniu tajemnic świata ludzi.

– Już od dwóch tygodni nikt do nas nie zaglądał – zadumał się Zyg.

– Centrum ponagla nas byśmy przysyłali im więcej obiektów badawczych – martwiła się Moa – Smok jednorazowo może przynieść jedno większe zwierzę lub roślinę, a oni żądają dziesiątek sztuk. Poza tym zarzucają nam, że jeśli chodzi o ludzi, to przysyłamy im samych mężczyzn, a żadnej kobiety.

– A cóż możemy poradzić – przerwał te wywody Cert, – że w te okolice przychodzą tylko faceci i to bardzo rzadko. Smokowi udało się pod grodem złapać tylko jedną i to starą babę, bo zbyt powoli uciekała. Co prawda możemy robota puścić do grodu, żeby niszczył domy i z ruin wyciągał kobiety, ale wydaje mi się, że nie tędy droga.

– A może by w jakiś sposób zmusić mieszkańców, żeby sami wydawali nam kobiety – zamyślił się Zyg.

– Idea dobra, tylko jak ją zrealizować? – zapytała retorycznie Moa.

– Mam prosty sposób – powiedział Cert.

– ??? – zdumiała się Moa, która myślała, że jej pytanie pozostanie bez odpowiedzi.

– Zażądajmy od mieszkańców grodu, aby powiedzmy raz na tydzień dostarczali nam jakieś zwierzęta, rośliny i młodą kobietę – wyłuszczył swój pomysł Cert.

– Dziewicę – dodał Zyg. – Oni niektóre swoje młode kobiety tak nazywają. Ponoć smoki lubią je jeść. Jak nie zażądamy dziewicy, to pomyślą, że nasz Smok jest jakiś nienormalny.

– Niech będzie dziewica – zgodził się Cert, który tak jak i Zyg, nie w pełni rozumiał znaczenie tego słowa.

Jak pomyśleli, tak zrobili. Robot wyszedł z jaskini i z głośników umieszczonych na korpusie ryknął potężnie. Mieszkańcy grodu z trwogą i ciekawością zbierali się na wałach. Gdy zebrała się spora grupka gapiów, Smok jeszcze raz ryknął i zionął z miotacza gorącą plazmą, która stopiła i odparowała sporą część skały.

– Dawać tu Kraka i jego doradców – rozkazał Cert za pośrednictwem smoczych głośników, – bo inaczej spalę gród!

Widząc, że potwór nie blefuje, grupa mieszkańców szybko pobiegła zawiadomić księcia. Po chwili na wałach pojawił się Krak ze swoją radą.

– Czego chcesz? – spytał Krak.

– Nic specjalnego, same drobiazgi – odpowiedziały głośniki Smoka. – Żądam na jutro pięciu koni, dziesięciu owiec, dziesięciu krów i jednej dziewicy. Jeśli nie, to spalę gród.

Po tych słowach maszyna wkroczyła do jaskini. W grodzie zapanowała konsternacja. Zwierzęta można było dostarczyć, ale z dziewicami były niejaki problemy. Pierwszy – natury etycznej, czy współmieszkańca można dać na pożarcie potworowi. Drugi – bardziej praktyczny, dziewice zawsze były w śladowej ilości. A te, które były, to na pewno w ciągu ostatnich minut, ze względów bezpieczeństwa (oczywiście !?), przestały nimi być. Rada książęca ustaliła, że na drodze losowania ustalą się, która z młodych kobiet zostanie rzucona na pastwę bestii. Istniała nadzieja, że potwór nie zorientuje się, jeśli to nie będzie dziewica. Nim zdążono ogłosić ludowi ustalenia rady, do komnaty obrad weszła stara kobieta, której wygląd mógł przerazić najodważniejszego woja.

– Ja jestem dziewicą – zakomunikowała.

– Nie dziwię się – szepnął uszczypliwie jeden z doradców.

- Mnie rzućcie na pożarcie bestii – dodała.
- Cóż za heroizm i poświęcenie dla grodu – powiedział Krak, któremu kamień spadł z serca, a w duchu pomyślał. – Dzięki ci Światowidzie, że i takie po ziemi chodzą. Cała rada jednogłośnie i z wyraźną ulgą zgodziła się na propozycję kobiety.

*

O świetle przed jaskinią stały przygotowane zwierzęta i zataczająca się dziewica. Smok wypełził przed grotę. W zasadzie mógł biegać jak gazela, ale Cert uznał, że pełzanie robi większe wrażenie na mieszkańcach. Na wałach zgromadzeni mieszkańcy wraz z księciem Krakiem obserwowali przebieg wydarzeń. Robot minął zwierzęta i podszedł do dziewicy. Kamery na głowie robota na bieżąco przekazywały obraz sytuacji, obserwowany w jaskini przez Certę i przyjaciół na holograficznym monitorze

– Co ona się tak chwieje? – spytała Moa.-- W ogóle dziwnie się zachowuje. Śpiewa sobie.

– Pewnie jest pijana lub pod wpływem narkotyków – powiedział Zyg. – Inaczej by tu nie przyszła. Zróbmy zbliżenie.

Na ekranie w całej okazałości pojawiła się postać starej kobiety.

– Z wyglądu ona jest bardziej podobna do nas niż do nich – zauważył Zyg.

– Przecież to stara baba – powiedział Cert. – Jedną taką, ale bardziej do ludzi podobną, wysłaliśmy do Centrum. Skąd oni taką wytrzasnęli?

– Fatalna sprawa – zasępił się Zyg. – Centrum chce młode.

– Zaraz pogadam z Krakiem – Cert chwycił mikrofon i przez głośniki robota popłynął jego głos. – Co wy sobie jaja ze mnie robicie?

Mieszkańcy zamarli na wałach.

– Przecież to miała być młoda kobieta, a wy mi podsuwacie jakąś starą prukwę.

– Nic podobnego – odkrzyknął Krak, który nie stracił zimnej krwi. – Mówiłeś o dziewicy to masz najprawdziwszą dziewicę. Możesz sprawdzić.

– Tak jestem najprawdziwszą dziewicą – wtrąciła się stara kobieta. – „Wianek” mam cały. Sprawdź.

– Co za fatalne nieporozumienie – powiedział Zyg. – To przez to, że słabo znamy ten język i nie wyczuwamy jego subtelności. Ale przynajmniej mamy pewien trop jak rozpoznawać dziewice. Drugi raz nie damy się nabrać. Weźmy ją do jaskini. Potem wypytamy ją o szczegóły.

– W porządku, słowo się rzekło. Biorę ją – powiedział Cert do mikrofonu.

Maszyna zapędziła kobietę i zwierzęta do jaskini. Mieszkańcy grodu odetchnęli z ulgą. Zwierzęta od razu przerzucono do Centrum. Kobieta, z otwartymi do granic możliwości oczami i ustami, obserwowała jak krowy i inne zwierzęta kolejno znikają.

– Co? Zdziwiona? – zapytał ironicznie Zyg.

Kobieta nic nie odpowiedziała tylko stała nieruchoma jak słup soli. Po pewnym czasie ochłonęła na tyle, by móc mówić.

– Czy ja już nie żyję? – cicho zapytała.

– Jeszcze żyjesz i nieprędko umrzesz – powiedział łagodnie Cert. – Nasi medycy nie pozwolą ci tak zwyczajnie umrzeć.

– Ale ja już nie chcę żyć – powiedziała. – Całe moje życie było okropne. Zawsze ludzie śmiali się z mojego wyglądu, żaden mężczyzna nie chciał na mnie spojrzeć. Chcę umrzeć.

– To masz pecha – wtrącił się Zyg. – Złapaliśmy cię nie po to by zabić. Jeszcze długo będziesz żyła. Ale nie martw się, tam gdzie pójdziesz będą prawie sami mężczyźni.

– Ale i tak żaden na mnie nie spojrzy – ze łzami w oczach powiedziała kobieta.

– Trzeba pozytywnie myśleć – pocieszała Moa. – Jeśli będziesz chciała, to nasi lekarze zmienią twój wygląd i będziesz piękną kobietą. Muszą tylko wiedzieć, jak wyglądają piękne kobiety.

Jeszcze długo rozmawiali, a potem przesłali kobietę do swego świata. Tam po przebadaniu zawartości jej mózgu i na podstawie wspomnień innych ludzi, lekarze przeprowadzili operację plastyczną polegającą na klonowaniu komórek w pewnych miejscach organizmu i powodując apoptozę, czyli programowaną śmierć komórek w innych miejscach. Kobieta stała się piękna. Lekarze byli bardzo zadowoleni, bo pierwsze eksperymenty z ludzkimi komórkami przeprowadzone na żywym, ludzkim organizmie zakończyły się pełnym sukcesem.

*

Cert z przyjaciółmi badali planetę. Codziennie wylatywali na robocie, przeprowadzali badania flory i fauny i kręcili wiele filmów holograficznych, obrazujących życie na tym świecie. Po miesiącu doszli do wniosku, że wypadałoby zażądać nowych zwierząt i nowej kobiety od mieszkańców grodu. Tym razem Smok precyzyjnie określił czego chce.

Następnego dnia zwierzęta i odurzona ziołami narkotycznymi dziewczyna stały przed pieczarą. Robot bez problemu wprowadził je do jamy. Zwierzęta od razu przesłano do Centrum, a dziewczynę doprowadzono do przytomności w sali medycznej. Gdy w jasno oświetlonym pomieszczeniu ujrzała dinozauroidy i mechaniczne urządzenia same się poruszające, doznała szoku i ataku hysterii. Trzeba było ją natychmiast uśpić i przetransportować do Centrum.

*

Po świecie rozeszła się wieść, że w pogańskim kraju żyje smok terroryzujący mieszkańców i pożerający dziewice. Z całej Europy zaczęli przybywać rycerze, by stoczyć walkę z tym monstrem. Sklepikarze i właściciele gospód cieszyli się z tego bardzo, gdyż ich dochody gwałtownie wzrosły. Modlili się do Swarożycy, aby potwór był tu jak najdłużej i każdego dnia z wielką obawą obserwowali jego wyloty, martwiąc się czy jeszcze powróci.

*

Pewnego dnia, gdy Smok z załogą powracał do swojej kryjówki, do grodu zbliżał się orszak.

– Co to jest? – spytał Zyg.

– To orszak rycerski – wyjaśnił Cert. – Widziałem takie na zachodzie. Jakiś znamienity rycerz. Będzie pewnie usiłował wykurzyć nas stąd.

– Smok sobie z nim poradzi – powiedziała Moa. – Możemy go nawet teraz wykończyć.

– Myślę, że lepiej będzie wyłapać ich, gdy nas zaatakują – podsunął pomysł Cert. – Zawiadomię Centrum, by przysłało jakieś środki usypiające te ssaki. Najlepsze by było urządzenie hipnotyzujące. Wtedy sami wślizgliby się do nas i nie robili problemów.

– Jeśli się nie mylę – wtrącił się Zyg, – to trwają właśnie prace nad czymś takim.

Gdy znaleźli się w swojej bazie, Zyg zażądał od Centrum miotacza gazu usypiającego, który można będzie umieścić na Smoku. Bardzo szybko zrealizowano zamówienie i już pół godziny później montowano miotacz gazu na robocie.

*

Następnego dnia przed grotą stał rycerz zakuty w zbroję z kopią w ręku. Jego rumak też posiadał jakieś namiastki pancerza. W pewnym oddaleniu stała jego świta. Rycerz, coś wrzeszcząc, usiłował wywabić bestię z kryjówki.

– Co on krzyczy? – spytał Zyg.

– Znam ten język. Byłem w tym kraju przez parę lat – powiedział Cert. – Nie ma co tego tłumaczyć. Same mało istotne rzeczy. Wydaje mi się, że należy wreszcie dać mu satysfakcję i wypuścić Smoka.

Robot wyczołgał się z jaskini i stanął naprzeciw śmiałka. Komputer maszyny sam kierował walką, stosując się do ogólnych dyrektyw wydanych przez dinozauroidy. Rycerz ruszył do ataku. Pochylił się i wycelował kopię w korpus monstrum. Potężne uderzenie o pancerz robota zmieniło broń w drzazgi. Zdumiony rycerz zawrócił konia, dobył miecza i ruszył ponownie na potwora. Gdy mijał bestię, zadał jej potężne cięcie mieczem, lecz w tym momencie impuls elektryczny pozbawił go i jego rumaka przytomności. Obaj runęli bezwładnie na ziemię, wykonując kilka fikołków. Ludzie zgromadzeni tłumnie na wałach wydali okrzyk zawodu. Tylko handlarze cieszyli się na myśl o nowych rycerzach, czyli o nowych bogatych klientach. Na pancerzu robota nie było najmniejszego śladu stoczony przed chwilą walki. Na pomoc swemu panu rzuciła się służba. Lecz gaz, wystrzelony z miotacza, po chwili położył wszystkich na trawie. Smok pojedynczo znosił ofiary do jaskini. Zostali od razu przeniesieni do świata dinozauroidów.

W dwa dni później inny znamienity rycerz usiłował pokonać bestię, lecz podzielił los poprzednika.

Ze wszystkich stron świata do grodu przybywali dzielni rycerze, chcący zmierzyć się z potworem i wszyscy oni kończyli swe wyprawy w świecie dinozauroidów. Do grodu przyjeżdżali także zwykli ciekawscy, którzy chcieli zobaczyć bestię, by potem móc opowiadać znajomym co widzieli. W grodzie przybywało sklepów, kramów i gospód. Rzemieślnicy robili figurki Smoka i sprzedawali przybyszom. Pędzono „smoczą wódkę” i warzono „smocze piwo”. Pieczono „smocze ciastka” i szyto buty ze „smoczej skóry”. Wyroby te kupcy wywozili do dalekich krajów. Dzięki bazie pod Wawelem gród Kraka zaczął przeżywać okres niespotykanego dotąd rozkwitu. Pod Wawel zdążali ludzie z okolicznych wsi w poszukiwaniu lepszego życia. Gród gwałtownie się rozrastał stając się lokalną metropolią.

Częste walki z rycerzami były obfitym źródłem mężczyzn dla dinozauroidzkich naukowców, lecz ciągle brakowało kobiet. Centrum naciskało na bazę pod Wawelem, by przysyłała więcej samic. Cert zdecydował, że Smok musi z większą częstotliwością żądać kobiet. Nowe polecenia Smoka były spełniane przez mieszkańców grodu. Źródłem dziewcząt były rajdy grup przestępczych, zwanych „łowcami dziewic”, po peryferiach księstwa Kraka lub po sąsiednich księstwach. Grupy te z jednego rajdu przywoziły od kilkunastu do kilkudziesięciu kobiet. Również biedni wieśniacy chętnie sprzedawali swoje córki. Słudzy książęcy nie pytali o pochodzenie „towaru” tylko płacili ustaloną taryfę. Z czasem ceny zaczęły spadać, gdyż coraz więcej ludzi trudniło się tym procederem. Dochodziło do tak zwanych „dziewiczych wojen” pomiędzy różnymi bandami łowców. Chodziło o podział strefy wpływów i wyeliminowanie słabszych konkurentów z rynku. Coraz więcej młodych kobiet docierało do bazy pod Wawelem. Jedne były bardziej wystraszone, inne mniej. Histeryczki od razu przerzucano do Centrum. Spokojniejsze, jeśli chciały trochę jeszcze pobyc w tym świecie, mogły zostać nawet kilka dni w bazie i pomagać naukowcom w poznawaniu okolicy. Latały razem z nimi na Smoku w swoje rodzinne strony i opowiadały o życiu i obyczajach.

*

Cert często odwiedzał w ciele astralnym swojego przyjaciela Huberta. Jego syn Kai, marząc o sławie wojennej, poszedł na służbę do króla. Wsławił się w wielu bojach. Dzięki protekcji króla odzyskał księstwo, którym władał jego dziadek Roland, a które

starsi bracia Huberta doprowadzili do ruiny. Za wybitne zasługi dla państwa król nadał mu nowe ziemie. Hubert dalej wiódł spokojne życie w mieście, które razem z Certem uratowali od zarazy. Nie interesowała go ani władza, ani przywileje. Jego sława wyśmienitego lekarza i konstruktora sięgała bardzo daleko. Nawet wysłannicy cesarza bizantyjskiego przyjeżdżali do niego po porady. Szkolił swoich następców, co go bardzo cieszyło i dawało pełną satysfakcję. Córka Huberta poszła w ślady ojca i była jego pilną uczennicą. Dzięki Hubertowi miasto, w którym się osiedlił, stawało się powoli centrum nauk.

*

Kai został wezwany na rozmowę do króla. Gdy tylko przekroczył próg komnaty narad, król zagadnął go:

– Chyba wiesz, że od pewnego czasu nasi rycerze wyjeżdżają na wschód walczyć z jakimś potworem. Chcą się okryć sławą rycerską, ale jak dotąd żaden nie powrócił. Nikt z ich orszaków również. Nie wiem co się dzieje. Czy ta bestia zabija wszystkich, czy przechodzą na służbę do innych, a może tamtejsze dzikie ludy ich mordują? Jesteś moim najlepszym rycerzem. Chciałbym cię wysłać do kraju Wiślan w celu wyjaśnienia tej sprawy. Jak tak dalej pójdzie, to nie będę miał rycerzy.

– Twoje, królu, życzenie jest dla mnie rozkazem – odpowiedział Kai. – Jutro wyruszam.

– Cieszę się, że się zgodziłeś – powiedział król. – Ty mnie na pewno nie zawiedziesz. Mam jeszcze jedną prośbę, a raczej rozkaz. Jeśli to będzie faktycznie jakiś potwór, to nie walcz z nim. Mnie potrzebni są żywi rycerze, a nie martwi bohaterowie.

Następnego dnia orszak Kaia wyruszył w drogę na wschód.

*

Pewnego dnia do groty trafiła bardzo rezolutna dziewczyna o imieniu Jowita. Nie bała się dziwnych dla niej istot. Była inteligentna i rozmowna. Bardzo przypadła całej ekipie do gustu, a że w Centrum była już spora ilość kobiet, postanowiono zatrzymać ją dłużej w bazie. Dziewczyna była chętna do współpracy. Z radością pokazywała badaczom swoje rodzinne strony i udzielała cennych informacji. Bardzo podobały jej się prze-

jażdżki na Smoku, a szczególnie loty. Poznawała nowe miejsca, przedtem nie oddalała się od swojej rodzinnej wsi.

W przerwach w pracy badawczej robot staczał pojedynki z rycerzami, które skrętnie rejestrowano w pamięci komputera. Rycerze stosowali coraz to inne metody walki. Zmieniali taktykę i broń. Ale finał był zawsze ten sam. Nieprzytomnych rycerzy i ich świtę przetrzucano do świata dinozauroidów. Walki ściągały do grodu Kraka wielkie rzesze kibiców z różnych stron świata. Robiono zakłady. Z początku zakładano się kto wygra, lecz później tylko obstawiano, po jakim czasie Smok pokona rycerza. Na hazardzie gród zarabiał spore pieniądze.

Pewnego wieczoru, gdy Cert, Zyg, Moa i Jowita wracali na Smoku do bazy, ujrzeli kolejny orszak rycerski.

- Znowu będzie walka – ucieszyła się Jowita.
 - Widzę, że lubisz, kiedy twoi ziomkowie dostają baty – zauważył Cert.
 - Wcale nie – obruszyła się Jowita. – Tylko kilku było moimi rodakami. Reszta przybyła z zewnątrz. Inne ludy napadają na mój kraj, więc uważam, że im więcej rycerzy Smok unieszkodliwi, tym lepiej dla mojej ziemi. – Pochodzę z plemienia Polan
 - Poniekąd słuszne rozumowanie – wtrącił się Zyg. – Ale chcę ci przypomnieć, że znalazłaś się tu dzięki tym swoim rodakom, których tak bronisz.
 - Pochodzę z plemienia Polan. Ci, którzy mnie porwali i sprzedali Krakowi, nie mówili, tylko szczekali jak psy. Często napadają na nasze ziemie. Najwięcej rycerzy przybywa z zachodu – kontynuowała Jowita. – Szukają tu chwały rycerskiej. Porozumiewają się między sobą jakimś dziwnym językiem. Ich mowa przypomina mi szczekanie psów.
 - To już wiemy skąd pochodzi słowiańska nazwa zachodnich sąsiadów – wyciągnął logiczny wniosek Zyg. – Oni po prostu nie mówią.
 - Na zachodzie podobna opinia panuje o Słowianach – wtrącił się Cert. – Uważa się, że oni nie mówią, tylko szeleszczą jak suche liście.
- Przerwali rozmowę, gdyż Smok obniżył lot i szykował się do lądowania. Osiadł miękko na trawie i wszedł do jaskini.

*

Następnego dnia rano czujniki zaalarmowały załogę o zbliżaniu się człowieka do jaskini. Cała ekipa stanęła naprzeciw ściany, na której pojawił się holograficzny obraz okolicy przekazany z kamer umieszczonych przy wejściu do pieczary. Na ekranie ukazał się mężczyzna, idący w kierunku wejścia. Był bez broni i bez zbroi. Tylko część klatki piersiowej zasłaniał mu ryngraf.

– Przystojny chłopak – stwierdziła autorytatywnie Jowita. – Czego on chce? Chyba nie walczyć.

– Może chce porozmawiać – powiedziała Moa. – Tylko z kim? Nie sądzę żeby myślał, że Smok zna jego język.

– Nasz Smok dość często mówił w języku Jowity – wtrącił się Zyg. – Może ten rycerz zna jej mowę, albo myśli, że nasz Smok jest poliglotą.

Cert, który do tej pory w milczeniu obserwował obraz, odezwał się:

– Ja go znam. To Kai syn Huberta. Znany rycerz. Z nim nie ma żartów. Zna różne triki. Może tu nam sporo namieszać, jeśli tylko zechce walczyć.

– Jest całkiem niezły – wtrąciła się Jowita patrząc z zachwytem na młodzieńca. – Gdy go schwytaacie po walce, chyba go od razu nie wyślecie do Centrum?

– Spokojnie – powiedział Cert. – Myślę, że nie będzie żadnej walki, a on tu sam do nas przyjdzie łagodny jak baranek. Podejrzewa, że ja tu jestem i chce złożyć mi wizytę.

Przecucie Certa nie zawiodło. Kai zatrzymał się przed wejściem do pieczary i krzyknął:

– Ciecie jesteście tam? To ja Kai. Czy mnie słyszysz?

– Słyszę, słyszę – powiedział Cert i wyszedł na spotkanie. – Wejdz głębiej.

Kai wszedł w korytarz, w którym w tym momencie zapaliło się światło. Przeszli do głównej sali bazy, gdzie Cert przedstawił gościowi pozostałą część ekipy. Kaia zdziwiła obecność Jowity.

– To jedna z ofiar, którą złożono Smokowi – pospieszyła z wyjaśnieniem Moa.

– Czy jadłeś już śniadanie? – spytał Cert.

– Jeszcze nie, bo nie byłem pewny, czy to ty tu grasujesz – powiedział Kai. – Mogło się zdarzyć, że faktycznie tu żyje jakiś potwór i mógłby mnie zaatakować. Rany w brzuch po posiłku są bardziej niebezpieczne. Poza tym z pustym brzuchem szybciej uciekam.

– No to zapraszamy na śniadanie – zaproponował Zyg.

Usiedli przy stole, a automaty nakryły do posiłku.

– Zdumiewające – dziwił się Kai – To, czego przed laty mnie uczyłeś było szokujące, lecz na to, co tu widzę, brak mi słów.

– Specjalnie się nie dziwię, – dowcipnie zaczął Zyg. – W twoim języku po prostu nie ma słów na określenie tego.

– Nie o to mi chodziło – nie rozumiał żartu Kai. – Chcę tylko powiedzieć, że to jest tak dziwne, że aż niemożliwe by istniało.

– My doskonale zrozumieliśmy, o co ci chodziło – wyjaśnił Cert. – Zyg ma specyficzne poczucie humoru. Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

– Niesamowite historie krążą o tym grodzie. Wielu rycerzy, których znałem wyruszyło tutaj by zabić smoka i okryć się chwałą – mówił Kai. – Żaden z nich nie powrócił. Nikt z ich służby również. Kupcy opowiadali mrożące krew w żyłach historie o przebiegach walk z bestią. Król zaproponował mi misję wyjaśnienia tej sprawy, a ja chętnie się na to zgodziłem, bo pomyślałem sobie, że to ty lub ktoś z twojego świata tu działa, a relacje kupców, mówiąc łagodnie, są trochę przesadzone. Pomyślałem, że odwiedzę cię, bo stęskniłem się za tobą. Tylko w ostateczności dopuszczałem myśl, że potwór, o którym się tyle mówi, rzeczywiście istnieje.

– Jak chcesz zobaczyć tego potwora, to zaglądnij do sąsiedniego pomieszczenia – powiedział Cert.

Kai wstał od stołu i rzucił okiem na maszynę.

– Lecz co się stało z rycerzami, z którymi walczył? – spytał Kai. – Czyba ich nie pozabił?

– Oczywiście, że nie – pospieszył z wyjaśnieniami Zyg i włączył ścienny monitor, na którym pojawił się holograficzny obraz życia ludzi w świecie dinozauroidów. – Rycerze ci żyją tam razem z kobietami składanymi nam w ofierze w specjalnych ośrodkach badawczych. Aby nie doznali szoku, stworzyliśmy im tam warunki podobne do życia tutaj. Nie muszą pracować, bo ich potrzeby są zaspakajane przez nasz personel. Są oczywiście cały czas pod obserwacją i przeprowadzamy na nich pewne doświadczenia, które nie są dla nich szkodliwe i robimy to bardzo dyskretnie.

– Interesujące – rzekł Kai. – Wyglądają na zadowolonych.

- Badając ich myśli – kontynuował Zyg – stwierdzono, że w naszych ośrodkach są szczęśliwsi, niż byli w tym świecie, nawet ci, którzy tutaj mieli wiele przywilejów.
 - Może chciałbyś się do nas przyłączyć – zaproponowała Moa.
 - Czekalem na to, by usłyszeć, do czego zmierzacie – odezwał się Kai. – Chcecie mnie zwerbować, a to co mi pokazaliście, to jakaś propaganda.
 - Żadna propaganda – wtrącił się Cert. – Pokazujemy ci tylko fakty.
 - Jasna sprawa – upierał się przy swoim Kai. – Wypraliście im mózgi i oni teraz faktycznie myślą, że są szczęśliwi. O tych metodach mówił mi ojciec.
 - Skorygowaliśmy trochę ich świadomość, ale tylko tym, którzy bardzo tęsknili do bliskich. A jak nazwiesz pieśni trubadurów i komplementy, którymi cię karmią codziennie na dworze. Przecież stale słyszysz, że jesteś niezastąpiony. Czy to nie jest pranie mózgu. Nie chcę cię rozczarowywać, ale twoje państwo nie upadnie, jeśli ciebie zabraknie. Znajdą sobie innego frajera.
 - Ale ja muszę zdać królowi relację z wyprawy – powiedział Kai.
 - Może ją zdać kto inny – wtrąciła się Moa. – A gdyby zabili cię tubylcy, to co by się stało z twoim biednym królem? Umarłby z niewiedzy, woda w rzekach zaczęłaby się gotować czy co?
 - Jeszcze nie wiem co o tym sądzić – powiedział wymijająco Kai. – Muszę się zastanowić.
 - Spokojnie, nie spiesz się - powiedział na to Cert. - Nikt cię tu do niczego nie będzie zmuszał. Przemyśl to jednak. Jeśli chcesz odejść, proszę bardzo. Szkoda tylko, że twój talent i inteligencja będą wykorzystywane głównie na wojnie. Ty w głębi duszy jesteś badaczem.
 - Ale w bardzo wielkiej głębi. Zasunąłeś mi taki tekst – powiedział Kai, – że chyba się rozpłaczę. Mówisz jak mój ojciec.
 - Jesteśmy z twoim ojcem przyjaciółmi – powiedział z przekornym uśmiechem Cert. – Czego się po mnie spodziewałeś?
- Jowita nie odzywała się, rozmowa przebiegała w niezrozumiałym dla niej języku. Pozostali, dzięki Certowi, dość dobrze go znali. Z początku siedziała spokojnie i tylko się uśmiechała, lecz później zaczęła się wiercić, zwracając na siebie uwagę.

– Widzę, że piękna pani się nudzi – zwrócił się do niej Kai.
– Ona nic nie rozumie z naszej rozmowy – wyjaśnił Cert. – Zaraz przetłumaczę jej nasze słowa. Myślę, że chce się włączyć do rozmowy.

– O co chcesz zapytać naszego rycerza? – powiedział do Jowity.

– Mam wiele pytań – odparła uśmiechając się. – Skąd pochodzi, co robi, czy ma żonę? Cert wszystko cierpliwie tłumaczył. Jowita wyraźnie ucieszyła się, że Kai jest kawalerem, bo to ją głównie interesowało. Rozmawiali jeszcze długi czas.

Na zewnątrz grotę służba Kaia z niecierpliwością i niepokojem czekała na swojego pana. W pewnym momencie wierny giermek wziął tarczę i miecz Kaia i ostrożnie zaczął zbliżać się do jaskini.

– Oho, ktoś się zbliża – zauważyła Moa, patrząc na holograficzny obraz okolicy.

W sekundę potem odezwał się alarm.

– To mój wierny giermek – wyjaśnił Kai. – Chyba chce sprawdzić, co się ze mną dzieje. On nawet w najcięższych chwilach mnie nie opuszczał. Teraz wyraźnie mu rozkazałem, aby tu nie laźł. Widocznie uznał, że potrzebna mi pomoc.

– Sprawdźmy jego odwagę – zaproponował Zyg. – Umieścimy Smoka w korytarzu. Założę się, że twój giermek czmychnie od razu.

– Nie jestem tego taki pewny – odparł trochę urażony Kai. – Nie odejdzie stąd zanim mnie nie znajdzie. Prędzej zginie, niż ucieknie.

– No to co, zakładasz się? – ponowił propozycję Zyg.

– Tak zakładam się – potwierdził Kai. – Mój giermek przyjdzie po mnie.

Zakład został oficjalnie przyjęty i Smok przeszedł do korytarza.

Giermek ostrożnie podszedł do wejścia i zatrzymał się.

– No i co? – wyzywająco spytał Zyg.

– Jeszcze nie ucieka. Na razie bada teren – powiedział Kai.

– Myślę, że zaraz wróci do swoich – stwierdził Zyg.

Lecz wbrew jego słowom młody człowiek zaczął wchodzić do jaskini.

– A jednak mnie szuka – powiedział uradowany Kai. – Wiedziałem, że nigdy mnie nie opuści.

– Zobaczymy, jak zareaguje na Smoka – nie dawał za wygraną Zyg.

Młodzieniec ostrożnie posuwał się w ciemnej jaskini. Powoli zbliżał się do miejsca, gdzie leżał Smok. Gdy był już blisko, maszyna gwałtownie poruszyła głową i stanęła na nogi. Giermek zamarł w bezruchu, a następnie przysunął się do ściany i wtulając się w nią, czekał.

– Widzicie – triumfował Kai. – Zachował zimną krew. Bohater z niego. Czeka na reakcję Smoka.

– Dobrze, dajmy mu okazję do dalszego działania – powiedział Cert. – Wyłączmy robota.

Smok po chwili położył się na ziemi. Młodzieniec ruszył do przodu. Omijając potwora mierzył go uważnie wzrokiem i szedł przed siebie, dotarł do końca korytarza. Już miał wracać, gdy nagle rozstąpiła się przed nim ściana i poraziło go oślepiające światło. Zasłonił oczy i padł na ziemię obawiając się ciosu. Gdy ochłonął po szoku i wzrok przyzwyczaił się do ostrego światła, ujrzał swego pana, siedzącego przy stole w towarzystwie dziwnych istot.

– Panie, ty żyjesz! – krzyknął z radością.

– Jak widzisz – odpowiedział z uśmiechem Kai. – Przyłącz się do nas.

– Panie, kim są te demony? – spytał giermek.

– Jowita jest kobietą, jak zdążyłeś pewnie zauważyć – żartobliwie powiedział Kai. – Cert jest moim przyjacielem z dzieciństwa, a to jego towarzysze.

Kai przedstawił swojego sługę wszystkim obecnym. Giermek przysiadł się do stołu i biesiadując kontynuowano rozmowę. W pewnym momencie Kai podjął decyzję:

– Zostaję z wami. Dość mam wojaczki. Przez wszystkie lata służby u króla tylko brałem udział w wojnach, kaleczyłem i mordowałem. Koniec z tym. Chcę z wami badać tajemnice świata.

– A co ze mną teraz będzie? – zapytał nieśmiało giermek. – Może też się do was przyłączę? Po stracie pana nie mam teraz celu w życiu.

– Jeśli tylko to cię martwi – powiedział Kai – to masz ostatnią misję. Powiedz ludziom w grodzie i naszemu królowi, że smok strzeże wrót do cudownego świata, gdzie nie ma chorób, ani śmierci. Ludzie żyją w szczęśliwości i dostatku. Mnie się udało oszukać smoka i przeszedłem do tego świata.

– Myślisz panie, że dadzą się na to nabrać? – spytał giermek.

– Sądzę, że tak – potwierdził Kai, – a tobie przekazuję ziemie, które dostałem od króla po zwycięstwie nad Saracenami. Wiernie mi zawsze służyłeś i zapracowałeś na to. Ziemie, które odziedziczyłem po dziadku Rolandzie przekazuję mojej siostrze, bo ojciec żyje w obłokach i szybko by je rozdał ludziom i to niekoniecznie tym, którzy na to zasługują, a siostrzyczka ma twardą rękę i byle kto jej nie podskoczy. Zaraz sporządzimy odpowiednie pisma.

– Nie mogę się na to zgodzić – zaproponował giermek. – Chcę panie iść z tobą.

– To jest mój ostatni rozkaz – bezceremonialnie powiedział Kai. – Doceniam twoje oddanie i dla tego polecam ci zająć się moim majątkiem.

Kai sporządził odpowiednie pisma i przypieczętował swoim pierścieniem. Na wszelki wypadek dokumenty przygotował w kilku kopiach, gdyż wiedział, że z takimi papierami różnie bywa i giną one w „dziwnych” okolicznościach. Następnie pożegnał się ze swym najwierniejszym sługą.

Giermek zszokowany tym, co widział i słyszał wychodził z groty. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę. Gdy wyszedł na światło dzienne przez chwilę myślał, że to były tylko przywidzenia spowodowane strachem, ale szelest pergaminu schowanego za pazuchą rozwiął jego wątpliwości. Gdy oddalił się od pieczary na dość znaczną odległość, otoczyli go ludzie ze świty Kaia.

– Co z naszym panem? – pytali. – Czy go znalazłeś?

– Ma się bardzo dobrze – odparł. – Ja teraz jestem waszym panem. Mam dokumenty podpisane przez księcia Kaia, przekazujące mi władzę nad wami.

– A co z księciem?

– Jest zdrowy i szczęśliwy – odparł były giermek. – Gdy z nim rozmawiałem, przenosił się do świata wiecznej szczęśliwości, gdzie nie ma chorób, śmierci i starości. Gdzie wszystkiego jest pod dostatkiem. I nie jest to jakieś tam wymaginowane niebo, gdzie się idzie po śmierci, ale realny świat, gdzie się idzie tak jak do gospody. Należy tylko oszukać lub zabić smoka, który strzeże dostępu do tej krainy i dlatego tylko nielicznym udaje się tam dostać. Nasz pan Kai to osiągnął. Oszukał smoka.

Wiść o tym rozniosła się lotem błyskawicy po okolicy. Giermek, który teraz był panem, pożegnał się z mieszkańcami grodu i wraz z orszakiem, pełen optymizmu i wiary w przyszłość, wyruszył do swego kraju.

Kai i Jowita po pewnym czasie zostali wysłani na własne życzenie do świata dinozaurów, by tam zapoznać się z odmienną cywilizacją, żyć i pobierać nauki.

*

Wiadomość o krainie szczęścia dotarła do wszystkich zakątków świata. Z całej Europy i z Azji przybywali rycerze, by zabić smoka i przedostać się do tej krainy. Zyski grodu rosły. By podnieść stawkę książę Krak nieopatrznie zaproponował, że ten, kto pokona smoka, dostanie pół królestwa i jego dorastającą córkę za żonę. Decyzja ta, co prawda zwiększyła liczbę chętnych do walki ze smokiem, ale już niedługo miała się straszliwie zemścić na władcy. Od dawna bowiem sąsiedzi z południa kombinowali jak podbić państwo Wiślan. Co jakiś czas napadali na nie, ale zawsze zbierali baty. Teraz właśnie też leczyli rany po niedawnej wojnie z północnym sąsiadem, lecz już zobaczyli szansę na krwawy odwet.

*

Młody Ziemko, który terminował u starego szewca Wita nie bardzo przejmował się robotą. W zasadzie w ogóle się nią nie przejmował. Szewc trzymał go, bo był już stary i samotny, a młodzież nie bardzo się garnęła do tego zawodu. Większość młodych szła do bardziej popłatnych zawodów jak handel, prowadzenie gospod i zajazdów lub organizowanie i oprowadzanie wycieczek z innych stron świata. Ale do tego potrzebna była znajomość języków obcych. Ci, którym nie chciało się uczyć, a byli odważni, żądni szybkich pieniędzy i nie mieli oporów moralnych przystawali do różnych grup przestępczych takich jak: „łowcy dziewic”, złodzieje koni i zaprzęgów, handlarze ziołami odurzającymi. Mniej rozbawieni, a zdyscyplinowani i lubiący rygor, wybierali służbę w książęcej drużynie. Ziemkowi nie chciało się uczyć, nie podobała mu się służba w drużynie wojów, a również nie miał odwagi przyłączyć się do jakiejś bandy przestępczej, bo oporów moralnych to raczej nie miał. Terminował więc u szewca. Lubił odwiedzać gospodę, gdzie opowiadał przy piwie lub winie, jaki jest doskonały i jak wspaniale sobie radzi w życiu. Lubił też imponować kobietom. Miał „luźny styl bycia”, modnie się ubierał i zawsze miał jakieś pieniądze przy sobie, więc podobał się dziewczynom. Gdy szedł na randki, bez

wiedzy szefa pożyczal buty, które bogaci mieszczenie oddawali do naprawy. Często oszukiwał i okradał swojego pryncypała. Ludzie, widząc jaki Ziemko jest zaradny, często z podziwem mówili:

– O skubany!!!

I od tego powstał jego przydomek „Skuba”.

Stary Wit tolerował to, bo myślał, że chłopak zmadrzeje, lecz w końcu po poważniejszej kradzieży nie wytrzymał i wyrzucił Ziemka. Zachował się na tyle dobrze wobec chłopaka, że nie doniósł o tym do sądu grodzkiego, a miał ku temu słuszne podstawy. Lecz Ziemko odczuł to jako straszliwą potwarz i niesprawiedliwość. Jak taki stary ramol ma czelność wyrzucić go i jeszcze pouczać. Zgroza! Nie bardzo wiedząc, co z sobą począć, poszedł do karczmy. Tam przy kuflu piwa i wśród jemu podobnej kompanii chciał zapomnieć o troskach. Po wejściu do lokalu i zamówieniu pięciu dzbanów piwa „Smoczego” Ziemko zaczął żalić się na swego byłego pryncypała. Już prawie zrobił z niego króla złych demonów, gdy rozmowa zaczęła przechodzić na ogólniejsze tematy gospodarcze i polityczne. Zaczęto narzekać na nieudolność Kraka i jego administracji, na słabość drużyny wojów.

– Ja bym już dawno sam zabił tego smoka – chwalił się jeden z rozmówców. – Mam doskonały plan jak to zrobić. Dziwię się, że Krak i jego rada na to nie wpadli.

Nikt oczywiście nie zapytał, dlaczego ten bohater nie wprowadził jeszcze swych pomysłów w życie, ale powszechnie zgodzono się, że Krak i jego rada to banda matolów. Narzekano także na nierówności ekonomiczne.

– Patrzcie, taki Sławko w zasadzie nic nie robi – głośno powiedział ktoś z grupy gawędziarzy. – Raz czy dwa razy w miesiącu przejedzie się do Germanów, sprzeda towar kramarzom i jest ustawiony. Proszę bardzo, ostatnio kupił sobie dwie wsie dwa dni drogi konno od naszego grodu. A my tyramy od świtu do nocy i co? Nic z tego nie mamy. Powinniśmy zlikwidować te dysproporcje.

Wszyscy się zgodzili z tym, że powinno się odebrać Sławkowi majątek, bo jemu się nie należy, tylko im, jako bardziej godnym. Nikt jednak nie zauważył, że Sławko przez wiele lat ciężko pracował. Nie bywał w karczmie, bo nie miał czasu i uważał, że to bezmyślna strata czasu i pieniędzy. Oszczędzał i zaoszczędzone pieniądze inwestował. Uczył się również języka Germanów zamiast biesiadować z kompanami. Takie drobiazgi jednak

umykały uwadze zgromadzonym w karczmie. Podawano wiele przykładów, niesłusznego zdaniem biesiadników, dobrobytu co poniektórych. W towarzystwie brylował oczywiście Ziemko. Mówił co by zrobił, gdyby był na miejscu Kraka, czyli powyrzucałby tych wszystkich darmożjadów z Rady Książęcej, odebrałby majątki bogatym, a dał biednym, ze szczególnym uwzględnieniem zgromadzonych w karczmie, uwolniłby chłopów od pańszczyzny i rozdałby im ziemię należącą do możnowładców, zniósłby podatki. Wystąpienie Ziemka wprawiło w euforię jego kompanów. Tym rozmowom przysłuchiwali się szpiedzy księcia Morawian, którzy badali nastroje społeczne panujące w grodzie Kraka. Spodobał im się Ziemko. Zaczęli mu stawiać wino i piwo i zachęcać do jeszcze bardziej ognistych wystąpień. W środku nocy nastroje rewolucyjne osiągnęły kulminację i bywalcy karczmy wyszli z gospody. Pod przywództwem Ziemka wyruszyli na ulicę z okrzykami:

- Precz z Krakiem łapserdakiem!
- Mamy haka na Kraka!
- Ziemko na księcia!
- Zabrać bogatym i dać biednym!

Mieszkańcy grodu zapalali łuczywa w domach i wyglądali przez okna, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Drużyna księcia stanęła na wysokości zadania. Płazując mieczami grzbiety manifestantów, przegoniła ich do domów. W domach na większość z nich czekały żony z warzachwiami, wałkami i innym sprzętem gospodarstwa domowego. Po powrocie dostali taki wycisk, przy którym razy książęcych wojów były przyjemnym masażem. Była to czarna noc dla rewolucjonistów, zakończona totalną klęską.

Ziemko powoli szedł boczną uliczką, nie bardzo wiedząc co z sobą począć. Do szewca Wita nie mógł wrócić.

- Może by tak pójść do rodziców – pomyślał. – Powinni mnie z powrotem przygarnąć.
- Podbudowany tą myślą ruszył w kierunku rodzinnego domu. Nagle drogę zastąpili mu ludzie, którzy w karczmie stawiali mu piwo i wino.
- Czyżbyś nie miał dokąd pójść? – zapytał jeden z nich.
 - Idę do moich rodziców – odpowiedział Ziemko lekko przestraszony nagłym pojawieniem się obcych.

- Mamy dla ciebie lepszą ofertę – kontynuował nieznajomy. – Chcemy ci zaproponować pracę. Jeśli nie masz gdzie nocować, opłacimy ci gospodę.
- ??? – zdumiał się Ziemko i alkoholowe zaćmienie umysłu nagle zniknęło.
- Jesteś bardzo dobrym kandydatem do misji, jaka jest do spełnienia w tym księstwie – ciągnął dalej nieznajomy. – Obserwowaliśmy cię w gospodzie. Jesteś rewelacyjny. Jesteś najlepszym kandydatem, na którego trafiliśmy. Proponujemy ci stałe, wysokie zarobki.
- Zdumiewające – z udawanym spokojem powiedział Ziemko. – Pierwszy raz pracodawca mówi mi, że nadaję się do pracy i na dodatek, że jestem najlepszym kandydatem. Co będę robił?
- W zasadzie to samo co przed chwilą w gospodzie. Będziesz pił wino i poruszał tematy takie, jak w karczmie. To dla ciebie łatwizna, a jeszcze będziesz dostawał za to pieniądze.
- Ciekawa propozycja – Ziemko już cieszył się w duchu na myśl o takiej pracy.
- Zgadzam się – oznajmił po chwili.
- Wiedziałem, że nie odmówisz – z zadowoleniem powiedział obcy. – Chodźmy do gospody.

Następnego dnia Ziemko powoli zaczął być wtajemniczany w arkana pracy. Wyjechał z nowymi znajomymi do Wiślicy, gdzie też doprowadził do manifestacji. Był jeszcze w kilku innych grodach, w których wicherzył. Spodobała mu się ta praca. Była łatwa, lekka i przyjemna. Sponsorzy nie szczędzili pieniędzy. Zaczął się przyzwyczajać do życia w luksusie. Po okresie próbnym, gdy jego opiekunowie uznali, że jest wystarczająco dobrym kandydatem do spełnienia planowanej misji, został zabrany do państwa Wielkomorawskiego. Tam uczone go przemawiać do tłumu, odpowiedniej gestykulacji i mimiki. Indoktrynowano go również, wpajając mu ślepe posłuszeństwo wobec władz Księstwa Wielkomorawskiego. Było to robione tak dyskretnie, że Ziemko nie zauważył nawet, kiedy stał się wiernym sługą Morawian, gotowym za nich oddać życie. Przygotowywano go też do najważniejszej rzeczy – zabicia Smoka Wawelskiego. Naczelne dowództwo Morawian kombinowało, że po zabiciu smoka, Krak będzie zmuszony podzielić swoje księstwo na dwie połowy z których jedna, wraz z córką Kraka, przypadnie ich

człowiekowi i z łatwością będzie ją można włączyć do ich państwa. W drugiej połowie wznieci się rewolucję i Wiślanie wyczerpani wojną domową łatwo ulegną Morawianom.

W celu unicestwienia smoka sprowadzono aż z Bizancjum ekspertów od „ognia greckiego”. Najtęższe umysły kraju myślały, jakim fortelem zniszczyć bestię. W tym czasie Ziemko wraz z wybraną grupą wojów obojga płci, był intensywnie szkolony w sztukach walki przez instruktorów sprowadzonych z różnych stron świata. Wśród nich byli znakomici mistrzowie Kung – fu: Ki Hui i Czyi Kau. Ziemkowi bardzo spodobały się chińskie sztuki walki. Intensywnie ćwicząc pod okiem mistrzów, czynił olbrzymie postępy. Sam był zdziwiony tym, że jest zdolny do tak dużego wysiłku i co więcej, że to mu się podoba. Po miesiącach wytężonej pracy znaleziono sposób zabicia smoka. Postanowiono wysłać Ziemka z powrotem do ojczyzny wraz z grupą wyselekcjonowanych dziesięciu wojów obojga płci. Obstawa Ziemka przebrana była za kupców, chłopów i pielgrzymów.

*

Po rozpoznaniu przez szpiegów, którą część państwa Krak jest skłonny oddać pogromcy smoka, w części, która miała pozostać w rękach Kraka, Ziemko rozpoczął agitację. Nawoływał do obalenia Kraka i jego przedstawicieli w grodach, odebrania majątków bogatym i rozdania między biednych, zrównania praw kobiet i mężczyzn, powszechnej oświaty i opieki zdrowotnej, zrównania praw dorosłych i dzieci. W grodach oddalonych od metropolii krzyczał na rynkach lub w karczmach, że smok nie istnieje, został wymyślony przez doradców Kraka, by mieć pretekst do zwiększania podatków. Każdemu mówił to, co ten ktoś chciał usłyszeć. Niektóre z jego postulatów były może nawet i słuszne, ale nie do zrealizowania w krótkim czasie w tej rzeczywistości. Postulaty Ziemka mąciły za to w głowach obywateli i prowadziły do kłótni nawet w rodzinach i gronie najbliższych przyjaciół, łamały dotychczasowy porządek i prowadziły do masowych wystąpień chłopów i ubogich grodzian. Tak zwani intelektualiści z warstwy zamożnej, znudzeni dotychczasowym spokojnym i dostatnim życiem, podchwycili idee Ziemka i identyfikowali się z ubogimi, walczącymi o swoje prawa. Wspierali ich pieniędzmi. Bardowie tworzyli pieśni, które podrywały chłopów do walki.

Wieści o niebezpiecznym agitatorze szybko dotarły do Kraka. Zaniepokoiły go i kazał Ziemka aresztować.

Na jednym z wieców w Koziej Brodzie tłum, słuchający Ziemka, został otoczony przez wojsko.

– Rozejść się! – krzyknął dowódca wojów.

– Stójcie ludzie! – zawołał Ziemko. – Będziecie słuchać tego pacholka tyrana? Precz z nim!

– Precz! – powtórzył zgromadzony tłum.

Na znak dowódcy woje zaczęli tłuc tłuszczę drewnianymi pałkami. Ludzie uciekali, nie myśląc postradać zdrowia, a nawet życie za mgliste cele. Na placu pozostali tylko najwięksi ideowcy, Ziemko i jego obstawa. Ci pierwsi dość szybko padli pod razami wojów. Będą mieli potem, co opowiadać znajomym, jak to bohatercko przeciwstawiali się reżimowi.

Trzech wojów podbiegło do Ziemka, by go schwytać, lecz w tej chwili Ziemko kopnął w głowę jednego z nich pozbawiając go przytomności. Drugi dobył miecz, lecz nim zdążył wziąć zamach dostał potężny cios pięścią w podbródek, który pozbawił go zmysłów. Kolejne kopnięcie znokautowało trzeciego z wojów. W międzyczasie inni masakrowali pozostałą część drużyny. Jeden z uciekających żołnierzy rzucił włócznią w Ziemka, lecz nim ta zdążyła zbliżyć się do celu, kobieta ze świty, Ziemka wysoko skacząc, uderzyła mieczem we włócznię, złamała ją i zmieniła kierunek lotu. Kawalki włóczni przeleciały daleko od Ziemka. Na ulice weszli łucznicy i zaczęli strzelać do wicherzycieli. Zaatakowani pochwycili pałki i tarcze pozostawione przez wojów i osłaniali się przed gradem strzał. Zdumieni łucznicy widzieli jak ani jedna strzała nie dosięgnęła celu, skutecznie odbijana pałkami i tarczami. Ostrzał trwał nadal. Grupa Ziemka musiała wycofać się z grodu.

Po tym wydarzeniu Ziemko postanowił ruszyć prosto do stolicy, by rozprawić się ze smokiem. Dalsza akcja agitacyjna na prowincji nie miała już sensu. We wszystkich grodach prawdopodobnie polowano na niego.

Po przybyciu w pobliże grodu, Kraka ekipa Ziemka pojedynczo lub parami zaczęła wchodzić do grodu. Ziemko zatrzymał się w jednej z gospód, gdzie stali bywalcy od razu go rozpoznali.

- Cześć Skuba skubańcu, kopę lat żeśmy się nie widzieli – zawołał jeden z nich.
- Witaj Skuba, widzę, że ci się powodzi – zawtórował drugi patrząc na strój Ziemka.
- Witajcie kochani – powiedział Ziemko z udawaną radością. – Powodzi mi się i to całkiem nieźle. Zapraszam was wszystkich dziś wieczorem tutaj na biesiadę.
- Hurra, niech żyje Skuba – zakrzyknęli wszyscy.

Po tym Ziemko poszedł do wynajętej izby i rozpakował swoje bagaże.

Wieczorem spotkał się ze starą kompanią na biesiadzie. Opowiadał fikcyjną historię, jak dorobił się fortuny, którą oczywiście jest skłonny oddać biednym, wysłuchał co jego koledzy mają do powiedzenia o latach jego nieobecności, poruszył parę tematów politycznych i społecznych, a pod koniec powiedział, że wrócił, by zabić smoka, bo ma na to rewelacyjny sposób. Już najwyższy czas uwolnić księstwo od tego monstrum. Wśród kompanii zapanowała euforia. Oczywiście świta Ziemka, która niby przypadkowo znalazła się na uczcie, cały czas czuwała, by szefowi nie stała się żadna krzywda. Na szczęście obeszło się bez incydentów. Następnego dnia gród obiegła wiadomość, że Skuba chce zabić smoka. Błady strach padł na wszystkich, którzy wiedzieli kim w rzeczywistości jest Skuba i czerpali zyski z obecności smoka pod Wawelem. Byli pewni, że ten szpieg Morawian nie rzuca słów na wiatr, a jego mocodawcy bardzo dobrze przygotowali go do tego zadania. Usiłowano storpedować poczynania Ziemka, lecz bez powodzenia, bo presja dołów społecznych była zbyt silna. Próby przekupienia Skuby też na nic się zdały. Nie można go było tak po prostu aresztować lub zabić, bo wywołałoby to falę protestów i zamieszek, co mogłoby spowodować rewolucję i upadek obecnej elity. Krak, jego doradcy, bogaci grodzianie, a także bandyci byli w nie lada kłopotcie. Niestety, próby powstrzymania Skuby zawiodły.

*

Centrum znów zażądało paru zwierząt, roślin i kobiety. Kobiet potrzebowano przy badaniach genetycznych i klonowaniu ludzi. Dinozauroidy były w trakcie definitywnego rozszyfrowania ludzkiego kodu genetycznego i budowania sztucznej ludzkiej macicy. Smok wypełził przed grotę i rozkazał, co grodzianie mają mu dostarczyć.

W następnym dniu przed grotą stały owce, barany, dwie krowy, trzy kozy i młoda kobieta. Smok zaczął znosić zwierzęta w głąb groty. Na holograficznym ekranie badacze śledzili przebieg akcji. Certa tknęło jakieś złe przeczucie. Nie podobał mu się jeden baran, który cały czas stał nieruchomo, gdy tylko kamery smoka miały go w polu widzenia. Wyszedł z głównego pomieszczenia i podszedł do wyjścia groty, by na własne oczy zobaczyć barana. Po chwili do Certa dołączyła Moa. Gdy Smok podchodził do barana, Certowi zdawało się, że w pobliskich krzakach coś się poruszyło. Robot nachylił się nad baranem i w tym momencie nastąpiła silna eksplozja, która przewróciła Smoka. Maszyna poderwała się na nogi. Zaczęła biegać, miotać plazmą na lewo i prawo i strzelać promieniami laserowymi.

Z owych podejrzanych krzaków wybiegł Ziemko, chwycił dziewczynę, zarzucił ją sobie na plecy i najszybciej jak mógł pobiegł w kierunku grodu.

– O skubany! – wrzasnął Cert. – Wysadził naszego Smoka w powietrze.

Okolica pieczary stanęła w płomieniach. Cert z Moą szybko wycofali się w głąb jaskini. Robot dalej szalał na zewnątrz.

– Trzeba go zniszczyć – zawyrokował Zyg. – Ma uszkodzony centralny komputer. On nas tu wszystkich pozabija.

Maszyna akurat wchodziła do Wisły, gdy z groty wyleciała mała rakietka i trafiła Smoka w korpus. Potężny wybuch rozerwał robota na drobne kawałki. Szal radości opanował mieszkańców grodu, ale nie wszystkich. Ci, którzy zdawali sobie sprawę, że śmierć smoka oznacza koniec koniunktury grodu i ich własnej, sposepniali. Do końca wierzyli, że Ziemko jednak nie pokona potwora, a tu masz ci los. Ziemko, jak powiedział, tak zrobił. Chyba pierwszy raz w życiu zdarzyła mu się taka sytuacja, że dotrzymał słowa. Stał się bohaterem. Brawurowe uratowanie dziewczyny zjednało mu wielu nowych zwolenników. Tłum otoczył Ziemka. Wszyscy go podziwiali i gratulowali wspaniałej akcji. Zaczęto skandować:

– Skuba na księcia!

W końcu i wyraźnie niezadowolony Krak podszedł do pogromcy smoka, pogratulował mu i obiecał córkę za żonę i połowę swojego państwa. Ceremonia ślubna została ustalona na następny dzień, a po tym państwo młodzi mieli odjechać do swojego nowego księstwa. Ziemko oczywiście skorzystał z okazji i obiecał przed tłumem, że na jego zie-

miach zostaną zniesione podatki, zrównane wszystkie stany, będzie bezpłatna oświata i służba zdrowia, a kobiety będą się cieszyły takimi samymi prawami, jak mężczyźni.

*

– Zdecydowaliśmy o likwidacji tej bazy – usłyszeli badacze z głośnika. – Wypełniście już swoje zadania z nawiązką. Wasz dalszy pobyt tutaj jest ryzykowny.

– Słusznie – zgodził się Zyg. – Gdy tylko ziemia przed grotą ostygnie, tłumy ciekawskich zaczną tu zaglądać.

Automaty przystąpiły do likwidacji bazy. Po paru godzinach nie było śladu po bytności dinozauroidów.

*

Po hucznej ceremonii zaślubin, Ziemko wraz z małżonką mieli udać się do swego księstwa. Córce Kraka małżonek nie przypadł do gustu, ale wola ojca – rzecz święta, musiała za niego wyjść za mąż. Ziemko obiecywał w swoim księstwie możliwość łatwych rozwodów i już myślała o skorzystaniu z niej.

Książę Krak chciał udaremnić podział księstwa i zdławić nastroje rewolucyjne poprzez wyeliminowanie zięcia. W międzyczasie Morawianie schwytali u siebie superszpiega Kraka. Krak pomyślał, że wymieni superszpiega za Ziemka, który też jak wiadać był doskonałym agentem. Przy ceremonii pożegnania zaproponował Ziemkowi:

– Pozwól, że dam ci eskortę złożoną z dziesięciu moich najlepszych wojów.

– Nie, dziękuję – odpowiedział Ziemko wietrząc podstęp. – Sam sobie wybiorę eskortę spośród ludzi, którzy przyszli mnie pożegnać.

Ziemko zaczął wskazywać ludzi, którzy będą go ochraniać. „Dziwnym trafem” wybrał spośród tłumu akurat dziesięć osób, będących już od dawna jego tajną ochroną. Doradcy księcia Kraka od razu domyślili się, że są to agenci Morawian, którzy siali straszne spustoszenie wśród wojów w Koziej Brodzie.

Ziemko wyjechał. Na Wawelu trwały gorączkowe przygotowania do odbicia córki Kraka i schwytania Ziemka. Za orszakiem młodej pary od razu pojechało dwóch ludzi Kraka. Dalszych czterdziestu przygotowywało zatrute strzały i zatrute noże do akcji. Po

zaplanowaniu operacji, oddział wyruszył w ślad za nowym księciem. Po kilku godzinach jazdy według znaków zostawianych przez dwóch żołnierzy wysłanych wcześniej, wojowie znaleźli świeże ślady orszaku. Znaczyło to, że oddział Ziemka był już blisko. Gdy zapadła noc, wojowie po cichu podeszli w pobliże obozu młodej pary.

Już szykowali się do ataku, gdy nagle strzały powaliły kilku żołnierzy. Ochrona Ziemka nie spała, tylko przygotowała zasadzkę, spodziewając się ataku ze strony Kraka. Rozpoczęła się walka. Wojownicy z Moraw z początku osiągnęli przewagę. Lepiej wyszkoleni technicznie zabijali wojów Kraka jak muchy, ale zatrute strzały i noże już po chwili przechyliły szalę zwycięstwa. Przypadkowe draśnięcia były śmiertelne dla przeciwników. Wszyscy Morawianie zginęli, lecz przed tym zdążyli zabić dwudziestu jeden Wiślan.

Wiślanie wpadli do obozu, ale Ziemka i jego żony już tam nie było. Rozpoczął się pościg. W pewnej odległości od obozu dogoniono młodych. Ziemko zatrzymał konia, wyciągnął sztylet, przyłożył go swojej żonie do szyi i krzyknął:

– Stać! Ani kroku dalej. Jeśli się ruszycie, poderżnę jej gardło. Rzucić broń!

Żołnierze Kraka stanęli jak wryci. Nie wiedzieli, co zrobić. Po chwili dowódca powiedział:

– A to poderżnij. Zaraz potem ja poderżnę tobie gardło. Lepiej będzie jak się poddasz. Wtedy nic ci się nie stanie.

Przez chwilę trwała pełna napięcia cisza. Wtem powietrze przeszył świst i w głowę Ziemka wbiła się strzała. Grot wbił się poniżej potylicy i wyszedł z przodu czaszki przebijając czoło. Ziemko padł bezwładny na ziemię. Córka Kraka sparaliżowana strachem patrzyła nieruchomo na zwłoki swojego męża. Z krzaków wyszli dwaj woje, którzy zostali wysłani jako szpica i cały czas śledzili Ziemka.

– Dobra robota chłopaki – pochwalił dowódca.– Szkoda tylko, że Ziemko nie żyje. Kogo my teraz wymienimy za naszego agenta?

*

Po powrocie oddziału do grodu, Krak oświadczył oficjalnie, że Ziemka zabili zbójcy, a jego córka została w cudowny sposób ocalona. Podział księstwa został zażegnany, a rewolucyjne wrzenie woje ugasili przy pomocy drewnianych pałek. Wszystko wróciło do poprzedniego stanu.

Te wieści bardzo zdenerwowały księcia Morawian. Tyle przygotowań, zainwestowanych pieniędzy i nic. W odwecie kazał zgładzić wszystkich szpiegów Wiślan, znajdujących się w więzieniach.

Od czasu zabicia smoka, gród Kraka zaczął podupadać gospodarczo. Co prawda wielu kupców przybywało do niego, ale to już nie było to. Wiele osób straciło pracę i środki do życia. Ci, którzy gorąco popierali Ziemka, teraz tego gorzko żałowali.

*

Cert po siedemdziesięciu latach pobytu wśród ludzi powrócił do dinozauroidów. Był witany jako wielki bohater. Również Moa i Zyg zostali przywitani z nie mniejszym aplauzem. Środki masowego przekazu rozwdziły się o ich pionierskiej działalności w dziedzinie podróży międzywszechświatowych. Dostali najwyższe odznaczenia państwowe. Za wywiady z nimi media płaciły olbrzymie sumy. Certowi za napisanie pamiętników proponowano niebotyczną zapłatę. Wszyscy troje stali się bardzo sławni i wręcz obrzydliwie bogaci. Mimo to nie zapomnieli o swoich przyjaciółach Kaiu i Jowicie, którzy przygotowywali się do powrotu do świata ludzi, bo w międzyczasie dinozauroidy uruchomiły kilka innych baz.

Cert jeszcze przez wiele lat przenikał w ciele astralnym do świata ludzi, by odwiedzić Huberta i jego rodzinę.

Rozdział IV

Polowanie

Mijały lata. Dinozauroidy rozbudowały bazy w świecie ludzi w różnych częściach planety. Bazy te budowano w trudnodostępnych miejscach, aby ludzie nie plątali się w

pobliżu. Materiał badawczy rósł z każdym rokiem. Kształcono ludzi, by prowadzili badania w swoim świecie na rzecz dinozauroidów.

Po przygodach Certa trzymanie ludzi w domach stało się modne wśród dinozauroidów. Prywatne firmy usiłowały przełamać monopol państwa i same urządzać polowania na ludzi, tworząc aparaturę do podróży międzywszechświatowych. Zanim im się to udało, naukowcy złamali kod genetyczny jąder komórkowych i mitochondrii człowieka. Byli w stanie produkować ludzi seryjnie, o cechach, jakich życzył sobie nabywca. Wiele firm kupiło licencje produkcji i oferowało szeroki wybór modeli. Z czasem, gdy naukowcy odkrywali nowe światy alternatywne i istoty tam żyjące, zainteresowanie ludźmi zaczęło spadać. Dzięki możliwości transmisji wszystkich wrażeń zmysłowych wprost do mózgu, zwykły dinozauroid nie był zainteresowany podróżami do innych wszechświatów. Automaty zbierały dane w innych światach, co w połączeniu z komputerowymi technikami wirtualnej rzeczywistości dawało nieograniczony wybór iluzji. Powstawały biura podróży, które oferowały wirtualne wczasy w innych wszechświatach. Wielu zwykłych obywateli chętnie korzystało z tej formy wypoczynku. Proponowano im interaktywne podróże, podczas których nie tylko odczuwali wszystkimi zmysłami, włącznie z węchem i smakiem, to co się dzieje w innych światach, ale dzięki specjalnym programom komputerowym mogli oddziaływać na otoczenie. Jako badacze, naukowcy, myśliwi czy wojownicy, nie opuszczając rodzinnej planety, podejmowali najbardziej niewiarygodne i niebezpieczne przedsięwzięcia w innych światach, mając pewność, że wyjdą z tego cało. Ten sposób spędzania wolnego czasu stał się bardzo popularny wśród dinozauroidów, a producenci specjalistycznego oprogramowania komputerów i urządzeń pomocniczych prześcigali się w nowych pomysłach.

Była jednak osoba, która wierzyła, że organizowanie rzeczywistych podróży pomiędzy wszechświatami znajdzie wielu zwolenników i przyniesie fortunę. Uwhen, bo o nim tu mowa, był przekonany, że wielu snobistycznych bogaczy nie zawaha się wydać dużych pieniędzy, aby przeżyć coś nowego, niebezpiecznego, coś czym mogliby zabytnąć w towarzystwie.

Uwhen do biednych nie należał. Był właścicielem olbrzymiego koncernu, mającego kolosalne zyski, ale cóż zaszkodzi zarobić więcej. Zebrał grupę naukowców i techników, pracujących przy eksperymentach z podróżami w inne wszechświaty. Nie miał kłopotu

ze skompletowaniem ekipy. Naukowcy we wszystkich wszechświatach relatywnie mało zarabiają, a Uhwen zaproponował bardzo wysokie pensje i w zasadzie nieograniczone fundusze na badania. W przeciągu kilku miesięcy komercyjne urządzenia do podróży były gotowe. Monopol państwa został przełamany. Rozpoczęła się wielka kampania reklamowa. Do firmy zaczęli zgłaszać się pierwsi chętni. Na początek Uhwen proponował jedynie wyprawy turystyczno-światoznawcze, gdyż tylko na to dostał koncesję. Mimo to interes świetnie się rozwijał. Po pewnym czasie władze wydały zgodę na polowania, lecz w ograniczonym zakresie. To bardzo podniosło obroty firmy. Myśliwi wyruszali do różnych światów po trofea łowieckie. Od czasu do czasu zaglądali i do świata ludzi, który znów stał się modny.

*

Grok był snobistycznym bogaczem. Fortunę odziedziczył po rodzicach, którym znudził się pobyt na tej planecie i odeszli w zaświaty. Jego podstawowym hobby było wydawanie pieniędzy na różne rozrywki. Znudziły mu się wirtualne podróże i postanowił polować w realnym świecie. Korzystał już kilkakrotnie z usług firmy Uwhena i polował na kilku planetach. Teraz postanowił przenieść się do świata ludzi. Miał zamiar upolować kilku z nich, bo słyszał, że są wymagającymi przeciwnikami, a on lubił ryzyko. Zamówił specjalny pojazd latający, którym chciał wybrać się na polowanie.

Nadszedł dzień startu. Pojazd Groka zniknął ze świata dinozauroidów i zmateriałizował się nad biegunem północnym w świecie ludzi. Grok skierował swój pojazd na południe w kierunku Europy. Przeleciał ponad Finlandią i Morzem Bałtyckim. Kiedy znalazł się nad terenem ZSRR, skręcił w stronę Polski. Leciał spokojnie, wypatrując dogodnego miejsca do polowania, gdy potężna eksplozja wstrząsnęła pojazdem. To rakietę przeciwlotniczą wystrzeloną z bazy radzieckiej marynarki wojennej w Kalinigradzie trafiła jego wehikuł. Komputer pokładowy „oszalał”, silnik przestał pracować. Pojazd Groka z dużą prędkością zbliżał się do ziemi. Opuścił przestrzeń powietrzną ZSRR i znalazł się w Polsce. Nad Zatoką Gdańską Grok zdołał się katapultować. Jego pojazd wpadł do basenu portowego w Gdyni, a on sam wylądował na plaży. Po chwili został otoczony przez wojsko i milicję i schwytyany. Z łatwością go pojmano, bo cały ekwipunek

został w pojeździe. Przewieziony do szpitala wojskowego w Gdyni poddany został badaniom. Grok doskonale wiedział, że naukowcy potrafią zadać tyle bólu i w taki sposób okaleczyć zwierzęta doświadczalne, że największym zwyrodnialcom-sadystom nie śni się to w najgorszych koszmarach. W ich mniemaniu wykonują eksperymenty na materiale badawczym, a nie na czujących istotach. Zdając sobie sprawę, że nie ma szans na uwolnienie się, ani na przeżycie, postanowił opuścić ciało fizyczne. Gdy lekarze go rozbięli, umarł. Jego ciało i statek zostały przewiezione do ZSRR, gdzie radzieccy naukowcy zajęli się ich badaniem.

*

Klac wiele słyszał o polowaniach na różne istoty we wszechświatach równoległych. Był tym bardzo zainteresowany. Jego przyjaciel Jul brał udział w kilku takich polowaniach. Zawsze z dumą pokazywał swoje trofea, których zazdrościł mu Klac. Wielokrotnie proponował Julowi wspólne łowy. Jul jeszcze nie był w świecie ludzi, więc zaproponował Klacowi wyprawę właśnie tam.

– Podobno w Afganistanie, takim ludzkim państwie – powiedział Jul – toczy się wojna. Będziemy mogli, bez zwracania szczególnej uwagi na siebie, polować do woli na ludzi i inne stworzenia tam żyjące.

– Wspaniale – ucieszył się Klac.

Postanowili udać się w to miejsce. Klac był bardzo podekscytowany. Uczył się języków używanych w Afganistanie i rosyjskiego, poznawał topografię terenu, zwyczaje ludzi itp. Śmieszyło to Julę, ale nie przeszkadzało przyjacielowi.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Jul i Klac wraz z przewodnikiem i pilotem lecieli nad Afganistanem, wypatrując dogodnego miejsca do rozpoczęcia polowania. Wypatrzyli mały oddział Rosjan strzegących jakiś magazynów. Postanowili, że w nocy ich zaatakują.

Gdy nastał zmrok, pilot wysadził Julę, Klacę i przewodnika w niedużej odległości od Rosjan. Trójka cicho zbliżała się do oddziału. Gdy byli już blisko usłyszeli:

– Stoj! Kto eta?

Nic nie odpowiedzieli, tylko skradali się dalej. W tym momencie padły strzały i kule świsnęły nad ich głowami. Jul strzelił z pistoletu laserowego do strażnika zabijając go na

miejscu. Padły następne strzały, które dosięgły myśliwych. Ich inteligentne skafandry doskonale chroniły przed kulami. Naprężały się i twardniały w momencie i miejscu uderzenia kuli, dzięki czemu unikali nawet siniaków, nie mówiąc o ranach. Rozpoczęła się wymiana ognia. Kilku Rosjan padło martwych. Myśliwi parli do przodu. Wtem pocisk z działa bezodrzutowego trafił Klaca w głowę. Eksplozja rozbiła mu kask, który był na tyle mocny, że uchronił Klaca przed śmiercią. Padł nieprzytomny na ziemię. Podmuchał wybuchu odrzucił Jula i przewodnika na kilka metrów. Jul wezwał pilota na pomoc. Statek po chwili wylądował nieopodal. Jul i przewodnik w panice rzucili się w jego kierunku, zostawiając Klaca w rękach Rosjan. Gdy Jul wślizgiwał się do wjazdu pojazdu, trafił go w plecy granat, który eksplodując, mimo cudownego skafandra, oderwał mu rękę i uszkodził urządzenia wewnątrz statku. Krew bryzgnęła naokoło. Ręka Jula trafiła pilota i ostatnim skurczem zacisnęła się na jego gardle. Pilot, powalony wybuchem, chwilę wił się na podłodze, walcząc z ręką Jula. Odrzucił ją w kąt i usiłował uruchomić pojazd. Przewodnik obalony eksplozją właśnie podnosił się, gdy nadleciał helikopter i dwoma rakietami zniszczył statek. Z wraku wyciągnięto rannego pilota i ciało Jula. Podmuchał wybuchów znów rzucił dinozaurodem na odległość kilku metrów. Śmigłowiec wylądował nieopodal. Rosjanie otoczyli pojazd i schwytali gada.

Klac zaczął odzyskiwać przytomność. Ujrzał nad sobą dwóch Rosjan i sięgnął po broń, która leżała na wyciągnięcie ręki. Nie zdążył jej unieść. Kule z karabinów Kałasznikowa zamieniły jego głowę w bezkształtną masę.

*

Klac, będąc już tylko w ciele astralnym, ze zdziwieniem obserwował dalszy przebieg akcji. Nie mógł pojąć, że tak szybko i tak głupio zginął. Patrzył to na Rosjan, to na swoje zniekształcone ciało fizyczne i płakać mu się chciało, że to już koniec. Niespodziewanie za jego plecami otworzył się tunel, z którego wyszli „wysłannicy śmierci”.

– Witaj Klac – powiedział jeden z nich.

– Skąd wy mnie znacie? – spytał zdumiony Klac. – Przecież nie jestem człowiekiem.

– My wszystkich znamy – powiedział z uśmiechem drugi.

– Czego chcecie ode mnie? – spytał Klac.

- Chcemy cię zabrać do świata astralnego – usłyszał.
- Ależ to jest świat astralny ludzi i pewnie potem odrodzę się jako człowiek – zastanowił się.
- Masz całkowitą rację – potwierdził wysłannik.
- I tacy jak ja albo Jul będą na mnie polować? – zapytał Klac.
- Niewykluczone – przyznał wysłannik.
- Nie skorzystam z waszej propozycji.

Klac, nie czekając na finał rozmowy, uciekł czym prędzej od wysłanników śmierci. Może było to niegrzeczne, ale w mniemaniu Klaca całkiem uzasadnione.

*

Jul po uderzeniu granatu opuścił swoje ciało fizyczne i błyskawicznie przedostał się do świata dinozauroidów. Tam zawiadomił o całym zajściu służby bezpieczeństwa, które podjęły przygotowania do odbicia swoich obywateli z rąk ludzi.

Rosjanie zabrali statek wraz z istotami do instytutu badawczego pod Moskwę. Tam dokonano sekcji zwłok, ciała Julia i Klaca pocięto na kawałki. Z przewodnikiem i pilotem rozpoczęto eksperymenty. Robiono im wiele badań medycznych, rutynowo wykonywanych na ludziach. Szukając związku między obrazami powstającymi w oku, a procesami myślowymi, instalowano im małe kamery na oczy i obserwowano obrazy powstające na siatkówce.

Eksperymenty trwały już kilka dni, gdy nagle w kilku miejscach instytutu niespodziewanie otworzyły się tunele czasoprzestrzenne, z których wyskoczyły biegające roboty. Używając paralizatorów poraziły żołnierzy i personel naukowy. Błyskawicznie zabrały pilota, przewodnika, ciała Julia i Klaca i wbiegły z powrotem do tuneli, które natychmiast się zamknęły.

Ludzie długo nie mogli dojść do siebie po tym zdarzeniu. Nie rozumieli, co się stało.

*

Nie tylko ludzie byli zaskoczeni sprawnością akcji, dinozauroidy również. Służba bezpieczeństwa świata dinozauroidów nie szczędziła wydatków na rozwijanie technik przemieszczania się między wszechświatami. Liczono się z tym, że być może w niezliczonych wszechświatach istnieje cywilizacja, która umie podróżować tunelami czasoprzestrzennymi i która wpadnie na pomysł zaatakowania ich świata. Od czasu pierwszych podróży międzywszechświatowych stworzono na powrót wojsko i intensywnie rozwijano techniki walki i wnikania do innych światów.

W świecie dinozauroidów dzięki medycynie, ożywianiu bioenergią i pobudzeniu do podziałów komórek, zregenerowano ciało Jula, który powrócił do niego i już w niedługi czas potem cieszył się bardzo dobrym zdrowiem.

Ciało Klaca zamrożono, czekając, aż jego duch powróci.

*

Klac tymczasem uciekł tysiące kilometrów od miejsca wypadku. Dla ducha nie jest to szczególnie wyczyn.

*

Był sobotni wieczór. Grupa studentów nudziła się, nie wiedząc co robić z wolnym czasem. Uczyć się przecież nie będą. Na wódkę też nie mieli ochoty. Co się rzadko u nich zdarzało, mieli przesyty alkoholu.

– Ale nudy – powiedziała Alicja. – Może ktoś powiedziałby coś ciekawego.

– Słyszałem, że Czesi odkryli Amerykę – zaczął Kaziemierz.

– ??

– Nazwy geograficzne o tym świadczą. Mogę wam opowiedzieć legendę – ciągnął dalej.

– Król czeski wysłał na zachód żeglarzy, by odkryli ląd zdatny do zasiedlenia. Żeglarze czescy natrafili na jakiś kontynent i zeszli na ląd. Długo szli przed siebie w końcu widząc: pustynia, a wokół góry. Jeden z żeglarzy rzekł: „Nie możemy się tu osiedlić. Ten ląd ma

same wady”. „Wymień chociaż jedną” powiedział namiestnik króla. „No, pustynia, góry” odparł marynarz. Na to namiestnik odpowiedział: „To ne vada”. I to miejsce nazwano Nevadą.

– Aleś wymyślił – powiedziała znudzona Alicja. – Nic mądrzejszego nie przyszło ci do głowy?

– Przecież to jest genialna hipoteza – ciągnął z przekorą Kazimierz.

– Może wywołamy jakiegoś ducha – zaproponowała Lucyna, mająca za sobą kilka seansów spirytystycznych.

Idea została podchwycona przez wszystkich. Na środku pokoju, z braku okrągłego, ustawiono kwadratowy stolik, typowy dla wyposażenia pokoi studenckich. Mały talerzyk z narysowaną strzałką został położony na stoliku, na planszecie, na której były wypisane wyrazy „tak”, „nie”, litery alfabetu i cyfry. Siedem osób usiadło wokół, zapalono świeczkę i zgaszono światło. Wszyscy uczestnicy położyli dłonie na stole, wierzchem do góry, w ten sposób, aby kciuki obu dłoni stykały się ze sobą, a małe palce z małymi palcami dłoni sąsiadów. Z nadmiaru uczestników i braku miejsca tylko Lucyna, która była najodważniejsza i uznała się za dobre medium, dotykała palcami talerzyka. Rozpoczął się seans.

– No dobra, kogo wywołujemy? – zapytał roztropnie Krzysztof.

– Ducha Chopina – zdecydowała Alicja, pozująca na intelektualistkę.

– Nie można kogoś sympatyczniejszego? Na przykład Ziutka Pyzika – zapytał Kazimierz.

– Pewnie i można, ale powiedz Kaziu kto to był – powiedziała Lucyna, samozwańcze medium.

– Nie wiem, ale fajnie brzmi jego nazwisko – odpowiedział Kazimierz.

– Niech już będzie Chopin, bo przez całą noc będziemy się zastanawiać kogo wezwać – powiedział zniecierpliwiony dyskusją Bogusław.

– Wezwać możemy portiera, chyba jeszcze nie śpi, a w każdym razie nie powinien – dodał dowcipnie Kazimierz.

– Koniec dyskusji. Zaczynamy seans. Wywołujemy ducha Chopina – zdecydował Krzysztof.

Zapadła cisza. Wszyscy skoncentrowali się na Chopinie. Tylko Kazimierz błąkał się myślami zupełnie gdzie indziej, ale nie miało to specjalnego wpływu na przebieg seansu.

Lucyna mówiła podniesionym głosem:

– Fryderyku Chopinie przybądź!

I nic. Po chwili powtórzyła:

– Fryderyku Chopinie przybądź!

I znowu nic. Próbowwała jeszcze kilka razy i efekt ciągle był taki sam.

– Chyba coś nie tak – skonkludował Kazimierz. – Może wywołamy kogoś innego?

– Spróbujmy Freuda – zaproponowała „nawiedzona” Alicja.

Wszyscy zgodzili się na tę propozycję.

– Zygmuncie Freudzie przybądź do nas! – zawołała Lucyna.

Nic.

– Zygmuncie Freudzie przybądź do nas! – powtórzyła.

I znowu nic. Po następnych próbach zniechęcono się do Freuda.

– Pewnie Freud nie ma czasu – skwitował ten stan rzeczy Kazimierz.

– No to może Kaziu, wywołamy tego Ziotka Pyzika – powiedziała ironicznie Alicja.

– Wywołajmy jakiegokolwiek ducha – powiedział zniechęcony i znudzony Jan.

– Dobra, niech tak będzie – zgodzili się pozostali.

Wszyscy znowu się skupili, a Lucyna zawołała:

– Jakikolwiek duchu, który jesteś w okolicy przybądź do nas!

*

Kluc, błąkając się bez celu, mijał właśnie jakiś wielopiętrowy budynek, gdy poczuł, że nieznana siła ciągnie go w kierunku okna na piątym piętrze. Zbliżył się do niego, przeniknął je i zobaczył grupę młodzieży siedzącą wokół kwadratowego stolika. Poczuł, że jedna z dziewcząt niezwykle silnie go przyciąga. Ucieszył się z możliwości sprawdzenia, jak to jest w ludzkim ciele i wniknął w nią. Trochę dziwnie się poczuł. Ciało miało dobrą długość, ale narządy były zupełnie inaczej zbudowane. Za dużo palców u

rąk i nóg i zupełnie inny układ mięśni. Ale nic to. Postanowił popробować. Chciał coś powiedzieć do zebranych.

*

Krystyna, wrażliwa i nieśmiała dziewczyna siedziała do tej pory cicho i bez ruchu. Teraz drgnęła gwałtownie. Jej twarz przybrała demoniczny wygląd, a z gardła wydobył się nieludzki charkot.

*

– Coś się nie udało, ona ma zupełnie inaczej zbudowany narząd mowy – pomyślał Klac, słysząc dźwięki wydawane przez siebie i obserwując twarze uczestników seansu.

*

Koledzy Krystyny przerazili się nie na żarty, widząc dziwne zachowanie koleżanki.

– Kysiu, co ci jest? – zapytał wystraszony Krzysztof i w odpowiedzi usłyszał charkot dobywający się z gardła dziewczyny.

– Demon ją opętał – zawyrokowała Alicja, uważająca się za największą znawczynię magii i okultu w tym towarzystwie.

– Spróbuję go wypędzić – powiedziała Lucyna i podeszła do Krystyny. – Odsuńcie się!

– Demonie, rozkazuję ci, opuść ciało tej dziewczyny!!! – krzyknęła w uniesieniu. Krystyna upadła na podłogę i zaczęła miotać się na dywanie.

– Usuńcie stół i krzesła z pokoju – rozkazał przytomnie Krzysztof, usiłując bezskutecznie przytrzymać dziewczynę.

Polecenie szybko wykonano. Krystyna dalej rzucała się po podłodze.

*

– Co to za język, którym oni się posługują? – myślał Klac. – Trochę podobny do rosyjskiego, którego się uczyłem.

Po okrzyku dziewczyny, która zbliżyła się do niego, poczuł, że właścicielka ciała, chce go zeń usunąć.

– Nie dam się tak łatwo wygonić – przekazał telepatycznie myśl napastnikowi. – Chcę tu jeszcze trochę pobyc.

Rozpoczęła się walka, zużywająca wiele sił witalnych ciała fizycznego. Na szczęście dla Klaca, dziewczyna stojąca najbliżej wysyłała dużo energii psychicznej, którą Klac przechwytywał i wykorzystywał do walki z gospodarzem. Po pewnym czasie opór tego ostatniego został złamany. Klac usiłował poruszyć kończynami, ale nie bardzo jeszcze wiedział jak to zrobić, a ciało fizyczne było bardzo wyczerpane. Wykonał parę niezdatnych ruchów i znieruchomiał. Zajął się rozszyfrowywaniem budowy swojego nowego ciała.

*

Krystyna wykonała jeszcze kilka niezgrabnych ruchów i znieruchomiała. Lucyna, która przez cały czas koncentrowała się, usiłując wypędzić demona, klęknięta przy niej wyczerpana.

– Udało się – powiedziała Lucyna. – Demon uciekł.

Pozostali patrzyli na Krystynę. Nie mogli pojąć, co się stało.

– Wezwijmy pogotowie – zaproponował Bogusław.

– No i co powiemy? Demon opętał naszą koleżankę i nie wiemy, co robić – powiedział Kazimierz. – Zabiorą nas od razu do wariatkowa.

– Połóżmy ją spać – zdecydował Krzysztof. – Wgląda na zdrową tylko zmęczoną. Jutro zobaczymy, jak się czuje. Jeśli będzie coś nie tak, odprowadzę ją na pogotowie.

Uczestnicy niefortunnego seansu położyli Krystynę do łóżka, a sami rozeszli się do swoich pokoi. Z Krystyną zostały jej współlokatorki Lucyna i Edyta. Lucyna od razu zasnęła głębokim snem, wyczerpana egzorcyzmami. Edyta wierciła się przez jakiś czas, myśląc o wrażeniach dzisiejszego wieczoru i w końcu też usnęła.

*

Klac przez noc dostosowywał się do nowego ciała. Przeglądnął zawartość mózgu, opanował ruchy kończyn i skomplikowaną mimikę twarzy. Z innymi częściami ciała też sobie poradził. Kilka razy w nocy gospodarz usiłował przejąć kontrolę nad ciałem, ale Klac korzystając z energii życiowej Edyty, z łatwością go pokonał.

*

Rano po przebudzeniu Edyta skarżyła się:

– Ale jestem słaba. Śniło mi się, że jakiś potwór wypija ze mnie krew. To był koszmar. Teraz ledwo się ruszam.

Ktoś zapukał do drzwi, wszedł Krzysztof.

– Jak się czujesz Krysiu? – zapytał troskliwie.

Klac nie bardzo zrozumiał język, ale odczuł telepatycznie jego treść.

– Wsjo w pariadkie – odpowiedział.

Obecni zrobili wielkie oczy.

– Od kiedy Krysiu mówisz po rosyjsku, na lektoracie ledwo trójki dostajesz – żartem zapytała Edyta.

– Ja nie znaju waszewo jazyka. Ja znaju drugije jazyki, no etot pachozę wszech na wasz.

– Zwariowała, albo się zgrywa – powiedział Krzysztof.

– Chyba jakiś Rusek się w nią wcielił, ma dobry rosyjski akcent – stwierdziła Lucyna.

– Ja nie Ruski. Wy nie pajmiecie otkuda ja – wtrącił się Klac.

– Matka Heli jest psychiatrą – przypomniał sobie Krzysztof. – Zabiorę do niej Krystynę. Może coś poradzi.

Krzysztof zbiegł na parter do portierni i zatelefonował do Heleny. Przedstawił problem i mimo sprzeciwów koleżanki, umówił się z jej matką na spotkanie. Wrócił po Krystynę i razem z nią wyszedł na ulicę. W niedzielny poranek ulica była pusta. Szli w milczeniu. Gdy przechodzili przez park, z ławki podniosło się trzech punków, których suszyło po nocnej libacji i zbierali pieniądze na piwo. Jeden z nich podszedł do Krzysztofa i zagaił rozmowę:

– Ty frajerze, kopsnij dychę. Brakuje nam na browar.

– Przepraszam, ale nie mamy czasu – powiedział Krzysztof. – Spieszymy się bardzo.

Do punka dołączyło dwóch kolegów.

– Dziwne – zamyślił się punk. – Jesteście już trzeci dzisiaj, których zagadujemy i jak tamci też się spieszą. Jest niedziela, dzień wolny od pracy, przeznaczony na odpoczynek, a wy wszyscy tacy zagonieni.

Przerwał, popatrzył w dal, a po chwili dodał:

– No dobra, koniec ściemniania. Dawać forszę i spadać.

Krzysztof już sięgał po portfel, gdy drugi z punków zauważył:

– Niezła dupcia. Może się trochę zrelaksujemy po ciężkiej nocy.

– Dobra myśl – zawtórował trzeci i zbliżył się do Krystyny.

– Zostawcie ją – krzyknął Krzysztof i zasłonił ciałem Krystynę.

Cios pięścią przewrócił go na chodnik.

– Nie lubimy, gdy nam się przeszkadza – powiedział punk i chwycił Krystynę.

Krzysztof poderwał się z chodnika, by bronić dziewczyny, lecz uderzenie butelką w głowę pozbawiło go przytomności.

– Nerwowa sytuacja – pomyślał Klac i uderzył czołem w nos punka z taką siłą, że aż chrupnięcie usłyszeli koledzy.

Punk osunął się na chodnik. Krew pociekła mu z nosa.

– O kurwa mać! – krzyknął. – Zabiję sukę.

Klac zdenerwował się i stracił częściowo kontrolę nad ciałem. Twarz Krystyny nabrała upiornego wyglądu. Po potężnym ciosie bolało go czoło. Punk poderwał się z ziemi i zaatakował. Z całej siły zadał cios sierpowy prawą ręką. Klac odchylił się do tyłu i pięść punka musnęła tylko jego twarz. Chwycił swoją prawą ręką jego rękę i mocno pociągnął. Punk stracił równowagę i runął na Klaca. W tym momencie Klac zadał cios lewą pięścią w szczękę. Uderzenie było tak celne i silne, że pozbawiło punka świadomości. Pozostali dwaj ze zdumieniem obserwowali przebieg wydarzeń. Ale oszołomienie nie trwało długo. Jeden z nich roztropnie zaproponował:

– Spadajmy stąd. Ta dziwka nas zajebie.

Nie czekając wzięli nogi za pas.

Klac dopiero teraz poczuł, że bardzo boli go dłoń i czoło.

– Szczklanawa – zaklął w duchu w swoim języku.

Po chwili zaczął cucić Krzysztofa. W międzyczasie punk odzyskał przytomność i szybko uciekł. Krzysztof podniósł się z trudem.

– No, kuda?

– Na razie prosto, potem powiem gdzie skręcić – odparł Krzysztof.

Klacz wziął go pod ramię i zaprowadził do mieszkania Heleny, skąd pogotowie zabrało Krzysztofa do szpitala na obserwację. Matka Heleny, ze względu na nieznaną rosyjskiego nie mogła porozumieć się z Klacem, lecz postanowiła go wysłać do swego kolegi po fachu, który władał tym językiem.

W wyznaczonym terminie przyjaciele Krystyny zaprowadzili Klacza do tego psychiatry, ale spotkanie nie przyniosło żadnych efektów. Lekarz nie wiedział co się stało i nic nie mógł poradzić. Zapisał tylko środki uspokajające i przeciwdepresyjne.

Po niedługim czasie Klacz opanował w miarę dobrze język polski korzystając z pamięci Krystyny. Życie w nowym ciele zaczęło mu się podobać. Jako Krystyna kontynuował studia. Przyjaciele myśleli, że wszystko wróciło do normy.

Ale nadciągnęły „czarne chmury”. Na święta Krystyna musiała wrócić do domu. Rodzice od razu zauważyli zmiany w zachowaniu swojego dziecka.

Ciotka, która z nudów chodziła na spotkania różnych bardziej lub mniej podejrzanych towarzystw psychotronicznych i tym podobnych, uznała, że Krystyna jest prawdopodobnie opętana i radziła wizytę u radiestety – egzorcysty. Zaproponowała jednego ze swoich znajomych.

Radiesteta, gdy tylko przekroczył próg domu donośnym głosem oznajmił:

– Czuję tu negatywne energie, dużo zieleni ujemnej.

Wyciągnął różdżki hiszpańskie i zaczął krążyć po mieszkaniu. Co parę sekund różdżki krzyżowały się.

– Straszne – mruczał pod nosem. – Całe mieszkanie zapromieniowane. Tu nie można żyć.

– Co robić? – pytali przestraszeni rodzice Krystyny.

– Mogę zainstalować kilka odpromienników – zaproponował radiesteta. – Nie daję pełnej gwarancji odpromieniowania, ale na pewno poprawi to warunki życia w tym mieszkaniu. Co jakiś czas trzeba będzie je wymieniać na nowe.

- A ile to będzie kosztowało? – zapytała matka Krystyny.
- Nie jest to tanie – odpowiedział radiesteta, – ale zdrowie jest najważniejsze.
- Czy to pomoże mojemu dziecku? – pytała dalej matka.
- Ależ naturalnie – odparł radiesteta. – Inaczej nie robiłbym tego.

Klac, który obserwował to z drugiego pokoju uśmiechał się w myślach:

- Ale zaradny człowiek. Wie jak zarabia się pieniądze.

W tym momencie milczący dotąd ojciec włączył się do rozmowy:

- A co z naszą córką? Przecież to ją pan miał badać.
- A tak, lecz najpierw musiałem zdiagnozować otoczenie – z namaszczeniem oświadczył radiesteta. – Proszę zawołać córkę.
- Krysiu chodź do nas – zawołała matka.

Klac wszedł do pokoju. Radiesteta wyciągnął wahadełko i ujął je w dwa palce prawej dłoni. Wahadełko zaczęło szybko wirować.

- Straszny demon opętał waszą córkę – z napięciem w głosie powiedział radiesteta. – Pochodzi z najciemniejszych czeluści astralu.

Rodzice przelękli się jeszcze bardziej.

- Czyli skąd? – wyjąkał ojciec ocierając pot z czoła.
- To straszne miejsce – z powagą odrzekł radiesteta. – Niewtajemniczeni w sprawy okultu nie powinni o tym za dużo wiedzieć.
- Pieprzy jak potłuczony – pomyślał Klac. – To prawdziwy profesjonalista.

- To co robimy? – drżącym głosem zapytała matka.

- Muszę odprawić najsilniejsze egzorcyzmy jakie istnieją – z mocą powiedział radiesteta, – egzorcyzmy ormiańskie. Proszę zostawić nas samych.

Rodzice wyszli z pokoju i zamknęli drzwi. Radiesteta zaczął wyklądać świece, Pismo Święte i inne akcesoria potrzebne mu do odprawienia rytuału.

- Co on kombinuje? – zastanawiał się w myślach Klac.

Rozpoczął się obrzęd. Radiesteta zapalił świece, czytał fragmenty Pisma Świętego i mamrotał jakieś zaklęcia.

- Długo tak tu będziemy siedzieć? – zapytał znudzony Klac.

Radiesteta nic nie odpowiedział tylko kontynuował dalej. Po dwóch godzinach otworzył drzwi i zakomunikował:

– Demon został wypędzony.

Klac nie chciał tego prostować, bo już miał dość egzorcyzmów. Zmęczyło go to bardzo. Radiesteta zamontował jeszcze odpromienniki, zainkasował pieniądze i poszedł do domu.

Zadowolenie rodziców nie trwało długo. Krystyna nadal zachowywała się inaczej niż zwykle. Rodzice za namową ciotki postanowili poszukać innego egzorcysty. Po długich poszukiwaniach znaleźli specjalistkę w tej branży. Była to starsza kobieta, która kontaktowała się ze światem dinozauroidów. Po rozmowie z dziewczyną miała jasność, kto ją opętał. Po pierwszym spotkaniu nie próbowała wyganiać Klaca, umówiła się na drugie. Umiała opuszczać swoje ciało fizyczne, zastosowała tę umiejętność i udała się na spotkanie ze znajomymi dinozauroidami.

– Witaj Rozalio, co u ciebie? – przywitał ją Gerp, dowódca bazy dinozauroidów w Himalajach.

– Witajcie przyjaciele – przywitała się egzorcystka. – Mam problem. Jeden z waszych ziomków opętał moją klientkę. Nie chcę stosować starych metod wypędzania duchów, bo mogę nic nie wskórać. Pewnie go szukacie i jeśli go wypędzę to znów się gdzieś zapodzieje.

– A jak on się nazywa? – spytał dowódca.

– Klac – odparła Rozalia.

– Już sprawdzam w komputerze – dowódca spojrział na komputer, który odczytał jego myśli i podał odpowiedź.

– Tak jest – ciągnął dalej. – Klac zgubił się podczas polowania. Mamy jego ciało. Jak wróci do nas to je odzyska.

– Czy moglibyście przybyć do mnie na spotkanie z Klacem w najbliższą środę? – spytała Rozalia.

– Ależ oczywiście – odpowiedział dowódca. – Sprowadzimy jeszcze jego rodzinę i przyjaciół.

Rozalia wróciła do swojego ciała.

W środę rodzice z dziewczyną przyszli do egzorcystki. W ciałach astralnych stawiała się również załoga bazy dinozauroidów przyprawdzając Jula. Zaczął się seans.

– Cześć Klac – zaczął Jul. – Miło cię widzieć. Myślałem, że przepadłeś w astralu ludzi. Rusczy cię nieźle urządzili. Ale mnie również.

– Widziałem – odparł Klac – Co z moim ciałem?

– W porządku – powiedział Jul. – Gdy wrócisz do nas, lekarze je naprawią i będzie jak nowe.

– Dobra chłopaki – zdecydował Klac, wysuwając się z ciała dziewczyny, – wracam z wami. Nie podoba mi się życie tutaj.

– Wiedziałem, że tak powiesz – krzyknął uradowany Jul.

*

Klac powrócił do swojego świata. Jego ciało, tak jak wcześniej ciało Jula, zostało przywrócone do życia.

Przygody Klaca, Jula, Groka i kilku innych niefortunnych myśliwych stały się głośne wśród dinozauroidów. Ilość polowań w świecie ludzi spadła. Pomimo promocyjnych cen i reklamy znajdowano na nie coraz mniej chętnych. Bardziej popularne stały się inne światy, w których łowy były łatwiejsze i bezpieczniejsze.

Rozdział V

W podwodnej bazie

Młody naukowiec Paweł leciał, w ramach polsko-wenezuelskiej współpracy naukowej, przeprowadzić dwumiesięczny eksperyment na IVIC w Caracas. Samolot zbliżał się do Zatoki Meksykańskiej, gdy eksplozja wstrząsnęła kadłubem. Ciśnienie powietrza w przedziale pasażerskim gwałtownie spadło. Ludzie zaczęli się dusić. Wybuchła panika. Samolot szybko tracił wysokość. Pilotowi, który zachował przytomności umysłu, udało się łagodnie posadzić maszynę na powierzchni morza. Na niewiele zdał się jego

wyczyn, bo poprzez dziurę w kadłubie wdzierala się woda. Samolot szybko zaczął tonąć. Przerażeni ludzie biegali po pokładzie, chcąc uciec. Na próżno. Woda zajmowała coraz większą część samolotu, dosięgając pasażerów i załogę. Paweł znalazł się pod wodą. Kiedyś nurkował w klubie, więc wstrzymał oddech i spokojnie zaczął szukać jakiejś jamy gdzie zgromadziło się powietrze. Po przepłynięciu kilku metrów znalazł takie miejsce. Włożył tam głowę i zaczął oddychać. Im głębiej samolot się zanurzał tym większe stawało się ciśnienie i objętość powietrza we wnętrzu stale się zmniejszała. Paweł przelatywał ślinę, aby zlikwidować ból w uszach, powodowany wzrastającym ciśnieniem. Zdawał sobie sprawę, że to co robi nie ma sensu, ale instynkt życia był silniejszy. Było mu coraz zimniej. Mokra odzież nie chroniła przed chłodem morskiej wody. Po kilkudziesięciu minutach woda zajęła całą wnękę. Paweł wziął ostatni głęboki oddech i czekał na śmierć. Utrzymał powietrze w płucach przez kilka minut, co było jego rekordem życiowym, ale w końcu musiał je wypuścić. Wciągnął do płuc wodę morską i ze zdziwieniem stwierdził, że jeszcze żyje. Zrobił kolejny wdech zaciągając się wodą i dalej żył. Niesamowite! Po kilku oddechach przyszło mu do głowy, że chyba nie umrze, poszukał kocy i ciepłej odzieży. Otulił się nimi by zmniejszyć cyrkulację wody wokół ciała, która odbierała mu ciepło. Czekał. Nie miał pomysłu, co zrobić dalej. Rozmyślał dlaczego jeszcze żyje. Czytał kiedyś o eksperymencie z psami, które zanurzone w roztworze soli fizjologicznej, będącego pod wysokim ciśnieniem, pobierały tlen prosto z roztworu. Przypomniał mu się eksperyment z osmozą ze szkoły podstawowej, gdy na lekcji biologii zanurzał ziemniaka w stężonym roztworze soli kuchennej, a następnie w wodzie destylowanej. Najpierw ziemniak marszczył się, a potem pęczniał. Wspomnienie to odniósł do swojej obecnej sytuacji.

– Prawdopodobnie na tej głębokości woda morska ma podobny skład do płynów tkankowych – powiedział w myślach – i na drodze osmozy komórki nie wchłaniają w nadmiarze wody z otoczenia, ani jej nie oddają. Ciśnienie rozpuszczonego tlenu jest wystarczające, abym się nie udusił.

Na podobnych rozmyślaniach spędził jakiś czas. Było mu się coraz zimniej. Popływał trochę, żeby się rozgrzać. Uderzał co chwilę o przeszkody, bo w samolocie było zupełnie ciemno. Znalazł coś do jedzenia. Rozmoczony pokarm nie smakował mu specjalnie, ale nie miał dużego wyboru. Popływał jeszcze trochę po samolocie nie wiedząc, co robić

dalej. Naraz ujrzał światła za oknami. Nie mógł rozpoznać kształtów, bo oko ludzkie nie jest przystosowane do ostrego widzenia w wodzie. Pomyślał, że to ekipa płetwonurków odnalazła samolot. Ucieszył się, wydostał z wraku i popłynął im naprzeciw. Pojazd podpłynął do niego i wciągnął go do środka. Znalazł się w małej, jasnej komorze. Wykrztusił wodę z płuc i zaczął oddychać powietrzem. Po ucisku w uszach poznał, że ciśnienie powietrza jest sukcesywnie zmniejszane. Nagle w środku głowy usłyszał głos:

– Nie obawiaj się. Musimy przetrzymać cię w komorze kilka godzin, żebyś nie dostał choroby dekompresyjnej. To, czym teraz oddychasz to specjalna mieszanka gazów. Jesteś na bardzo dużej głębokości.

Paweł zdziwił się sposobem przekazania informacji.

– Czyżby metody komunikacji rozwinęły się tak bardzo, a ja o tym nic nie wiem? – pomyślał.

– Aby umilić ci czas oczekiwania puścimy ci nasze ulubione utwory muzyczne – ponownie w jego głowie odezwał się ten sam głos.

Po chwili w mózgu Pawła rozbrzmiała muzyka Disco Polo.

– Skąd oni znają tę muzykę? – zastanawiał się Paweł. Czyżby to była polska ekspedycja? Przecież Polacy nie prowadzą takich badań. Nie ma w Polsce sprzętu do badań głębinowych.

Muzyka Disco Polo grała dalej. Paweł zabijał czas rozmyślaniami. Po dekompresji otworzyły się drzwi. Przeszedł korytarzem i znalazł się w dużej, jasnej sali. Na środku stały trzy dziwne stworki.

– Witamy w naszej podwodnej bazie – odezwał się po polsku jeden z nich.

– Skąd znacie mój język? – zdumiał się Paweł.

– Mamy automatyczne tłumacze języków. Możemy również telepatycznie odczytywać i przesyłać myśli. W zależności od potrzeb uczyliśmy się każdego języka używanego na świecie – odparł ten sam osobnik. – Dzięki pewnym technikom nauki przychodzi nam to bardzo łatwo. Polskiego nauczyliśmy się już jakiś czas temu, bo bardzo lubimy Disco Polo. Oglądamy wszystkie wasze programy z tą muzyką.

– Jak to? – zdziwił się Paweł.

– Mamy możliwość oglądania wszystkich programów telewizyjnych na świecie – kontynuował dziwny osobnik. – Oprowadzę cię po bazie. Ja nazywam się Zork, a to moi współpracownicy: Esa i Dus.

– Miło mi – powiedział Paweł nieśmiało. Zdawało mu się, że już nie żyje i jest w innym świecie. – Ja nazywam się, albo nazywałem się Paweł Barski.

– Nam również miło – kurtuazyjnie rzekł Zork i zaczął pokazywać bazę. – Tu właśnie oglądamy światową telewizję. Proszę bardzo, polska telewizja.

Zork przerzucał po kolei wszystkie polskie stacje włącznie z lokalnymi.

– Rosyjska, amerykańska, kubańska – Zork po kolei prezentował możliwości swojego sprzętu.

Podeszli do innego pulpitu.

– Tu możemy słuchać wszystkich rozgłośni radiowych świata – oznajmił Zork.

I znów odbyła się demonstracja. Okazało się, że lokatorzy bazy mogą podsłuchiwać wszystkie rozmowy telefoniczne aktualnie prowadzone gdziekolwiek na świecie.

– A tu mamy końcówkę internetu – Zork pokazał z nieukrywaną dumą kolejny pulpit z monitorem. Jak chcesz możesz połączyć się stąd z każdym adresem internetowym. Paweł wystukał na klawiaturze adres: <http://www.uj.edu.pl> i na ekranie pojawiła się strona Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

– Zdumiewające – nie mógł wyjść z podziwu Paweł.

– Mało tego – kontynuował Zork. – Założyliśmy własną stronę www i proponujemy ludziom by zakładali własne konta e-mail na naszym serwerze. Konta są oczywiście bezpłatne. Ludzie, aby uzyskać adres mailowy, chętnie podają nam wszystkie dane o sobie, których potrzebujemy,

– Sprytna metoda – pochwalił Paweł.

– Nie my to wymyśliliśmy – kontynuował Zork, – inni byli wcześniej. Tylko przystosowaliśmy to do naszych celów.

Po chwili dodał:

– Nie ciekawi cię kim jesteśmy, kto ja jestem?

– No właśnie, a tak w ogóle, to kim właściwie jesteście? – Paweł zadał pytanie, które powinno było paść już dawno. Spojrzał na Zorka i zapytał:

- Kto ty jesteś?
 - Polak mały – odpowiedział Zork i zarechotał jak ropucha w stawie, a jego twarz wyrażała niebywałą radość z udanego dowcipu.
 - O ty mądralo – przemknęło Pawłowi przez głowę, – sprawdzimy czy znasz dalszą część „Katechizmu polskiego dziecka”
 - Jaki znak twój?
 - Orzeł biały – usłyszał odpowiedź i otworzył usta ze zdziwienia.
 - Gdzie ty mieszkasz? – kontynuował.
 - Między swemi.
 - To on nawet zna ten wiersz z oryginalną, zniekształconą wymową – zdumiał się Paweł i kontynuował:
 - W jakim kraju?
 - W polskiej ziemi.
 - Czym ta ziemia?
 - Mą ojczyzną.
 - Czym zdobyta?
 - Krwią i blizną
 - Czy ją kochasz?
 - Kocham szczerze.
 - A w co wierzysz?
 - W Boga wierzę.
 - Coś ty dla niej?
 - Wdzięczne dziecię.
 - Coś jej winien?
 - Oddać życie.
- Paweł nie mógł ochłonać ze zdumienia. Jakaś poczwara, słaniająca się ze śmiechu, zna lepiej utwór Władysława Bełzy niż większość Polaków.
- Znam jeszcze wersję dla dziewczynek – dodał Zork – Kto ty jesteś? Polka mała. Jaki znak twój? Lilia biała.
 - Wystarczy – przerwał mu Paweł, wierzę, że znasz ten wiersz. Czy mógłbyś mi teraz powiedzieć, kim jesteście?

Zork chętnie wszystko wyjaśnił. Okazało się, że jest przedstawicielem i potomkiem zwierząt, które w świecie Pawła wymarły sześćdziesiąt pięć milionów lat wcześniej. Opowiedział o swoim świecie, czyli o świecie dinozauroidów, o światach równoległych i o podróżach między nimi. Paweł nie mógł wyjść ze zdumienia. To, o czym czytał w powieściach „science fiction”, okazało się prawdą.

– A z jakiego miasta pochodzisz? – zapytała Esa Pawła.

– Z Krakowa – odpowiedział.

– O Kraków! Znam to miasto – wtrącił się Zork. – Studiowałem tam na AGH.

Po tych słowach znowu wydał z siebie dźwięki podobne do rechotu, a jego twarz rozpromieniła się uśmiechem.

– Nie przejmuj się nim – zwróciła się Esa do Pawła – Jemu bardzo podobają się polskie dowcipy i codziennie czyta je w internecie.

Po tym powrócili do zwiedzania bazy. W pewnej chwili uwagę Pawła przykuł jakiś obiekt. Była to istota stojąca nieruchomo jak eksponat w muzeum.

– Co to jest? – spytał Paweł.

– Nasza maskotka – odparł Zork. – Był kiedyś mieszkańcem planety Kraton w twoim wszechświecie. Jak się domyślasz nie tylko my penetrujemy Ziemię. Na przestrzeni dziejów wiele cywilizacji odwiedzało twoją planetę. Niektóre, tak jak my zadomowiły się tu, prowadziły eksperymenty medyczne i genetyczne z różnymi formami życia tu występującymi. Cywilizacja, której przedstawicielem był ten osobnik, usiłowała zabrać się i za nas, ale nie udało im się to. On ze swoimi kolegami zaatakował naszą bazę, ale dość nieporadnie i dlatego jest w naszej galerii, a nie my w jego. Pozostałych odesłaliśmy do naszego świata, a on został na pamiątkę.

– Czy on żyje? – zapytał Paweł.

– Już nie, ale jak widać jest dobrze zakonserwowany.

– Co ze mną zamierzacie zrobić? – zapytał z obawą Paweł.

– Nic – odparł Zork, – gdy już ci się znudzi pobyt tutaj, odstawimy cię w miejsce, które wybierzesz.

W tym momencie Esa zaczęła dawać jakieś znaki.

– Chodźmy do niej – powiedział Zork – Chce nam coś pokazać.

Weszli do drugiego pomieszczenia i na ekranie zobaczyli wiadomości CNN. Spikerka mówiła o katastrofie samolotu, którym leciał Paweł. Na koniec powiedziała:

– Nie wiadomo, co spowodowało katastrofę. Ustaleniem przyczyn zajmie się specjalnie powołana komisja.

– Wiadomo, wiadomo – powiedział Dus. – Amerykańska marynarka wojenna przeprowadzała ćwiczenia w okolicy i zabłąkany pocisk raketowy trafił samolot. Oni o tym dobrze wiedzą, bo przechwyciliśmy ich meldunki, ale się do tego nie przyznają.

*

Następnego dnia załoga bazy postanowiła wybrać się do wraku samolotu, poprzednio były tam jedynie automaty. Paweł na szczęście nie był zbyt wysoki i zmieścił się do pojazdu przeznaczonego dla dinozauroidów.

Gdy ekspedycja opuściła bazę, Paweł ze zdumieniem stwierdził, że wewnątrz jest ona o wiele większa niż na zewnątrz.

– To manipulacje czasoprzestrzenią – zaczął wyjaśniać Zork. – Potrafimy lokalnie zniekształcać czasoprzestrzeń powodując jej rozdęcie lub zmniejszenie się. W ten, między innymi, sposób rozwiązujemy problemy z zagęszczeniem mieszkańców. W naszym świecie nawet na bardzo małej przestrzeni możemy zapewnić godziwe warunki życia wielu osobnikom.

– Zdumiewające! – wykrzyknął Paweł.

– Myślę, że niedługo i wasza technika dojdzie do takiego poziomu, by manipulować czasoprzestrzenią – dodał Dus.

Gdy byli u celu, dinozauroidy w sztywnych skafandrach, wyglądających jak zbroje rycerskie, weszły do wody. Skafandry chroniły żywe istoty przed olbrzymim ciśnieniem panującym na tej głębokości. Stosując je, unikano czasochłonnego przystosowywania się, używania specjalnej mieszanki gazów, a potem wielogodzinnej dekompresji. Powietrze w skafandrach podawane było pod ciśnieniem atmosferycznym. Paweł niestety musiał zostać, nie było dla niego skafandra odpowiedniej wielkości. Pojazd silnym światłem oświetlał wrak samolotu. Dinozauroidy wpłynęły do wnętrza. Drogę oświetlały sobie lampami. We wraku mijały martwe ciała, nadjedzone przez organizmy tu żyjące. W

pewnej chwili Dus ujrzał ducha młodej dziewczyny siedzącego na jednym z foteli. Zdradzała zaniepokojenie wizytą obcych. Dus zbliżył się do niej.

– Cześć, co słyszeć? – telepatycznie zagał rozmowę.

Duch nic nie odpowiedział tylko patrzył na Dusa. Także Zork i Esa podpłynęli do niego.

– Ona chyba nie wie, co się z nią stało – powiedziała Esa.

– Pewnie za wcześnie umarła – zadumał się Dus. – Wysłannicy śmierci z astralu nie przybyli po nią, bo to jeszcze nie był jej czas. Zresztą, jak widać i tak mieli tu mnóstwo roboty. Mogli ją przeoczyć.

Wreszcie udało im się nawiązać kontakt z duchem dziewczyny.

– Jestem Irlanda Santos – przedstawił się duch dziewczyny. – Wraciałam samolotem do Caracas, do domu. Nagle był huk, wstrząs, samolot spadł do wody i straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, wokół było pełno ludzi i to nie tylko tych, którzy lecieli ze mną. Wszyscy weszli potem do jakiś tuneli, a ja tu zostałam sama. Boję się. Chyba tu umrę.

– Ty już nie żyjesz – wyjaśnił Zork. – Zdaje się, że przez przypadek skazano cię na błąkanie się po Ziemi.

– ??? – zdumiała się dziewczyna.

– Ale nic się nie martw – pocieszyła ją Esa. – Coś na to poradzimy.

Dinozauroidy odszukały ciało Irlandy. Było już trochę nadjedzone przez morskie stworzenia. Umieściły na nim miniaturowy nadajnik.

– Chodź z nami Irlando – powiedział Zork. – W naszej bazie ożywimy twoje ciało.

Cała czwórka opuściła wrak samolotu i powróciła do swojego pojazdu.

– Pawle – zwrócił się Zork do człowieka – przyprowadziliśmy gościa.

– Gdzie? – zdziwił się Paweł. – Widzę tylko was.

– A ty jej nie widzisz? – zdziwił się Zork. – To jest duch Irlandy, jednej z pasażerek tego samolotu. W bazie ożywimy jej ciało.

– ??? – zdumiał się Paweł.

– Czyżbyś nie wierzył w naszą medycynę? – zapytał Zork, przechylając figlarnie głowę.

Esa wydała rozkaz, aby roboty przetransportowały ciało Irlandy z samolotu do bazy.

*

Dinozauroidy umożliwiły Pawłowi bezpośredni kontakt z duchem. Dzięki aparaturze konwertującej przekaz telepatyczny na język polski mógł swobodnie rozmawiać z Irlandią. Konwersja w drugą stronę nie była potrzebna, bo duch doskonale czytał myśli Pawła.

Przez kilka dni z niedowierzaniem obserwował, jak ciało Irlandy powraca do stanu sprzed katastrofy. Widząc, że rany błyskawicznie zablizniają się i wszelkie ubytki ciała odrastają, zapytał Esę:

– Jak to robicie, że z kawałka mięsa tworzy się człowiek? Przecież tam były same martwe komórki, a teraz widać, że to żywe ciało.

– No, nie tylko martwe – powiedziała Esa. – Część była jeszcze żywa. Martwe komórki ożywiamy za pomocą bioenergii. Wszystkie żywe komórki pobudzamy do podziałów i zmuszamy do tworzenia odpowiednich tkanek. Za pomocą stymulacji podziałów i apoptozy, czyli kontrolowanej śmierci komórek, odtwarzamy prawidłowe tkanki. W moim świecie jest to rutynowa technika. Jeśli ktoś na przykład ma chore, stare serce, to część jego komórek serca zmuszamy do podziałów i odrasta nowe serce. Stare w wyniku apoptozy zanika i taki osobnik ma nowe, młode serce. Podobnie jest z innymi narządami. Ludzki kod genetyczny złamaliśmy ponad tysiąc lat temu. Nasz nawet nie wiem kiedy. Dzięki manipulacjom genetycznym jesteśmy w stanie zbudować od podstaw zupełnie nowy organizm nie występujący w przyrodzie. Możemy stworzyć człowieka, którego ciało będzie składało się z zupełnie innych materiałów, na przykład skóra będzie między innymi z polietylenu, bo organizm zsyntezuje go. Możemy zaprojektować doskonalsze komórki mózgowe, a potem ułożyć odpowiednią sekwencję nukleotydów i mózg urodzonego osobnika, mającego taki kod genetyczny, będzie pięć razy szybciej myślał. Możemy zaprojektować zupełnie inny mózg, o wiele wydajniejszy, do którego można bezpośrednio podłączyć mikroprocesory. I ta właściwość będzie przekazywana dalszym pokoleniom. Jeśli chcesz, wyhodujemy ci na ciele trzecią rękę z dwoma kciukami i tak zmodyfikujemy układ nerwowy i krwionośny, że ręka będzie całkiem sprawna.

– Nie dziękuję, wystarczy mi to, co mam – powiedział Paweł. – A czy ulepszacie w ten sposób swój gatunek?

– Czasami tak, ale w innym sensie – odparła Esa.

- To znaczy? – drażył temat Paweł.
- Uznaliśmy, że nasze ciała są wystarczająco dobre – wyjaśniała dalej Esa. – Niepotrzebne nam są dodatkowe ręce, albo ogony lub rogi. Mózgów nie usprawniamy, bo dzięki postępowi techniki możemy telepatycznie łączyć się z komputerami i w ten sposób, w zasadzie nieograniczenie, zwiększamy możliwości naszych mózgów. Niepotrzebna nam skóra odporna na ekstremalne temperatury, kwasowość lub inne czynniki, bo do takiego środowiska wysyłamy automaty, idziemy w specjalnych kombinezonach lub opuszczamy ciała fizyczne i w ciałach astralnych penetrujemy dane środowisko. Manipulacje genetyczne stosujemy, by usunąć niektóre choroby, w odnowie naszych ciał i przy operacjach plastycznych. Wy musicie ciąć wasze ciała, naciągać je, stosować dietę, a my za pomocą stymulacji rozwoju komórek i apoptozy zmieniamy nasz wzrost, tuzę lub wygląd.
- To znaczy, że jesteście praktycznie nieśmiertelni – rzekł zdumiony Paweł.
- Zgadza się – przytaknęła Esa.
- Jak sobie radzicie z przestrzenią życiową – pytał dalej Paweł.
- Jeden ze sposobów właśnie widzisz w naszej bazie – odpowiedziała Esa. – Manipulujemy czasoprzestrzenią i w ten sposób zwiększamy przestrzeń. Zasiedlamy oceany, budujemy sztuczne wyspy, kolonizujemy inne planety, a teraz i inne wszechświaty.
- No, ale kiedyś to się chyba skończy – powiedział Paweł. – Nie wiem, czy można w nieskończoność rozciągać czasoprzestrzeń i czy ilość wszechświatów jest nieograniczona.
- Tego jeszcze my również nie wiemy – ciągnęła dalej Esa. – Odkrywamy coraz więcej wszechświatów równoległych i nie natrafiliśmy jeszcze na opory czasoprzestrzeni na rozciąganie. Hamuje nas tylko ilość dostępnej energii. Jeśli nastąpi jakiś kryzys, to na pewno przełom technologiczny otworzy nowe możliwości.
- No, ale jeśli was będzie olbrzymia ilość to może zacząć brakować materii i energii byście mogli istnieć – nie dawał za wygraną Paweł.
- Wtedy umrzemy – odparła Esa. – Nie jesteśmy nieśmiertelni. Ale i teraz niektórzy z nas z własnej woli opuszczają nasz świat i przechodzą do innych światów duchowych.
- ???

– Nie dziw się tak, bo prorocy i okultyści twojego świata też mówią o życiu pozagrobowym. Być może jest ograniczona ilość duchów, które mogą się wcielać w nas i po prostu w pewnym momencie przestaną rodzić się dzieci.

– ?! Zaskoczyłaś mnie – powiedział Paweł. – Brak mi kontrargumentów na takie stwierdzenia. Muszę to przemyśleć. Może później będziemy kontynuować dyskusję.

*

W czasie, gdy ciało Irlandy się regenerowało, Paweł postanowił nauczyć się hiszpańskiego.

– Mówiłeś, że macie cudowną metodę uczenia się języków obcych – zagadnął Zorka. – Na czym ona polega?

– Jest rewelacyjnie prosta – odpowiedział zapytany uśmiechając się figlarnie. – Powtarzamy dane słowo lub zwrot i wbijamy igłę w jakiś punkt ciała. Na przykład mówisz: „adios amigo” i wbijasz sobie igłę w lewe kolano. Potem zawsze, gdy strzyknie cię w kolanie zwrot „adios amigo” przypomina się automatycznie.

– No, świetna metoda – odparł Paweł, – a tak poważnie?

– Chodź ze mną, pokażę ci nasze urządzenie, gdzie możesz między innymi uczyć się języków obcych.

Weszli do pokoju, w którym znajdował się główny komputer. Zork podszedł do szafki i wyciągnął z niej małą, okrągłą czapeczkę.

– Co to? Jarmułka? – zapytał Paweł.

– To nasze wspaniałe urządzenie do nauki języków sprzężone z głównym komputerem

– powiedział z dumą Zork. – Jidisz też możesz się nauczyć, nie mówiąc o hebrajskim.

Paweł wkrótce mówił biegle po hiszpańsku.

Gdy ciało Irlandy było już zdrowe, jej duch ponownie w nie wstąpił. Gdy wychodziła z komory, w której odbywała się regeneracja, Paweł pierwszy raz ujrzął ją w pełnej krasie. Krew napłynęła mu do głowy, ręce zaczęły mu się trząść, serce zaczęło dudnić jak karabin maszynowy.

Rozdziawił usta i patrzył na nią wielkimi oczami.

– Jaka piękna! – pomyślał – W życiu nie widziałem piękniejszej kobiety.

– Patrzysz na mnie jakbyś ujrzał jakąś zjawę – powiedziała Irlanda uśmiechając się kokieteryjnie. – Czyżby coś ze mną było nie w porządku?

Paweł nic nie odpowiedział. Beładne myśli kołatały się mu po głowie. Chciał coś, powiedzieć ale nie mógł. Stał jak zahipnotyzowany i błędnym wzrokiem wodził za dziewczyną.

– Co ci się dzieje – spytała, bo pierwszy raz zdarzyło się jej wyrzeć takie wrażenie na mężczyźnie. – Muszę zobaczyć się w lustrze.

– Lustro – powiedział Zork do komputera i naprzeciwko dziewczyny pojawił się jej hologram.

– Kto to jest? – spytała zdziwiona Irlanda obchodząc wirtualną postać dookoła – Co ze mną zrobiliście?

– Jeśli ci się nie podoba twój nowy wygląd, to możemy przywrócić ci poprzedni – powiedział nieśmiało Zork.

– Nie, nie – zaprotestowała dziewczyna przyglądając się swojemu odbiciu, – tak jest bardzo dobrze. Dziękuję wam.

Paweł ochłonął z pierwszego wrażenia, lecz nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Może coś zjemy – zaczął nieśmiało. – Irlanda jest pewnie głodna, tyle dni nic nie jadła.

– Nie dziękuję, nie mam ochoty – odparła.

– Jesteś w szoku poregeneracyjnym i dlatego nie chce ci się jeść – wtrąciła się Esa. – Lepiej jednak będzie, gdy teraz zjesz obiad.

Wszyscy przeszli do jadalni i usiedli przy stole. Automaty usłużnie nakryły stół. Podczas posiłku Zork zapytał:

– Może macie ochotę na podwodne wycieczki morskie?

– Oczywiście – zgodnym chórem odpowiedzieli Paweł i Irlanda.

– Mam dla was niespodziankę – kontynuował Zork. – Specjalnie dla was zaprojektowaliśmy batyskaf i skafandry. Za dwa dni urosną.

– ??? – zdumieli się oboje.

– Widzę, że nie docenicie potęgi naszej techniki – stwierdził Zork.

– Ależ skąd – zaproponował Paweł, – po tym, co u was widziałem, nawet jestem skłonny uwierzyć, że jesteś murzynem i świetnie grasz w koszykówkę.

– Widzę, że odkąd Irlandia wyzdrowiała stałeś się bardzo dowcipny – odparował Zork. – Co za cudowna przemiana.

Paweł lekko się zarumienił i przestał się odzywać.

– Aleś powiedział – skomentowała Esa, – aż mu w pięty poszło.

Paweł zarumienił się jeszcze bardziej i pochylił nad talerzem.

Kiedy skończyli jeść, Zork wstał od stołu.

– Chodźcie – Zork skierował się do drzwi, które natychmiast się otworzyły – pokażę wam coś.

Zaprowadził ich do pomieszczenia, w którym był basen z przezroczystym, gęstym płynem, a w nim trzy małe, bezkształtne obiekty.

– Co to jest? – spytała Irlandia.

– To właśnie wasze skafandry i batyskaf – wyjaśnił Zork.

– Nie żartuj – powiedział z uśmiechem Paweł.

– Przed chwilą mówiłeś, że cię już u nas nic nie zdziwi – ironicznie stwierdził Zork.

– Kłamałem – odparł przewrotnie Paweł.

– Człowieku małej wiary – ciągnął Zork, – zaprawdę powiadam ci, że jest to wasze wyposażenie nurkowe. Nigdy nie słyszałeś o nanotechnologii i manipulacjach genetycznych? Wasz sprzęt sam rośnie jak rafa koralowa. Tworzą go żywe komórki, które następnie obumierają, a pozostaje po nich konstrukcja, która jest użyteczna. Z pomocą komputerów projektujemy odpowiedni kod genetyczny zawierający informacje o sprzęcie, jaki ma być wykonany. Nanoroboty układają nukleotydy w odpowiednie sekwencje i tak spreparowany kod genetyczny wprowadzamy do komórek, które dzieląc się w takich zbiornikach jak ten, budują nam różne urządzenia. W wodzie rozpuszczone są wszystkie substancje potrzebne komórkom do rozwoju. Po wykonaniu zadania komórki są błyskawicznie rozkładane i pozostaje tylko zaprojektowane urządzenie.

– Czy ta baza powstała w taki sam sposób? – z wielkim zaciekawieniem spytał Paweł.

– Niezupełnie – wyjaśniał Zork. – Komórki tej bazy nie zostały uśmiercone. Uznaliśmy, że jako żywy organizm będzie nam lepiej służyć.

– ?

– Ma same zalety. Coś na kształt układu krwionośnego i nerwowego. Substancje odżywcze pobierane z morza są rozprowadzane po całym organizmie. Sama znajduje uszkodzenia i regeneruje się. Ogrzewa siebie i nas. Tak ustaliliśmy jej metabolizm, by temperatura wewnątrz była dla nas optymalna. Posiada komórki fluorescencyjne oświetlające wnętrza, a gdy chcemy zmienić układ pokoi, to wystarczy, że pobudzimy do podziałów jedne komórki, a do apoptozy inne. Jedne ściany znikają, a inne powstają. Same korzyści.

– Brzmi to jak fragment jakiegoś horroru – powiedziała Irlanda.

– Zdaje ci się – zaproponował Zork. – Ludziom Średniowiecza, to co wy robicie, wydawałoby się przerażające, transplantacje narządów, loty samolotami. To tylko kwestia rozwoju naukowego i oswojenia się z nowościami. My tak tworzymy całe miasta. Najpierw robimy wirtualny projekt. Potem, za pomocą manipulacji genetycznych powstaje genotyp, który jest wprowadzany do komórki. Komórki rozmnażają się i powstaje z nich ziarno. Ziarno sadzone jest w ustalonym miejscu i z niego wyrasta całe miasto.

*

Po dwóch dniach wyposażenie nurkowe było gotowe. Irlanda i Paweł rozpoczęli podwodne eskapady. Oglądali rafy koralowe, poznawali podwodny świat na małych i dużych głębokościach, zwiedzali zatopione wraki.

W trakcie jednej z wypraw, w niewielkiej odległości od małej wyspy Paweł poczuł się bardzo dziwnie. Ogarnęła go słabość, wydawało mu się, że zemdleje. Świadomość miała bardzo ograniczoną. Czuł się jak w transie. Wydawało mu się, że zna to miejsce, że już tu kiedyś był. Ogarnął go niepokój przechodzący w strach.

– Odpuśćmy stąd – poprosił walcząc ze słabością.

– Dlaczego? Tu jest tak pięknie – łagodnie zaprotestowała Irlanda.

Paweł wziął kilka głębokich oddechów i odzyskał panowanie nad sobą. Mimo chwilowej niemocy ciekawość nie pozwoliła mu zawrócić do bazy.

– Masz rację – powiedział. – Nie wiem co mi się stało, ale jest już dobrze. Płynmy dalej. Batyskaf ruszył w kierunku małego wzgórza na dnie. Automaty zasygnalizowały obecność obiektu pod piaskiem. Obraz rentgenowski pokazał szczątki łodzi. Paweł wysłał ro-

boty do ich odkopania. Po odsłonięciu wraku, maszyny znalazły w nim kości ludzkie i kilka skrzyń z kosztownościami. Po załadowaniu znaleziska do batyskafu wrócili do bazy. Dinozauroidy cały czas śledziły stan zdrowia ludzi i krótkotrwałe, złe samopoczucie Pawła nie umknęło ich uwadze. Mimo, iż Paweł już czuł się dobrze, przebadały go dokładnie.

– Wydaje mi się, że to mogło być zjawisko, które nazywacie „dèjà vu” – stwierdził Dus.– Ty faktycznie już tu kiedyś mogłeś być.

– Jak to – zdziwił się Paweł, – pierwszy raz jestem poza Europą.

– To mogło być w innym wcieleniu – ciągnął dalej Dus. – Przeżyłeś tu coś dramatycznego i to się ciągnie za tobą przez kolejne wcielenia.

– Jak mówiłem niedawno, nic tu mnie już nie dziwi – powiedział z udawaną nonszalancją Paweł. – Twierdzisz, że dusze wcielają się co jakiś czas. To znaczy, że w przyszłości znowu się odrodzę. Czyli powinienem uzbierać teraz trochę pieniędzy i wpłacić je na wysoki procent do banku na konto z hasłem, żeby gdy się odrodzę mieć na wygodne życie. Tylko jak sobie potem przypomnę to hasło.

– Są na to pewne sposoby – powiedział ze śmiertelną powagą Dus widząc, że Paweł usiłuje kpić.

– Jeżeli ja to teraz wymyśliłem – kontynuował Paweł, siląc się na dowcip. – to być może w poprzednim wcieleniu podobnie rozumowałem i zdeponowałem w banku duże pieniądze. Tylko, że nie mogę sobie przypomnieć w którym.

Paweł zachichotał myśląc, że to świetny żart, ale nikt mu nie zawtórował. Nawet Irlandia. W jej kraju magia, mimo rozwoju technicznego, była na porządku dziennym.

– Jeśli chcesz sprawdzić kim byłeś poprzednio, możemy ci zrobić mały seans regresyjny przywołujący pamięć poprzednich wcieleń – zaproponował Zork.

Wszyscy spojrzeli na Pawła. Paweł zmieszał się i nie wiedział co odpowiedzieć. Stracił całkowicie rezon.

– To jest bezpieczne – zapewniła go Esa, – nie masz się czego obawiać. Być może faktycznie jesteś bogatym człowiekiem i nic o tym nie wiesz.

– A co mi szkodzi spróbować – zgodził się Paweł, a dalej sarkastycznie dodał: – Jako uczoney muszę poświęcać się dla nauki.

– Pięknie powiedziane – drwiąco rzekł Zork. – Jestem pod wrażeniem.

Zaprowadzono Pawła do pokoju. Położył się na łóżku i rozpoczął się seans. W środku głowy usłyszał łagodną muzykę i komendy hipnotyczne wydawane miłym, spokojnym głosem. Zapadł w trans. Przed oczami zaczęły mu się przewijać obrazy z przeszłości. Wrócił do wspomnień z dzieciństwa, oglądał swój poród, a następnie cofnął się do poprzedniego wcielenia. Był dziewiętnastowiecznym kupcem, który handlował towarami indyjskimi. Znał dobrze kulturę i religię Indii. Pasjonowało go to. Nie był w pełni przekonany o istnieniu reinkarnacji, ale przed śmiercią zdeponował część majątku w jednym z londyńskich banków. Paweł dowiedział się, jakie to konto i jak może odebrać zdeponowany kapitał.

Trans się pogłębiał. Paweł przeszedł do kolejnego wcielenia. Był szesnastowiecznym, hiszpańskim marynarzem, który pływał do Ameryki Południowej po złoto i inne towary. Pewnego razu, gdy płynął do Hiszpanii galeonem pełnym złota, został zaatakowany przez piratów. Rozpoczęła się straszliwa walka. Na rozkaz jednego z oficerów, on z kilkoma innymi marynarzami przeładowali skarby na łodzi ratunkowe. Korsarze już prawie opanowali statek, gdy kilka łodzi odbiło od galeonu i uciekało w kierunku pobliskiej wyspy. Paweł był na jednej z nich. Nie odplynęli daleko, gdy zabłąkana kula armatnia trafiła jego łódź, która błyskawicznie zatonięła. W niedługi czas potem Paweł poszedł w jej ślady. Trans trwał dalej. Zobaczył jeszcze kilka innych swoich wcieleń.

W sąsiednim pokoju dinozauroidy wraz z Irlandą oglądały wizje Pawła. Gdy się obudził nie mógł uwierzyć w to co widział.

– Łatwo to sprawdzić – powiedział Zork wkraczając do pokoju gdzie był Paweł. – Komputer już dokonuje identyfikacji szczątków kostnych, znalezionych przez was. Każdy duch pozostawia w ciele fizycznym charakterystyczne piętno. Zaraz się okaże, czy te kości należały kiedyś do ciebie.

Po chwili główny komputer potwierdził pozytywną identyfikację. To był Paweł. Komputer dokonał również rekonstrukcji jego wyglądu sprzed czterystu lat. Na środku pokoju stała holograficzna postać.

– Ale obleśny grubas – skwitowała to Irlandia.

– Wiecie co, muszę odpocząć – powiedział Paweł kierując się do swojego pokoju. – Za dużo wrażeń miałem dzisiaj.

W tym dniu Paweł uwierzył w reinkarnację.

*

Kilka dni później Paweł i Irlanda opuścili życzliwych gospodarzy i wrócili do ludzi. Po powrocie do Polski Paweł zorganizował pieniądze na podróż do Wielkiej Brytanii, gdzie podjął zdeponowane pieniądze. Przez ponad sto lat zdążyły urosnąć duże odsetki. Stał się bogatym człowiekiem. Ożenił się z Irlandą, porzucił karierę naukową i zajął się tym, co lubił najbardziej, nurkowaniem i podróżami. Kupił statek przystosowany do wypraw nurkowych i eksploracji głębin. Poszukiwał wraków, robił filmy i pisał książki o tematyce podwodnej. Pomnażał majątek, robiąc to, co lubił i tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę.

Czasem nachodziła go taka refleksja: „żyję wygodnie, mam wspaniałą żonę, robię to, co chcę i kiedy chcę, a ludzie uparcie powiadają, że pieniądze szczęścia nie dają.”

Epilog

Podczas remontu jednej z krakowskich ulic w pobliżu Wawelu, w warstwie gruntu odpowiadającej ósmemu wiekowi naszej ery, natrafiono na kawałek dziwnego tworzywa. Na ten teren wkroczyli archeolodzy. Po długich poszukiwaniach nie znaleziono innych części pasujących do tego przedmiotu. Kawałek był badany w kilku krakowskich placówkach badawczych, a następnie powędrował do Warszawy. Tam również nie ustalono jego pochodzenia. Na koniec o znalezisko upomnieli się amerykańscy badacze, którzy od kilku lat zastępowali w Polsce, przodujących uprzednio naukowców radzieckich. Przedmiot został przekazany laboratoriom amerykańskim, gdzie słuch o nim zaginął. Prasa polska szeroko pisała o tej sprawie. Naukowcy byli bardzo wstrzemięźliwi w wypowiedziach dla prasy, ale i tak z tego, co mówili wynikał wielki galimatias. Jedni twierdzili, że jest to przedmiot kultowy, inni, że codziennego użytku i podawali przykłady różnych rzeczy, których mógł być częścią. Nie było zgodności, co do miejsca jego powsta-

nia. Twierdzono, że w Krakowie, to znowu, że w Bizancjum, Chinach, a nawet w Indiach.

Przedstawiciele nauk ścisłych i technicznych: chemicy, fizycy, materiałoznawcy, metaloznawcy i inni nie byli zgodni, co do możliwości wyprodukowania go na Ziemi. Jedni twierdzili, że przy obecnym stanie wiedzy absolutnie nie można stworzyć takiego materiału. Inni, że co prawda z wielkim trudem, ale można. Jeszcze inni dowodzili, że przy średniowiecznym stanie techniki można było wytworzyć taki materiał. Brak podobnych przedmiotów z takiego materiału tłumaczyli małą użytecznością dla średniowiecznego rzemiosła i trudnością produkcji. Sugerowali, że wraz z nowymi odkryciami archeologicznymi takich przedmiotów będzie coraz więcej.

Media zostały zalane teoriami radiestetów, jasnowidzów, ufologów, okultystów i innych przedstawicieli tego typu nauk na temat pochodzenia i przeznaczenia znaleziska.

Twierdzono, że to fragment latającego talerza przybyszów z innych planet, jakaś pozostałość po wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej istniejącej dziesięć tysięcy lat temu, pamiątka po mieszkańcach Atlantydy itp. Sugerowano, że przedmiot ma właściwości uzdrawiające, wspomaga zdolności paranormalne.

Mieszkańcy okolicy, w której znaleziono tajemniczy obiekt przypomnieli sobie, że woda w ich kranach była zdrowsza, że przechodząc obok miejsca dokonania znaleziska ustawały ich dolegliwości, a niektórzy mieli widzenia.

*

W świecie dinozauroidów z zaciekawieniem obserwowano rozwój wypadków związanych z odkryciem w Krakowie fragmentu robota obronnego z pierwszej misji międzywszechświatowej, której głównym bohaterem był Cert.

– Ale kombinują – zostały skwitowane poczynania ludzi.